

TOMASZ
WANDZEL

CÓRKA
ZAKONNIKA

LIND&CO

TOMASZ WANDZEL

Córka zakonnika

LIND & CO

LIND & CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Tytuł oryginału:

Córka zakonnika

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Karandasz

Grafika na okładce:

AVTG, vectorizer88 / Adobe

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67494-91-5

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

[Waterbear Graphics](#)

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Epilog](#)

[Polecamy również](#)

PROLOG

PRABUTY ROK 1945

Mokre brukowane ulice lśniły w popołudniowych promieniach słońca dopiero co wyłaniającego się zza czarnych burzowych chmur. Niski zakonnik ubrany w brązowy, znoszony habit szedł nieśpiesznie chodnikiem, obserwując skutki nawałnicy. Kilka przewróconych drzew tarasowało ulicę. Brudna woda szorowała rynsztoki, zabierając po drodze to, co zdołała porwać. W pewnej chwili zakonnik zobaczył coś, co kazało mu się zatrzymać. Na śliskim, lśniącym bruku leżała młoda kobieta, prawie dziewczyna. Poszarpane ubranie odsłaniało nagie ciało. Leżąca dziewczyna jedną ręką próbowała zasłonić piersi, a drugą – łono. Przerażone oczy kobiety patrzyły na barczystego żołnierza podciągającego i zapinającego spodnie. W następnej chwili wojak sięgnął po leżący z boku karabin, wycelował w dziewczynę i pociągnął za spust. Kruche ciało kobiety podrygiwało w rytm wystrzeliwanych pocisków, by po chwili znieruchomieć. Niebieskie oczy zaszyły mgłą. Żołnierz podniósł z ulicy czapkę z naszytą czerwoną gwiazdą, naciągnął ją na głowę i odszedł chwiejnym krokiem, śpiewając na całe gardło jakąś piosenkę. Zakonnik zacisnął powieki i głęboko odetchnął. Kiedy ponownie spojrzął na ulicę nie było tam ani ciała młodej dziewczyny, ani żołnierza. Jednak on wiedział, że to co przed chwilą widział, kiedyś w tym właśnie miejscu wydarzyło się naprawdę. Omijając tarasujące chodnik drzewo o olbrzymiej zielonej koronie, przeszedł na drugą stronę ulicy i po chwili wszedł do wnętrza kościoła. Świątynia cudem ocalała po wyzwolicielskim wjeździe armii czerwonej do słabo bronionego przez Niemców miasteczka. Jednak większość kamienic wokół prabuckiego rynku została zniszczona, podobnie jak drugi z kościołów. Zakonnik ukląkł w ostatniej ławce i zaczął odmawiać modlitwę. Modlił się za młodą dziewczynę, najpewniej Niemkę, której życie zakończyło kilka strzałów radzieckiego żołnierza. Podczas wojny widział wiele okropności, niektóre osobiście, inne wyłącznie w wizjach, których w żaden logiczny sposób nie potrafił wytłumaczyć. To właśnie te wizje przyciągały do niego ludzi liczących na pomoc w odnalezieniu swoich bliskich. Wystarczyło, aby zakonnik spojrzął na zdjęcie, a po chwili wiedział, czy dana osoba żyje, a jeśli tak,

to gdzie teraz przebywa. Niestety zazwyczaj nie miał dobrych informacji. Nie wiedział, jak długo trwał na modlitwie. Dopiero ciche kasznięcie kogoś stojącego z tyłu zwróciło jego uwagę. Odwrócił głowę i zobaczył Kazimierza Śliwińskiego – kościelnego, organistę i złotą rączkę w jednej osobie. Poczciwy lwowiak stał nieco zakłopotany spoglądając to na ołtarz, to na klęczącego zakonnika.

– No co tam, Kazimierzu?

– Ojciec Czesławie, ja przepraszam, że przeszkadzam w takiej chwili – zaczął mężczyzna, wypowiadając każde słowo z typowym kresowym zaśpiewem – ale na plebanii znowu czeka kilkanaście osób.

Nie musiał wyjaśniać powodu, dla którego niektórzy z nich przemierzali setki kilometrów. Wieść o zdolnościach franciszkanina przekazywano sobie z ust do ust jak dobrą nowinę.

– Kazimierz powie, żeby zaczekali za kwadrans przyjdę.

– A co mam zrobić z podarkami? – zapytał kościelny, przestępując z nogi na nogę i mnąc w dłoni stary kaszkiet. Co prawda, odpowiedź już znał, ale wołał się upewnić.

– To co zwykle. Jedzenie i inne rzeczy do piwnicy, a później rozdać biednym, a pieniędzy nie brać. Powiedzieć, że jak chcą, to mogą do skarboxy w kościele wrzucić – poinstruował zakonnik, wracając do przerwanej modlitwy.

Pociąg z Warszawy do Gdyni zatrzymał się na peronie małego miasteczka. Wśród wysiadających był niski, szczupły mężczyzna o krótko ściętych włosach, ubrany w brązowy garnitur. Na tle ludzi zmierzających do przejścia przez tory jego ubranie wyglądało na dość nowe, a biała koszula była uprana i wyprasowana. Gdyby nie czarna opaska przesłaniająca lewe oko, nikt nie zwróciłby na mężczyznę uwagi. Jednak zainteresowanie jego nieszczęściem trwało zaledwie chwilę. Ludzie teraz mieli ważniejsze sprawy na głowie. Od zakończenia koszmarnej wojny minęło zaledwie kilka miesięcy i każdy, komu udało się ją przeżyć, próbował ułożyć sobie życie na nowo. Nie było to proste, zwłaszcza że brakowało niemal wszystkiego. Mężczyzna pochwyił porozumiewawcze spojrzenia i szepty kilku młodzieńców, którzy ładowali cegły do towarowych wagonów ustawionych przy kolejnym peronie. Z dużym wypchanym neserem musiał zostać wzięty za spekulanta, którzy tuż po wojnie

rozplenili się na potęgę. Uznał, że to może i lepiej. Przecież gdyby pracujący przy wagonach wiedzieli, kim naprawdę jest, musiałby co chwilę spoglądać za siebie. Ludzie, zwłaszcza młodzi, nie lubili takich jak on. Tylko konduktor, któremu okazał legitymację urzędu bezpieczeństwa, znał jego tożsamość, ale tym funkcjonariusz niespecjalnie się martwił. Kolejarz najpewniej jutro zapomni. Mężczyzna przystanął obok tablicy z nazwą miejscowości. Przed zakończeniem wojny miasteczko nazywało się Riesenburg. Zaś teraz, kiedy były to już polskie ziemie, Polacy nazwali je Prabuty. Konduktor zagwizdał przeciągle. Odpowiedział mu donośny gwizd lokomotywy i pociąg ruszył w dalszą drogę. Człowiek z neseserem dołączył do ludzi czekających przy przejściu. Gdy tylko przejechał ostatni wagon, grupa ruszyła w kierunku budynku dworca. Mężczyzna wraz z kilkoma innymi osobami skręcił w lewo i boczną furtką opuścił stację. Idąc w stronę centrum miejscowości, próbował dostrzec zmiany, jakie zaszły tutaj przez ostatnie kilka tygodni. Wtedy po raz pierwszy przyjechał do Prabut i zrobił to wyłącznie dlatego, że wyczerpał już wszystkie sposoby na odnalezienie żony i synka, których nie widział od października 1939 roku. Furmanki wyładowane ceglami jadące w kierunku stacji świadczyły o postępach w uprzątaniu ruin. Ten widok cieszył, zwłaszcza że stolica potrzebowała cegieł na odbudowę. Przyśpieszył kroku i po kwadransie dotarł do celu. Uważnie zlustrował okolicę. Mimo tylko jednego oka potrafił dostrzec to, czego inni nie widzieli lub – co bardziej prawdopodobne – nie chcieli widzieć. Właśnie dlatego to on, a nie tamci, był kierownikiem komórki zwalczającej przeciwników politycznych urzędującej władzy. Stanął w grupie ludzi czekających przed budynkiem plebani. Na szczęście nie zauważył nikogo z pasażerów pociągu.

Zakonnik skończył modlitwę, podniósł głowę i utkwiał spojrzenie niebieskich oczu w ukrzyżowanym.

– Skoro taka wola twoja, to poddam się jej bez skargi. Proszę jedynie o siłę, bym mógł sprostać twoim planom – wyszeptał z nabożną czcią. Czekał jeszcze chwilę, tak jakby liczył na odpowiedź, lecz w świątyni panowała majestatyczna cisza. Zakonnik wstał i ruszył do wyjścia. Przed plebanią zobaczył kilka samochodów, bryczek i zwyczajnych konnych wozów. Przecisnął się przez grupę stłoczoną przed drzwiami i podniósł rękę, dając znak, by zamilkli.

– Proszę słuchać poleceń pana Kazimierza – oznajmił, wskazując na stojącego obok drzwi kościelnego i znikł w środku.

Kazimierz Śliwiński doskonale wiedział, co ma robić. Przecież od kilku miesięcy niemal codziennie brał w tym udział. Od razu też dostrzegł mężczyznę w brązowym garniturze. Zapamiętał go doskonale z poprzedniej wizyty, a takich typków się nie zapomina. Postanowił jednak, że wejdzie on jako ostatni. Wskazał dłonią na jedną z czekających kobiet i kazał iść za sobą.

– Proszę wejść do pokoju, położyć zdjęcie na stole i nic nie mówić – pouczył kobietę, prowadząc ją do drzwi w głębi korytarza.

– A co mam zrobić z zapłatą? – zapytała kobieta szeptem.

– Ojciec Czesław nie przyjmuje zapłaty. Jeśli ma pani jakieś dary, to proszę mi je dać. Zostaną one rozdzielone wśród potrzebujących. Jeśli pieniądze, to niech je pani zatrzyma albo wrzuci do skarbony w kościele – odpowiedział kościelny, zatrzymując się przed drzwiami. Kobieta podała mu mały pakunek i weszła do pokoju.

Franciszkanin nie koncentrował swojej uwagi na tych, którzy siadali przy stole, ale na przyniesionych zdjęciach. To z nich spoglądali na niego ludzie, których losy miał zobaczyć. Fotografia położona na blat stołu drżącą – zapewne matczyną – ręką przedstawiała około trzydziestoletniego mężczyznę w mundurze lotnika obejmującego kobietę w ślubnej sukience.

– On czy ona? – zapytał i nim kobieta zdążyła odpowiedzieć, już wiedział.

– Chodzi o niego, ona nie żyje – odparła kobieta, hamując łzy.

Zakonnik spojrzął na fotografię. Przypatrywał się jej przez chwilę. Następnie zacisnął powieki. Nie wiedział, jak to się dzieje, że zaczyna mieć wizję. Jeśli poszukiwany żył, zakonnik widział, co teraz robi i gdzie jest. Jeżeli jednak zginął, dostrzegł jedynie ciemność.

– Pani syn żyje, ale przebywa daleko stąd – odezwał się po dłuższej chwili. Kobieta podziękowała drżącym głosem i wyszła z pokoju. Dla następnych miał wyłącznie złe wiadomości. Choć niektórzy i tak byli mu wdzięczni. Dzięki niemu mogli modlić się o wieczne szczęście dla swoich bliskich. Mężczyznę, który wszedł jako ostatni, zakonnik już kiedyś spotkał. O ile dobrze pamiętał, wtedy chodziło o zaginioną żonę. Jednak w odróżnieniu od pozostałych osób, jakie

przyjął tego popołudnia, mężczyzna nie przyniósł zdjęcia. Zamiast tego zaczął mówić.

– Byłem u księdza kilka tygodni temu ze zdjęciem mojej żony. Sprawdziło się wszystko, co wtedy usłyszałem. To dzięki ojcu odnalazłem swoją żonę i nasze dziecko – ten łagodny prawie kojący głos sprawił, że zakonnik przypomniał sobie wszystko. Siedzący przed nim mężczyzna był wysokim funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie. Już podczas pierwszej wizyty otwarcie o tym powiedział. Dla franciszkanina to nie miało żadnego znaczenia, ale kościelny był innego zdania.

– To oni mordują porządnych Polaków, a ksiądz im pomaga – wyrzucił duchownemu przez kilka dni. Dopiero stanowcza reakcja zakonnika i przypomnienie, że skoro Chrystus umarł za wszystkich, to on też wszystkim będzie pomagał, zakończyła sprawę.

– Teraz przyjechałem, aby księdza ostrzec. Urząd Bezpieczeństwa chce ojca aresztować. Specjalna grupa wyjechała dzisiaj z Warszawy. Będą tu za kilka godzin. Musi ksiądz uciekać i to jak najszybciej – ostatnie słowa, mimo że wypowiedziane niemal przyjacielskim tonem, zabrzmiały jak rozkaz. Zakonnik doskonale wiedział, że swoją działalnością denerwuje Służbę Bezpieczeństwa, dla której kościół, a księża w szczególności, byli solą w oku. Ciekawiły go pobudki kierujące człowiekiem, który podobno miał na swoich rękach krew bardzo wielu ludzi.

– Dlaczego pan to robi, przecież nie musi.

– To ja decyduję, co muszę, a czego nie muszę – oświadczył ubek, nie pozwalając zakonnikowi dokończyć pytania. Nawet teraz ton jego głosu emanował dobrocią.

– Ostrzegłem księdza, ponieważ zawsze spłacam swoje długi. Niczego więcej ani nie będę mógł, ani tym bardziej nie będę chciał zrobić w tej sprawie – oznajmił mężczyzna.

Nie czekając na reakcję zakonnika wstał i bez słowa ruszył do drzwi. Miał już wyjść, ale jakby coś sobie przypominając, spojrzął na franciszkanina przez ramię i powiedział:

– Jeśli ksiądz nie skorzysta z mojej rady i zostanie schwytany i zechce ujawnić naszą rozmowę, to sprawię, że ognie piekielne będą niczym

w porównaniu z moimi metodami – ostrzegł i znikł w ciemnej sieni. Kiedy tylko trzasnęły drzwi wejściowe, do pokoju wpadł błądy i przerażony kościelny.

– A to psie syny – prychnął, wyglądając ostrożnie przez okno.

– I co teraz zrobimy, ojcie Czesławie? – zapytał, śledząc wzrokiem oddalającą się postać w brązowym garniturze.

– Ale z czym?

– No jak to z czym? Z tym, co powiedział ten ubek – przypomniał Śliwiński, przenosząc zdziwione spojrzenie na zakonnika.

– Tyle razy prosiłem, żeby Kazimierz nie podsłuchiwał.

– Wiem, wiem, ale teraz to jest najmniejszy problem – odpowiedział mężczyzna drapiąc się po głowie. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Działalność ojca Czesława, mimo że służyła słusznej sprawie, nie mogła podobać się komunistom. Już kilka tygodni wcześniej odbył poufną rozmowę z proboszczem, dzięki niej mieli gotowy plan na sytuację, która właśnie zaistniała. Teraz musiał jedynie wyłuszczyć pomysł zakonnikowi i liczyć, że ten na niego przystanie.

– Chyba nie mam innego wyjścia – przyznał franciszkanin, kiedy pół godziny później kościelny skończył referować plan przechytrzenia Służby Bezpieczeństwa. Śliwiński odetchnął z ulgą. Jedna sprawa została już załatwiona. Pozostała ta druga, mniej skomplikowana.

– Ojcie, a czy mógłby ojciec przed wyjazdem ochrzcić moją Rozalkę?

– Ile to ona już ma? – spytał zakonnik, przypominając sobie maleńką córkę kościelnego.

– Jutro będzie pół roku, jak się urodziła – odpowiedział kościelny tonem dumnego ojca. Miał już dwóch synów i narodziny dziewczynki uznał za spełnienie marzeń małżonki.

– Oczywiście, że ochrzczę. Przecież dziecku się nie odmawia.

Kiedy kilka godzin później na małej wiejskiej stacji, nieopodal Prabut do pociągu jadącego w kierunku Krakowa wsiadła kobieta w średnim wieku z niewielką walizką, nikomu z pasażerów nie przyszło do głowy, że to przebrany mężczyzna. Pasażerka szczęśliwie dojechała do Krakowa, gdzie przesiadła się do następnego pociągu. Wsiadła w Tarnowie i bez przeszkód dotarła do zakonu

franciszkanów. Zapewne widok kobiety pukającej do drzwi męskiego zakonu wzbudziły zdziwienie przechodniów, ale akurat nikogo nie było w pobliżu.

Mężczyzna z czarną opaską przesłaniającą lewy oczodół chodził nerwowym krokiem po dużym stylowo urządzonym pokoju. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ze swojego gabinetu widział, jak Warszawa podnosi się z upadku. Morze ruin ustępowało połaciom pustych przestrzeni, na których już niebawem miało powstać nowe miasto.

– I co ja, kurwa, mam z wami zrobić? – westchnął nie odrywając oczu od ciężarówki, na którą robotnicy ładowali gruz. Dwóch mężczyzn stojących obok drzwi spojrzęło po sobie. W ich oczach czaił się strach, którego nie potrafili ukryć. Zdawali sobie sprawę, że człowiek stojący przy oknie jednym słowem mógł skazać ich na śmierć. Bez żadnego sądu czy oskarżenia. Wyrok wykonano by po cichu, a rodzinom powiedziano, że zginęli na służbie.

– Dałem wam tak proste zadanie, że nawet nierozgarnięty chłop by sobie z nim poradził. Mielście zwinąć zwykłego klechę i dostarczyć do Warszawy – mówił, nadal stojąc do obecnych plecami. – A wyście to spierdolili jak małe dzieci.

– Ale, panie pułkowniku, ten ksiądz podobno potrafi przewidywać przyszłość, więc może wiedział, że przyjedziemy i uciekł – wtrącił nieśmiało niższy z mężczyzn.

– Wy mi tu, Kozielski, bzdur nie pierdolicie. Daliście dupy i macie dwa tygodnie na odnalezienie tego klechy. W przeciwnym razie pomożecie pewnym towarzyszom karczować lasy na Syberii – zapowiedział mężczyzna, odwracając się od okna. – A teraz won mi z oczu – warknął złowrogo, siadając za drewnianym misternie rzeźbionym biurkiem. Gdy tylko za podwładnymi zamknęły się drzwi, podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i wykręcił numer.

– Właśnie wyszli – powiedział i odłożył słuchawkę na widelki. Wiedział, że tymi dwoma słowami wydał rozkaz zlikwidowania kolejnych dwóch ludzi. Owszem, może nie byli orłami, ale w obecnych czasach znalezienie kogoś lojalnego graniczyło z cudem. Ostro dzwonek telefonu wyrwał mężczyznę z zamyślenia.

– Tak, słucham?

– Panie pułkowniku, przyszedł jakiś człowiek, który twierdzi, że ma informację o miejscu pobytu tego zakonnika z Prabut – zameldował kapral pełniący służbę w sekretariacie.

– A powiedział, jak się nazywa?

– Tak, Kazimierz Śliwiński, panie pułkowniku.

– Dobra, dawać go do mnie, ale migiem – zażądał mężczyzna, odkładając słuchawkę. Spodziewał się tej wizyty, ale nie przypuszczał, że nastąpi tak szybko. Wstał, podszedł do stojącego pod ścianą kredensu i wyjął z niego butelkę oraz dwie szklanki.

„Właśnie takich ludzi mi potrzeba. Oddanych, niewzbudzających żadnych podejrzeń i znających się na rzeczy” – pomyślał rozlewając zawartość butelki do stojących na biurku szklanek. O Śliwińskim wiedział tyle, że jeszcze przed wojną był radzieckim agentem na kresach wschodnich, a krótko przed zakończeniem działań wojennych przyjechał na tereny przyłączone do Polski jako jeden z repatriantów. Rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi.

– Wejść – polecił mężczyzna z opaską na oku, siadając na brzegu biurka. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytnięciem nienaoliwionych zawiasów. Gospodarzowi ten dźwięk wcale jednak nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, był jak sygnał alarmowy. Dzięki niemu mógł usłyszeć, gdyby ktoś próbował go zaskoczyć. Śliwiński wszedł do pokoju pewnym krokiem.

– Dzień dobry, pułkowniku Piwnicki – powiedział, wyciągając rękę na powitanie. Pułkownik wstał z biurka i uścisnął dłoń gościa.

– Szybko działacie, towarzyszu Śliwiński. Takich ludzi nam trzeba i takich ludzi nagradzamy – pochwalił, kiedy po kwadransie usłyszał, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach opuścił Prabuty tajemniczy zakonnik.

– Nasi chłopcy zajmą się resztą, a my powinniśmy chyba wypić za sukces – zaproponował pułkownik, podając mężczyźnie jedną ze szklanek. Sam podniósł drugą i jednym haustem opróżnił jej zawartość. Śliwiński uczynił to samo.

– Ale mocne – wykrztusił, łapiąc łąpczywie powietrze.

– Ano mocne – potwierdził Piwnicki, patrząc jak twarz agenta sinieje. Mężczyzna osunął się bezwładnie na gruby dywan, złapał dłońmi za gardło, a po chwili zupełnie znieruchomiał. Piwnicki wyjął z kieszeni munduru małą fiolkę i schował do szuflady biurka. Następnie zaciągnął ciało do ogromnej szafy

i ułożył na jej dnie. Po wszystkim wrócił do biurka i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Towarzysze z Moskwy zapewniali, że kilka kropel z fiołki zabije konia w kilkanaście sekund, a co dopiero człowieka. Piwnicki musiał przyznać im rację. Likwidacja Śliwińskiego mimo jego przydatności była koniecznością. Nikt nie mógł wiedzieć, że to właśnie on ostrzegł zakonnika przed aresztowaniem.

ROZDZIAŁ 1

Obudził się jak zwykle kilka minut po siódmej. Odruchowo przesunął dłoń w lewo i nie podnosząc powiek, po omacku szukał jędrnego i ciepłego ciała Baśki. Jednak, ku jego zdziwieniu, jego ręka natrafiła na pustą przestrzeń. Otworzył oczy i zlustrował pokój. Dziewczyny w nim nie było. Odrzucił koldrę i w samych slipach przeszedł do przedpokoju. Zobaczył ją w kuchni. Siedziała przy stole i spoglądała za okno.

– Kogo tam tak uparcie wypatrujesz? – spytał, podchodząc bliżej. Stanął za jej plecami. Przez dekolt nocnej koszulki dostrzegł krągłe piersi. Ostrożnie zsunął satynowe ramiączka, odsłaniając opaloną skórę. Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie masował.

– Bartek, Klementyna nie wróciła na noc – zastygł z dłońmi sunącymi w dół jej seksownie wystającego obojczyka. Nie bardzo rozumiał, dlaczego go o tym informuje. Mieszkali razem z Klementyną od kilku miesięcy i czasami dziewczyna nie wracała na noc do mieszkania. Bartosza nie obchodziło, gdzie się wtedy włóczyła. Miała skończone osiemnaście lat, chociaż wyglądała na piętnaście, góra szesnaście, i gdyby nie widział jej dowodu osobistego nie uwierzyłby w jej wiek.

– Też mi wielka rzecz, nie wróciła, to nie wróciła. Pewnie dziewczyna zabalowała w jakimś klubie, a teraz przewraca się na drugi bok w łóżku jakiegoś koleśia – rzucił obojętnie, przesuając dłonie niżej.

– Ale kiedy wczoraj gadałam z nią około jedenastej, mówiła, że za chwilę będzie w domu, a jednak z jakiegoś powodu nie wróciła – nie dawała za wygraną i to zaczynało Bartosza irytować. Przecież nie byli jej rodzicami czy nawet rodzeństwem, żeby zamartwiać się tym, że młoda atrakcyjna panienka nie wraca na noc. Szczerze mówiąc, taka sytuacja jemu osobiście odpowiadała. Mieli całą chatę dla siebie i mogli robić, co tylko chcieli i gdzie tylko chcieli.

– Chodź do łóżka, póki jej nie ma, nie będziemy musieli robić tego po cichu.

– Wiesz co, Bartek, myślałam, że jesteś prawdziwym facetem, a ty jesteś zwykłym prymitywnym samcem, któremu w głowie tylko dupczenie – wycodziła, strącając jego dłonie. Wstała i rzucając mu pogardliwe spojrzenie, przeszła do łazienki.

– Baśka, nie rób z siebie takiej świętoszki, przecież lubisz, jak się bzykamy.

– A pierdol się – usłyszał w odpowiedzi. Westchnął ciężko, machnął ręką i wrócił do łóżka. Po chwili dobiegł go trzask zamykanych drzwi wejściowych i cichnący odgłos kroków na klatce schodowej. Leżał jeszcze przez chwilę, licząc pęknięcia na suficie.

– Baby to jednak są dziwne – mruknął pod nosem i odrzucił kołdrę. Przeszedł do kuchni, wyciągnął z lodówki Złatego Bażanta, jedno z lepszych czeskich piw, i usiadł na miejscu, które jeszcze kilka minut wcześniej zajmowała Baśka. Jeśli chce, aby wszystko wróciło do jako takiej równowagi, będzie musiał ją przeprosić. To nie było specjalnie skomplikowane, ponieważ oboje przerabiali to już wiele razy. Ich związek przypominał wulkan, który z dość przewidywalną regularnością dawał o sobie znać. Co do Klementyny, to sprawa była bardziej zagmatwana. Mieli się spotkać poprzedniego popołudnia w jednej z knajpek w Galerii Bałtyckiej. Czekał na nią ponad godzinę, ale nie przyszła, nie odbierała telefonu, nie odpisywała na SMS-y. Wczoraj zachowanie Klementyny tylko go wnerwiło, ale teraz zaczął mu się udzielać niepokój Baśki. Pociągnął mocny łyk. Piwo było wspaniale zimne i cudownie chmielowe z tą tak specyficzną goryczką, którą tak uwielbiał. Odstawił butelkę i wrócił do obserwowania okolicy. Baśkę zauważył po pół godzinie. Szła szybkim krokiem, niosąc w ręce reklamówkę z Biedronki. Szybko dopił piwo, wyszczotkował zęby, wstawił wodę na herbatę, na stole rozstawił talerze i wyjął z lodówki margarynę oraz to, co uznał, że nadaje się na śniadanie. Zdążył jeszcze pościelić łóżko, gdy usłyszał, jak otwiera drzwi.

– Baśka, przepraszam, masz rację zachowałem się jak dupek – przyznał robiąc skruszoną minę. Prześlizgnęła się po nim wzrokiem, minęła i weszła do kuchni, kładąc zakupy na blat.

– A skąd ta przemiana? – zainteresowała się, wyjmując mleko, mrożoną pizzę, paczkę pierogów i kilka puszek piwa.

– Olanie faktu, że Klementyna nie wróciła na noc do domu było z mojej strony zachowaniem godnym szczeniaka.

– Proszę, proszę, przemądrzały i wszystko wiedzący pan Bartuś zauważył błędy w swoim idealnym postępowaniu – szydziła, chowając produkty do lodówki. Miał ogromną ochotę odparować jej podobną złośliwością, ale wiedział, że to tylko na nowo roznieci niedawną kłótnię, a on zamierzał zagasić ją przynajmniej na jakiś czas.

– Jeśli nie chcesz, to nie wierz, ale właśnie tak jest.

– Ależ ja wierzę, głęboko wierzę w twoją wewnętrzną przemianę. Tylko nie potrafię dociec jej przyczyny. W to, że nagle przejąłeś się losem Klementyny, jakoś trudno mi uwierzyć. Już bardziej podejrzewam, że chodzi ci o jej tyłek – Bartek otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– No i co się tak gapisz jak sroka w gnat. Myślisz, że nie widzę, jak na nią patrzysz! Ale tym, póki co, nie zamierzam się przejmować. Jak tylko zjem śniadanie idę na policję zgłosić jej zaginięcie – oznajmiła, wyłączając gwizdzący czajnik.

– Z tego, co wiem, to takie zgłoszenia są przyjmowane dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach.

– W takim razie gównu wiesz – odparła wojowniczym tonem. – Im szybciej zostanie zgłoszone zaginięcie tym lepiej.

Może i miała rację, ale on wiele słyszał o tym, jak policja traktuje sprawy związane z zaginięciami osób. O ile w przypadku dzieci podchodzono do nich bardzo poważnie i natychmiast rozpoczynano działania poszukiwawcze, angażując dostępne środki i ludzi, o tyle w stosunku do dorosłych podejście policji bywało mniej gorliwe. Sami policjanci przyznawali, że znaczna część takich zgłoszeń dotyczy osób, które z własnej woli postanowiły zniknąć na dłuższy bądź krótszy czas.

– Ok, jak tam sobie chcesz.

– Bartek, może i Klementyna nie jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką, ale w końcu mieszkamy razem od kilku miesięcy. Czuję, że coś jej się stało. Dlatego tak się martwię – powiedziała tonem, w którym nie było już bojowego nastawienia, a tylko zwykły ludzki niepokój o drugiego człowieka.

– Jeśli chcesz, to pójde z tobą – zaproponował, spodziewając się zdecydowanej odmowy. Jednak, ku jego zdziwieniu, Baśka przytaknęła i podziękowała.

W drodze na komisariat wstąpili do Rossmana, gdzie wykonali kilka odbitek zdjęcia Klementyny. Była to jedyna jej fotografia, jaką posiadali. Zdjęcie zrobili podczas ostatniego wspólnego wypadu na plażę. Dziewczyna z fotografii bardziej przypominała mieszkankę południowej Europy niż kogoś mieszkającego w Polsce. Ciemniejsza karnacja, czarne sięgające ramion włosy. Tylko niebieskie oczy były jakby stąd.

– Myślisz, że takie zdjęcie się nada?

– Będzie musiało, bo innego przecież nie mamy. Baśka nie uważasz, że ona pod wieloma względami jest jakaś dziwna?

– Jak to dziwna?

– Normalnie, nie ma konta na fejsie, unika wypadów do klubów, nie chce, aby ją fotografowano – wyjaśnił, wymieniając rzeczy, które absolutnie nie pasowały do młodej przyciągającej męskie spojrzenia dziewczyny.

– Bartek, osobiście znam kilka osób, które nie mają fejsa, nie włączają się po lokalach, nie trzaskają selfie przy każdej okazji i jakoś żyją – odparowała.

Uznał, że może i miała rację, ale przecież sama lubiła wypadu do knajpek, jej profil na fejsie każdego dnia musiał być zasilony przynajmniej dwoma wpisami i nie miała absolutnie żadnych oporów przed obiektywem. Nawet brak ubrania nie przeszkadzał jej w pozowaniu. Bartek ukrył na twardym dysku kilka takich fotek, choć zapewniał ją, że wszystkie jakie kiedykolwiek jej zrobił, skasował na amen.

Komisariat zrobił na Baśce przygnębiające wrażenie. Może dlatego, że to, co do tej pory, widziała w telewizji nijak nie pasowało do rzeczywistości. Policjant dyżurny przyjął zgłoszenie i poprosił, aby poczekali. Usiedli na ustawionych pod ścianą krzesłach. Bartek cały czas pocieszał ją i trzymał za rękę. Była mu za to wdzięczna. Po kilkunastu minutach ten sam policjant poprosił ich do jednego z pomieszczeń. W pomalowanym na biało pokoju stało biurko, kilka krzesel takich samych jak na korytarzu i dwie wysokie metalowe szafy.

– Zaginiona jest państwa znajomą? – zapytał policjant, przyglądając się im uważnie.

– Tak, mieszkamy razem – uściśliła Baśka.

– A kiedy widziała pani koleżankę ostatni raz?

– Wczoraj, około trzynastej w naszym mieszkaniu. Ja wróciłam z zakupów, a Klementyna wychodziła właśnie do pracy. Później około dwudziestej trzeciej zadzwoniła do mnie i powiedziała, że za jakiś kwadrans będzie w domu, ale do tej pory się nie pojawiła.

– Czy sprawdzili państwo innych wspólnych znajomych? Może pani Klementyna spotkała kogoś, poszła na imprezę, zdecydowała się przenocować gdzieś indziej?

– Nie mamy wspólnych znajomych, a poza tym Klementyna nie należy do osób rozrywkowych.

Policjant skwitował jej wyjaśnienie krótkim „aha”, ale Baśka nie wiedziała, co miało ono oznaczać.

– To może pani Klementyna ma chłopaka?

– Niestety, nic o tym nie wiem – odparła bezradnie Baśka. Tym razem policjant spojrział na nią, unosząc znacząco brwi. Jakby chciał zapytać: „to co pani właściwie wie o swojej koleżance”. Zamiast tego zadał kolejne pytanie.

– Wspomniała pani, że koleżanka gdzieś pracowała. Czy wie pani gdzie?

Akurat o tym Baśka wiedziała dość sporo. Jakiś czas temu Klementyna zaproponowała, że może jej załatwić pracę w telefonicznym centrum obsługi jednego z operatorów telefonii komórkowej, w którym sama pracowała. Wtedy nie skorzystała, ale dzięki temu wiedziała, gdzie pracuje współlokatorka. Policjant zanotował adres pracodawcy i zadawał kolejne pytania, z których duża część wydawała się Baśce bezsensowna. Gdy pół godziny później opuszczała komisariat czuła się trochę lepiej. Zrobiła to, co jej zdaniem zrobić powinna. Jednak w jej głowie wykluwały się już nowe pomysły mogące pomóc w poszukiwaniu koleżanki. Plakaty czy ogłoszenia w Internecie.

ROZDZIAŁ 2

Zaparkował motocykl na wewnętrznym parkingu komendy. W przeciwieństwie do kolegów używających samochodu nigdy nie miał problemu z parkowaniem, a i dotarcie do pracy zajmowało mu mniej czasu niż innym. Idąc do swojego biura, rzucił okiem na wewnętrzny parking zarezerwowany dla oznakowanych i nieoznakowanych radiowozów oraz kilku samochodów prywatnych należących do kierownictwa. Ledwie wszedł do budynku, zobaczył swojego przełożonego. Podinspektor Bogdan Piotrowski rozmawiał właśnie z oficerem dyżurnym. Wiedział, że „stary” czasami sprawdzał, o której jego podwładni przychodzili do pracy. Stawał wtedy obok lady, za którą odbywał służbę oficer dyżurny i wdając się z nim w rozmowę o niczym, ukradkiem obserwował wejście, zapamiętując, kto o której przyszedł.

– Widocznie dziś jest ten dzień – pomyślał Woronko, ruszając do schodów. Miał zamiar udać, że nie dostrzegł szefa. Właśnie postawił but na pierwszym stopniu, kiedy usłyszał jego lekko nosowy głos.

– Cześć, Janusz. Zapoznałeś się ze sprawą zaginięcia tej studentki?

Woronko niechętnie zawrócił i podszedł do Piotrowskiego. Chciał odpowiedzieć, że jest dopiero siódma czterdzieści siedem, a on pracę zaczyna od ósmej, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Uściśnął wyciągniętą dłoń. Specjalnie uczynił to mocniej, niż powinien, ale szef podjął wyzwanie.

„Niby takie chuchro, ale krzepę ma” – przyznał w myślach Woronko, głośno zaś powiedział:

– To chyba coś nowego, bo przedwczoraj jak wychodziłem niczego mi nie zgłoszono.

W szarym jak październikowe niebo spojrzeniu przełożonego dostrzegł dezaprobatę. Woronko już dawno temu nauczył się ją ignorować. Nikt z komendy nie mógł podważyć jego kompetencji zawodowych, a to, że wyglądał inaczej niż reszta, miał głęboko w dupie. Gęste, prawie czarne włosy do ramion,

broda, skórzana kurtka, dżinsy, zamszowe mokasy i trzymany pod pachą kask bardziej upodabniały go do zagorzałego motocyklisty niż komisarza policji. Zasadniczo właściciele motocykli dzielił na trzy grupy. Pierwszą były dzieciaki najczęściej obrzydliwie bogatych rodziców, którym staruszkowie kupowali hondę, suzuki czy kawasaki na osiemnaste lub dwudzieste urodziny. Taki gnojek dzięki temu szpanował przed kumplami, podrywał laski, a czasami przenosił się, jeśli nie na tamten świat, to na wózek inwalidzki. Do drugiej grupy zaliczał facetów, którym kryzys wieku średniego nakazywał zrobienie czegoś szalonego. Kupno motocykla mogło być tym czymś. Oni w przeciwieństwie do dzieciaków mieli więcej rozsądku, więc i rzadziej zasilali smutne statystyki wypadków. Trzecią grupą, najbardziej prestiżową, do której sam się zaliczał, byli prawdziwi miłośnicy motocykli. Dla nich posiadanie odpowiedniej maszyny nie było objawem snobizmu czy odmłodzenia własnego ego, ale stanowiło życiową filozofię.

– A tak wczoraj miałeś urlop – przypomniał sobie Piotrowski. Woronkę zastanawiało, czy miał potraktować to stwierdzenie jako przytyk, że niby zawała robotę. Ponownie naszła go ochota, by dołożyć przełożonemu do pieca, przypominając, że wniosek urlopowy na jeden dzień złożył dwa tygodnie wcześniej. Lecz i tym razem postanowił milczeć. Wszak już starożytni twierdzili, że milczenie jest złotem.

– W takim razie Solińska zapozna cię ze wszystkim – rzucił obojętnie podinspektor i wrócił do rozmowy z oficerem dyżurnym.

Woronko obrócił się na pięcie i poszedł do siebie. Wszedł do biura, kurtkę odwiesił na oparciu fotela, a kask postawił na jednej z szafek, w której trzymali segregatory. Obrzucił wzrokiem niewielki gabinet, który od ponad pół roku przechodził metamorfozę. Na biurku leżała papierowa teczka, zapewne z materiałami o zaginionej studentce, poświęcił jej tylko jedno krótkie spojrzenie i wyszedł zaparzyć sobie kawę. Na szczęście o tej porze w kuchni panował jeszcze względny spokój.

– Kongo to się zacznie za godzinę lub dwie – pomyślał, czekając, aż woda w elektrycznym czajniku osiągnie stan wrzenia. Po kilku minutach był z powrotem w biurze. Upijając łyk gorącej kawy, pomyślał, że w tej chwili nie potrafi już zatrzymać lawiny zmian spowodowanych pojawieniem się w jego

zawodowym życiu aspirant Katarzyny Solińskiej. Musiał przyznać przed samym sobą, że nie był przygotowany na rewolucje, jakie zaserwuje mu młoda policjantka i nie wszystkie przypadły mu do gustu. Zwłaszcza fakt, że koledzy z komendy zaglądali do niego częściej niż do tej pory. Prawdę mówiąc, kiedyś za wszelką cenę unikali wizyt w jego kanciapie. Rupiecie poupychane po kątach, ściany, których koloru nie można było nazwać, i posępna mina zawiadującego tym miejscem skutecznie ich odstraszały. Teraz, gdy pomieszczenie przypominało stylowo urządzone gabinet, kumple przychodzili kilka razy dziennie, nawet bez specjalnego powodu. Chociaż komisarz doskonale wiedział, że przyczyna ich wizyt miała trzydzieści jeden lat, metr siedemdziesiąt wzrostu, jasne włosy, zielone oczy i nazywała się Katarzyna Solińska. Sądził, że gdy wszyscy faceci z komendy napasą już ślepia wdziękami policjantki, ich pielgrzymki ustaną. Ale gdzie tam, oni wciąż ciągnęli jak muchy do gówna. Choć w tym konkretnym przypadku bardziej trafne było powiedzenie „jak muchy do miodu”, bo Solińska rzeczywiście była słodka jak miód. O tym, że pod maską upudrowanej laleczki skrywała twardy charakter i umysł ostry jak brzytwa, wiedziało niewiele. Nawet Woronko na początku ich znajomości dał się nabrać na jej słodkie minki i postanowił pokazać młodej pani aspirant, gdzie jej miejsce. Dopiero wtedy Solińska obnażyła pazurki i udowodniła, że z głupią gąską, która jedynie dzięki koneksjom rodzinnym trafiła do policji, ma niewiele wspólnego. Zarówno pozostali policjanci, jak i inni pracownicy cywilni żyli w błogiej nieświadomości i przyłazili do nich z byle pierdołą, a to pożyczyc cukier, choć ani on, ani Solińska nie słodzili. Innym razem komuś zabrakło papieru do drukarki. Na policjantce wszystkie te wizyty nie robiły zbytniego wrażenia. Wyglądała tak, jakby wcale jej nie przeszkadzały, ale jemu i owszem. Należał raczej do odludków, co dla jego – na szczęście lub nieszczęście byłej – żony stanowiło koronny argument do rozwodu. Dawne biuro komisarza, nim stało się jego gabinetem, służyło za składzik wszystkiego, co na komendzie zbędne, ale nie można tego wyrzucić, bo po pierwsze figurowało na stanie jednostki, a po drugie kiedyś przecież mogło się przydać. W kilka tygodni po awansie, kiedy Woronko obejmował w posiadanie mały obskurny i śmierdzący pokój, dokonał w nim tylko kilku zmian. Przede wszystkim otworzył okno i robił tak przez pierwsze dwa miesiące, aż uznał, że smród wywietrzał. Dalsze zmiany sprowadzały się

wyłącznie do uporządkowania przestrzeni w taki sposób, by można było dojść do biurka. Więcej luksusów komisarz do szczęścia nie potrzebował. To, jak teraz wyglądało pomieszczenie, było sprawką Solińskiej. Panią aspirant przydzielono mu początkowo dla jednej sprawy, którą wspólnie prowadzili. Tyle że na tej jednej sprawie się nie skończyło i – chcąc nie chcąc – został zmuszony do pogodzenia się z jej obecnością. To ona zainicjowała zmiany. Najpierw drobne, wręcz niedostrzegalne, by z czasem coraz bardziej zuchwale, a nieraz wręcz bezczelnie brnąć do przodu. Tak oto ściany króliczej nory, jak zwykli mówić koledzy o jego pokoju, kiedyś szaro bure zostały pomalowane na ciepły żółty kolor. Starą, pamiętającą zapewne czasy Gierka, a może nawet Gomułki, gumową wykładzinę wymieniono na nową, bardziej przypominającą dywan, co skłoniło Woronkę do staranniejszego niż dotychczas wycierania butów. Nawet umeblowanie, z którym zżył się jak ze starym przyjacielem, musiało ustąpić miejsca nowemu. Po wyrzuceniu z pomieszczenia wszystkich gratów miejsca starczyło na dwa biurka, obrotowe wygodne fotele i kilka szafek na segregatory. Woronko zachodził w głowę, jak Solińska przekonała „górze” do wysupłania kasy na te cudowności. Przecież na każdym kroku słyszał o budżecie, który nie jest z gumy.

– Może to sprawka wuja Solińskiej zajmującego w Warszawie jakiś ważny ministerialny stołek – uznał komisarz i przestał tym sobie zaprzętać głowę. Siedział teraz na nowym obrotowym fotelu, gapiąc się tępo przez czyściutkie okno na rosnące po drugiej stronie ulicy drzewa, ludzi spacerujących chodnikiem i przejeżdżające co jakiś czas samochody. Był zły, a to na skali jego emocji, gdzie zero oznaczało zadowolenie, a dziesiątka – totalne wkurwienie, oscyloowało w okolicy trójki. Kiedy dwa tygodnie temu przełożony oznajmił, że na czas letniego sezonu razem z Solińską będą wspierali komórkę do spraw poszukiwań i identyfikacji zaginionych był wściekły jak „ranny bawół”. Tak przynajmniej określiła go Solińska, kiedy wrócił po rozmowie z szefem. On sam uważał, że to określenie było grubo niedoszacowane. Czuł się jak rozjuszony szerszeń gotowy dziabnąć każdego, kogo spotka na swojej drodze. Przeniesienie do innego wydziału potraktował jak degradację. Do tej pory najpierw w pojedynkę, a później z Solińską tropił morderców, gwałcicieli i innych zwyrodnialców chodzących po świecie. O tym, że byli dobrzy w te klocki,

świadczyło kilka naprawdę trudnych spraw, które razem doprowadzili do końca. Owszem zdarzały się także porażki, ale tych było niewiele i Woronko wołał ich nie rozpamiętywać. Tłumaczenia szefa, że to tylko na pewien czas, zupełnie do niego nie trafiały.

– Bogdan, Solińska też miała być tylko na chwilę – odparował argument komendanta.

– Ale jak widzę, fakt, że została, wyszedł ci tylko na zdrowie – usłyszał w odpowiedzi.

Doskonale wiedział, że żaden opór nie ma sensu. On na razie był podwładnym i póki ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie, będzie zmuszony słuchać tych, którzy są wyżej. Po tygodniu od pamiętnej rozmowy z szefem jego wściekłość stopniała do gniewu, a teraz przeszła w fazę złości. Nawet Solińska zauważyła tę zmiany, ale szczęśliwie dla siebie samej ich nie komentowała. Woronko bez zbytniego zainteresowania sięgnął po teczkę leżącą na blacie biurka, które – tak samo jak reszta wyposażenia – pachniało jeszcze fabryczną nowością. Nie były to meble z prawdziwego drewna robione na lata, ale z jakiś płyt drewnopodobnych. Mimo to prezentowały się nie najgorzej. Kilka tygodni temu machinalnie wyjąłby papierosa i zapalił, ale odkąd nowe zagościło w biurze, palenie praktykował na podwórku komendy. Spojrzał na fiszkę przyklejoną do leżącej przed nim teczki.

– Janusz, przyjrzyj się temu.

Charakter pisma uświadomił mu, że Solińska już zapoznała się z materiałami. Doszedł więc do wniosku, że dostarczono je poprzedniego dnia. Gdyby nie umówiona wizyta u gastrologa, to on pierwszy by je przeczytał. Fakt, że uczyniła to Solińska, niespecjalnie mu przeszkadzał. Może kilka miesięcy wcześniej, kiedy dopiero się docierali jako tandem prowadzący naprawdę trudne sprawy, uznaliby to za zniewagę i w kilku prostych żołnierskich słowach wyjaśniliby młodej aspirant, gdzie jej miejsce. Ona w odpowiedzi rzuciłaby jakąś ciętą ripostę. Jednak teraz, gdy mówili sobie po imieniu, ich relacje były prawie partnerskie. Poza tym zaliczył Solińską do tej nielicznej grupy kobiet potrafiących logicznie myśleć, wyciągać sensowne wnioski i widzieć powiązania tam, gdzie inni ich nie dostrzegali. Była naprawdę dobrą policjantką, a z każdą

zakończoną sprawą coraz bardziej zaczynała mu imponować. Wolno otworzył teczkę i niechętnie przystąpił do lektury.

– Kolejne zaginięcie – westchnął przygotowując się na pozbawioną napięcia sprawę. Już zapomniał, co to są nieprzespane noce spędzone na czytaniu zeznań, szukaniu motywów zbrodni, badaniu śladów i dopasowywaniu elementów sprawy tak, by stworzyły pełen obraz. Teraz przychodził do pracy o ósmej, wychodził o szesnastej, prawie jak zwyczajny obywatel. Może dla kogoś, kto miał ustabilizowane życie osobiste taki rytm dnia byłby idealny. Ale nie dla niego. W pustym mieszkaniu nikt nie czekał. Żona odeszła, dzieci nie mieli, a on sam, mimo że dopiero za kilka lat miał dobić do pięćdziesiątki, nie szukał ani dłuższych ani krótszych przygód towarzyskich.

– Klementyna Wiertnicka – przeczytał i pomyślał, że nigdy w życiu nie słyszał takiego imienia. Uznał, że prędzej pasowało ono do jakiejś zasuszonej emerytki ze starczymi plamami na dłoniach niż do młodej atrakcyjnej dziewczyny, której zdjęcie dołączono do akt sprawy. Jak na swój wiek dziewczyna miała bardzo dziecienną twarz. Lekko zadarty nos sugerował upór. Czarne włosy sięgały do ramion. W dużych, niebieskich, lekko skośnych oczach komisarz dostrzegł naturalną zalotność. Taką, jaką widział u kobiet, które zdawały sobie sprawę z własnej urody.

– Lat dwadzieścia jeden, zaginęła prawdopodobnie 20 czerwca – czytał półgłosem, co jakiś czas zerkając na zdjęcie zaginionej. Ciemniejsza karnacja skóry mogła być efektem godzin spędzanych w solarium lub – co Woronko uznał za bardziej prawdopodobne – mieszanką genów odziedziczonych po przodkach pochodzących z różnych stron świata.

– Zaginięcie zgłosiła Barbara Skowrońska współlokatorka poszukiwanej – czytał dalej, jednocześnie zastanawiając się, kto i dlaczego zabił tę dziewczynę. Dopiero po chwili zbeształ się w myślach: „Stary, chyba zapomniałeś, że chodzi o zaginięcie, a nie morderstwo”.

Przestawiając tok rozumowania na właściwe tory zaczął tworzyć nowe hipotezy mogące pasować do tego przypadku. Statystyki, z którymi zapoznała go Solińska, były dla niego czymś nowym i szokującym. Znał szacunkowe dane mówiące o liczbie zabójstw. Potrafił nawet powiedzieć, ile osób zginęło w wyniku awantur domowych, bójek, a ile spraw zaklasyfikowano jako

morderstwo. Ale fakt, że każdego roku zgłaszano zaginięcie około trzydziestu tysięcy ludzi, nawet w nim wzbudził niedowierzanie. Solińska natychmiast wyjaśniła, że ponad dziewięćdziesiąt procent zaginionych odnajduje się w ciągu dwóch dni i najczęściej są to nastolatki postanawiające zrobić sobie urlop od rodziców i použíwać dorosłego życia. Kolejne kilka procent znajdowało się w ciągu dwóch tygodni, a jedynie niecałe pół procent przepadało bez wieści, jak kamień w wodę. Już pierwszy tydzień pracy potwierdził te statystyki. Dwie nastolatki, których zaginięcie zgłosili rodzice, wyglądający jak szablonowe korposzczury, odnalazły się po trzech dniach w Krakowie. Starszy pan mający problemy z pamięcią ponad tydzień spędził z bezdomnymi na ogródkach działkowych, a studenta socjologii znaleziono w lesie pod kartuzami wiszącego na gałęzi. Klementyna Wiertnicka była za stara na gigant i za młoda na kogoś mającego problemy z pamięcią.

– W takim razie, albo postanowiła gdzieś wyjechać, nie informując o tym fakcie współlokatorki, albo już nie żyje – uznał, a ostatnia myśl znowu przypomniała o tym, czym zajmował się wcześniej. Przewrócił kolejną kartkę. Było to zeznanie Barbary Skowrońskiej. Całość zeznania zawierała się w zaledwie kilkunastu lakonicznych zdaniach mówiących o tym, że Wiertnicka studiowała na drugim roku zarządzania, pracowała dorywczo na infolinii jednego z operatorów telefonicznych, a ze Skowrońską mieszkała od siedmiu miesięcy. Z pozostałej części zeznania nic przydatnego dla sprawy nie wynikało. Woronko pomyślał, że albo policjant, który je spisywał, powinien wrócić na kurs przygotowujący do pracy w policji i ponownie zaliczyć ćwiczenia z prowadzenia przesłuchań albo też Barbara Skowrońska nie znała dziewczyny, z którą dzieliła mieszkanie. Zanotował w myślach, aby ponownie zaprosić współlokatorkę Wiertnickiej i osobiście ją przycisnąć. Podobnie rzecz miała się z zeznaniami Bartosza Mrozowskiego.

– Cholera, tak jakby się umówili – przemknęło Woronko przez głowę. Właśnie kończył lekturę, gdy do gabinetu weszła Solińska.

– O, widzę, że już przeczytałeś – rzuciła, wieszając torebkę na oparciu obrotowego krzesła.

– Pobieżnie przejrzałem – mruknął Woronko, popychając teczkę w kierunku siedzącej naprzeciw policjantki.

– Jakieś wnioski? – zapytała, uruchamiając komputer. Woronko zrelacjonował jej swoje mizerne przemyślenia.

– Czytając to wczoraj, myślałam podobnie. Za stara na gigant i za młoda na amnezję.

– Ale odpowiednia, żeby zgwałcić i zamordować – wtrącił komisarz, zapominając ugryźć się w język. Solińska zgromiła go wzrokiem, ale nie skomentowała tego, co powiedział.

– Co do zeznań, to masz rację, zaraz przygotuję wezwania. Jak na współlokatorów to ich wiedza o zaginionej jest dość skąpa – dodała.

– Dobra, Kaśka, wezwij ich, a ja wycisnę z nich wszystko, a nawet więcej – zapowiedział Woronko, wstając od biurka.

– A póki co, idę dotlenić organizm – oznajmił, wychodząc z pokoju. Policjantka przeczuwała, że Woronko zareaguje tak, a nie inaczej. Przez kilka miesięcy wspólnej pracy zdążyła go poznać. Nie bez znaczenia był także fakt, że w sprawach zawodowych, można by rzec, nadawali na tych samych falach. Właśnie dzięki temu – mimo skrajnie odmiennych charakterów – w robocie dogadywali się znakomicie. Policjantka wyjęła z biurka wezwania przygotowane jeszcze poprzedniego dnia i zaniósła do sekretariatu. Po powrocie zadzwoniła do kilku znajomych dziennikarzy z prośbą o pomoc w nagłośnieniu zaginięcia Klementyny Wiertnickiej. Wszyscy jak jeden mąż zgodzili się bez wahania. Doskonale zdawali sobie sprawę, że być może kiedyś to oni zatelefonują do pani aspirant z prośbą o informację. Solińska także wiedziała, że zaciąga u nich pewnego rodzaju dług i prędzej czy później będzie musiała go spłacić. Gdy zakończyła rozmowę z ostatnim dziennikarzem, postanowiła dalej drążyć wątek, który zainteresował ją poprzedniego dnia. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką sprawdziła po przekazaniu jej sprawy zaginięcia Klementyny Wiertnickiej, było prześwietlenie dziewczyny w sieci. Ku zaskoczeniu Solińskiej poza kilkoma wynikami z uczelni dotyczącymi egzaminów, prac semestralnych i zaliczeń nie znalazła niczego interesującego. Wiertnicka w odróżnieniu od swoich rówieśników nie założyła nigdy konta na Facebooku czy Instagramie. Było to co najmniej dziwne, jeśli nie podejrzane. Tym bardziej, że Wiertnicka należała do pokolenia internetowego. Dla osób w jej wieku posiadanie konta na kilku portalach społecznościowych było tak zwyczajne jak oddychanie. W tym

kontekście powiedzenie: „Jak nie masz konta na FB, to tak jakbyś nie żył” można było uznać za prawdziwe. Solińska wykorzystywała portale społecznościowe wyłącznie w sprawach zawodowych. To tam szukała śladów mogących naprowadzić ją na trop zaginionej osoby. Zwłaszcza teraz, gdy młodzi ludzie dzielili życie na to realne i wirtualne, portale społecznościowe, fora czy serwisy tematyczne były jak plaża po sztormie dla poszukiwaczy bursztyńców. Wystarczyło jedynie dobrze poszukać, a zawsze coś się znalazło. Tyle że w przypadku Klementyny Wiertnickiej ta metoda nie przyniosła żadnego rezultatu. Z jakiegoś powodu, którego Solińska jeszcze nie знаła, zaginiona skutecznie chroniła swoją prywatność. Nie było to normalne zachowanie, co już samo w sobie dawało do myślenia. Przeciwnieństwem Wiertnickiej była jej współlokatorka. Barbara Skowrońska wraz ze swoim chłopakiem, Bartoszem Mrozowskim, używali FB do woli. Zdjęcia, jakie zamieszczali, można było liczyć w setkach, jeśli nie tysiącach. Zostawiając na później dokładne sprawdzenie profilu Skowrońskiej i Mrozowskiego, Solińska postanowiła skupić wysiłki na znalezieniu czegoś więcej o Wiertnickiej. Po godzinie odnotowała pierwszy mały sukces. Znalazła profil zaginionej na portalu, który prawie dekadę temu święcił triumfy w polskim Internecie. Sama doskonale pamiętała, jak dołączyła do swojej klasy licealnej na Naszej Klasie. Teraz portal był niczym relikwiarz przeszłości, choć minęło zaledwie kilka lat. Jeśli wierzyć profilowi zaginionej, w latach 2003 – 2006 uczęszczała do jednego z poznańskich gimnazjum. Właśnie z tamtego okresu pochodziło kilka fotek wciąż widocznych na profilu. Po kolejnej godzinie Solińska musiała przyznać przed samą sobą, że więcej sukcesów nie będzie.

ROZDZIAŁ 3

Melodyjny dzwonek telefonu obudził Rozalię Pawlak. Kobieta otworzyła oczy i z niedowierzaniem stwierdziła, że wiszący na przeciwległej ścianie zegar wskazuje kilka minut po dziewiątej. W pierwszej chwili pomyślała, że zegar zwyczajnie się popsuł. Miał już przecież swoje lata. Dostała go od współpracowników, kiedy trzy lata temu przechodziła na emeryturę. Miał on odmierzać szczęśliwe minuty i godziny zasłużonego odpoczynku. Rozalia zlokalizowała spojrzeniem cienką czerwoną wskazówkę sekundnika. Dzwonek telefonu skutecznie zagłuszał charakterystyczne cykanie, ale widziała, jak przesuwa się ona po tarczy.

„A więc jednak zegar chodzi” – ta myśl wcale jej nie uspokoiła. Oznaczała bowiem, że spała prawie dwanaście godzin, a mimo to czuła się tak, jakby nie zmrużyła oka. Bez specjalnego pośpiechu sięgnęła po wciąż dzwoniący telefon.

– Halo – powiedziała zaspanym głosem.

– Dzień dobry, dzwonię w imieniu pani operatora, czy mam przyjemność rozmawiać z właścicielem numeru – usłyszała poważny głos konsultanta.

– Tak, ale jeśli ma pan zamiar naciągać mnie na nowe usługi, to szkoda i mojego i pańskiego czasu – odpowiedziała już zupełnie obudzona. Nie cierpiała tych wszystkich konsultantów dzwoniących o różnych porach i próbujących przekonać ją do superkorzystnych okazji. Tylko raz jeden dała się nabrać na zmianę oferty telekomunikacyjnej. Miało być taniej i lepiej, a wyszło zupełnie odwrotnie. Od tamtej pory pozbycie się natrętnego konsultanta nie zajmowało jej więcej niż kilkanaście sekund. Tym razem było podobnie. Usiadła na łóżku, uchyliła firanę i wyjrzała za okno. Jasne promienie słońca oświetlały stojący po przeciwnej stronie ulicy budynek. Rozalia przeciągnęła się, głośno ziewnęła i wstała. Po kwadransie obowiązkowej porannej gimnastyki poczuła się trochę lepiej. Winą za zmęczenie obarczała prześladowające ją od pewnego czasu sny. Było to o tyle dziwne, że do pewnego wieku zupełnie nic się jej nie śniło.

W dzieciństwie i wczesnej młodości miała nawet kompleksy z tego powodu. Kiedy koleżanki snuły opowieści, co im się śniło, ona, która nie miała nic do opowiedzenia, bo i niby o czym, skoro nie miewała absolutnie żadnych snów, czuła się gorsza od rówieśników. Owszem, zawsze mogła jakiś sen zmyślić, podobnie jak osoby, których sensenne opowieści wydawały się tak niewiarygodne, że aż trudno było uwierzyć w ich autentyczność. Niestety, była wychowywana w bezwzględnym przestrzeganiu prawdy. Jej matka miała nieomal obsesję na tym punkcie. Tak więc Rozalia o niczym nie śniła. Skończywszy osiemnaście lat, przestała zwracać na to uwagę. Było przecież tyle ważniejszych spraw na świecie, iż kwestia tego, czy o czymś śniła czy też nie, zdawała się tak mało istotna, że zeszała na dalszy plan, a z biegiem lat popadła w zupełne zapomnienie. Tym bardziej, że nigdy nie miewała specjalnych problemów ze snem jako czynnością fizjologiczną. Poza wyjątkowymi sytuacjami zasypiała bez problemu, budziła się wypoczęta. Słowem jak z reklamy środków nasennych, których również nie stosowała. Niestety kilka lat po przejściu na zasłużoną emeryturę jej uporządkowany rytm nocy i dni stanął na głowie. Organizm zaczął płatać figle. Gdy teoretycznie powinna spać jak suseł, ona szydełkowała, choć było grubo po północy. Popołudniowe spacerki zostały wyparte przez godzinną drzemkę. Powoli zaczynała się do tego przyzwyczajać, podobnie jak do zmarszczek i sztucznej szczęki. To za namową przyjaciółki kupiła w aptece preparat nasenny. Efekty mile ją zaskoczyły. Bezsenne noce zniknęły, jak ręką odjął. Jednak po pewnym czasie zauważyła skutki uboczne w postaci snów. O ile przez kilkadziesiąt lat o niczym nie śniła, o tyle teraz sny jak natrętne komary tnące ciało w upalny dzień bombardowały jej umysł. Ledwie przyłożyła głowę do poduszki zasypiała i natychmiast zaczynała śnić. Zdarzało się, że gdy jeden sen dobiegał końca, na jego miejscu pojawiał się następny. Z początku było to nawet miłe. Przyjemnie było jeszcze raz przeżywać czasy szczęśliwego dzieciństwa w odbudowywanej Polsce. Pierwsze młodzieńcze miłości. Pierwszy pocałunek z przyszłym mężem. Cudowne cztery dekady małżeństwa. Jednak z czasem sny zmieniły swój charakter. Zniknęły znajome twarze, radosne chwile. Ich miejsce zajęły mroczne obrazy niezajome kształty i dziwne przecucie czegoś strasznego. Ostatni sen, a dokładniej rzecz ujmując – kilka snów, układało się w pewną całość. Tak jakby każdej nocy śniła jeden odcinek z serialu grozy.

Zaczął się zupełnie niewinnie. Przyśnił się jej las. Jak okiem sięgnąć tylko leśna gęstwina. Wysokie stare drzewa, czubkami dotykające poszarzałego nieba. Gwar niezliczonego ptactwa, odgłosy szemrzącego strumyka. Mimo że sen przypominał sielankowe sceny z letniej wyprawy do lasu, Rozalii towarzyszyło nieodparte przeczucie, że to tylko pozory. Jak pokazały kolejne noce, miała rację. W następnych snach las wyglądał upiornie. Plusk strumienia brzmiał ponuro, a nawoływania leśnych zwierząt – złowrogo. Słyszała jedynie kroki. Ktoś szedł, rozjaśniając ciemność latarką. Jasne światło ślizgało się po chropowatych pniach. Rozkładało nisko wiszące wilgotne mgły. Dopiero minionej nocy Rozalia zobaczyła we śnie ostatnią scenę tego dramatu. W płytkim dole leżało ciało młodej dziewczyny. Nieruchoma twarz wyglądała niczym upiorna maska. Szeroko otwarte, jakby zdziwione, oczy martwo spoglądały w górę. Na zwłoki co chwilę spadały grudy brunatnej wilgotnej ziemi, aż w końcu całkowicie je zakryły. Na wspomnienie snu Rozalię przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Ubrała się, zjadła śniadanie i postanowiła pójść na spacer. O dwunastej była umówiona z przyjaciółką na cotygodniową kawę. Wyszła z domu, sprawdzając po drodze skrzynkę na listy. Poza kilkoma gazetkami promocyjnymi znalazła w niej rachunek za gaz. Wyrzucając gazetki do pojemnika na papier pomyślała o setkach tysięcy drzew, które każdego roku składano w ofierze na ołtarzu reklamowego biznesu. Ruszyła w kierunku starego miasta, gdzie znajdował się ich ulubiony lokal. Mimo wieku chód miała szybki i sprężysty. Kilku seniorów siedzących na ławeczce odprowadziło jej postać zazdrosnymi spojrzeniami. Pomyślała, że gdyby codziennie poświęcili piętnaście minut na gimnastykę, zapewne funkcjonowałyby tak jak ona.

ROZDZIAŁ 4

Kupowanie gazety w drodze do biura było jednym z dwóch porannych rytuałów Karola Grzybowskiego. Nawet fakt, że po zaparkowaniu w podziemnym garażu biurowca musiał wyjść z budynku do odległego o kilkadziesiąt metrów kiosku, nie zniechęcał go. Co prawda, mógł sobie pozwolić, aby każdego dnia na jego biurku czekał nie jeden, ale stos trójmiejskich dzienników. Wystarczyło jedno polecenie wydane asystentce. Ale on wolał kupować gazetę osobiście. Mógł przy okazji zamienić kilka zdań z panem Henrykiem, emerytowanym nauczycielem historii, który prowadząc kiosk, dorabiał do emerytury. Rozmowa ze starszym panem zazwyczaj poprawiała Grzybowskiemu nastrój. Żarty, które słyszał od kioskarza, wzbogacały jego dość słabe poczucie humoru. Drugim rytuałem była filiżanka mocnej kawy przed przystąpieniem do pracy. Oczywiście, były jeszcze inne przyzwyczajenia czy słabostki. Jedne zupełnie niewinne i jawne, inne dość osobliwe, a co za tym idzie – skrzętnie ukrywane. Czekając, aż asystentka przygotuje kawę, Grzybowski pobieżnie przejrzał dziennik, a następnie obrzucił wzrokiem leżący na biurku terminarz. Pierwsze spotkanie miał za dwie godziny, ostatnie o piętnastej, a w sumie było ich cztery. Kompetencje, sumienność i dyskrecja pani Jagody należały do najbardziej poszukiwanych cech dobrej asystentki. Wiedział, że znalezienie odpowiedniej osoby na takie stanowisko nie było rzeczą prostą. Osobiście znał kilku prezesów, którzy zmieniali je jak rękawiczki. On gratulował sobie doskonałego wyboru, jakiego dokonał piętnaście lat temu kiedy, po raz pierwszy musiał zatrudnić asystentkę. Od tamtej pory mimo zmiany stanowisk pani Jagoda była jego prawą ręką. Funkcja prezesa w jednym z wiodących towarzystw asekuracyjnych wbrew pozorom nie należała do lekkich, łatwych i przyjemnych. Wymagała ogromnego zaangażowania, podejmowania czasami niezwykle trudnych – a czasem nawet ryzykownych – decyzji i brania za nie odpowiedzialności. Należało do tego dodać bardziej osobiste skutki, takie jak brak snu, stres czy kłopoty rodzinne. Owszem,

wynagrodzenie rekompensowało wszystkie te niedogodności. Jednak z każdym rokiem Grzybowskiemu nachodziły wątpliwości, czy bankowe konto z odpowiednią liczbą zer jest tego warte. Miał pięćdziesiąt dwa lata i czasami marzył o rzuceniu wszystkiego i spędzeniu reszty życia na błogim lenistwie. Pieniądzy miał dość, by te plany zrealizować. Zawodowo osiągnął wszystko, co było do zdobycia, więc teoretycznie mógł sobie na to pozwolić. Wiedział jednak, że w pewnie po pewnym czasie i tak zatęskniłby za pracą. Kiedy asystentka przyniosła kawę, usiadł przy oknie. Miał przed sobą panoramę Gdańska. Z ósmego piętra nie dostrzegał szczegółów, ale może to i lepiej. Czasami plan ogólny wyglądał korzystniej niż poszczególne jego detale. Czekало go kilka ważnych, ale przede wszystkim trudnych spotkań. Dopił kawę, ostrożnie odstawił filiżankę na spodek i ponownie sięgnął po leżącą na stoliku gazetę. Kiedy przeglądał ją kilka minut wcześniej, coś zwróciło jego uwagę. Wtedy to zbagatelizował. Dawka kofeiny zrobiła jednak swoje, rozjaśniając umysł i wyostrzając myśli. Teraz już wiedział, co go zainteresowało. Zdjęcie atrakcyjnej dziewczyny o niebieskich oczach opublikowane na pierwszej stronie było niepokojąco znajome. Dokładnie przyjrzał się fotografii.

„To mogła być ona, choć wcale nie musiała” – pomyślał, sięgając po leżącego na biurku iPhone’a. Wyszukał w kontaktach numer i zadzwonił. Po kilku długich sygnałach usłyszał zapowiedź poczty głosowej. Korciło go, by nagrać wiadomość, ale w końcu zrezygnował. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, jak miałyby ona brzmieć. Przerwał połączenie i ponownie skoncentrował uwagę na zdjęciu. Z krótkiej notki dowiedział się, że dziewczyna na fotografii to Klementyna Wiertnicka. Zaginęła 20 czerwca, około dwudziestej trzeciej w okolicy przystanku SKM na Przymorzu. Mimo że to, co właśnie przeczytał, jeszcze bardziej go zaniepokoiło, zmusił się do przestawienia myśli na sprawy zawodowe.

„Może później, w czasie przerwy na lunch, znajdę chwilę, by zastanowić się nad sytuacją” – pomyślał, siadając przy biurku zavalonym umowami do przeczytania i podpisania.

ROZDZIAŁ 5

W drodze do pracy Solińska nie bez satysfakcji zauważyła, że w każdym trójmiejskim dzienniku najczęściej na pierwszej stronie wydrukowano zdjęcie Klementyny Wiertnickiej, opatrzone odpowiednim komunikatem o zaginięciu. Informacje o przypuszczalnym miejscu i czasie zaginięcia często skłaniały czytelników do zastanowienia się, gdzie oni sami wtedy byli. Policjantka bardzo wierzyła w pomoc mediów. W kilku podobnych przypadkach okazały się skuteczną formą pozyskania cennych świadków. Miała nadzieję, że i tym razem będzie podobnie. Liczyła na świadków, którzy mogli widzieć zaginioną, a może nawet byli w posiadaniu informacji o obecnym miejscu jej pobytu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że największym ich wrogiem jest czas. Teraz ludzie mogli sobie jeszcze przypomnieć, że w autobusie czy tramwaju siedzieli obok atrakcyjnej, młodej dziewczyny. Za tydzień czy miesiąc nie będą tego zupełnie pamiętać. Woronko nie sprzeciwiał się pomysłowi z zaangażowaniem mediów, ale widziała, że nie bardzo wierzy w sukces. Ona – przeciwnie – mocno na to liczyła. Z doświadczenia nabytego podczas pracy w wydziale poszukiwań i identyfikacji zaginionych, gdzie kilka lat temu zaczynała policyjną karierę, wiedziała, że takie działania w kilku przypadkach pomogły wpaść na trop poszukiwanej osoby. Później przez zbieg nieco dziwnych okoliczności trafiła do działu kryminalnego pod skrzydła komisarza Janusza Woronki, o którym nasłuchiwała się tyle opowieści, że gotowa była uznać go za najlepszego gliniarza i najgorszego faceta w całej komendzie. Po kilku miesiącach współpracy okazało się, że tylko pierwsza część zasłyszanych opowieści jest prawdziwa. Ta druga okazała się pewnego rodzaju maską. Dzięki niej Woronko mógł w samotności i spokoju pracować nad skomplikowanymi sprawami. Niewątpliwie był typem samotnego introwertyka, ale wystarczyło go lepiej poznać, by się z nim dogadać. Po wejściu do komendy zobaczyła kilka osób stojących przy ladzie, za którą urzędował oficer dyżurny. Solińską ciekawiło, czy któraś z nich przyszła

w sprawie pani Klementyny. Ledwie zamknęła za sobą drzwi ich biura, zadzwonił telefon stojący na jej biurku. Odwiesiła torebkę na oparcie fotela i podniosła słuchawkę.

– Solińska, słucham – powiedziała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Pani aspirant, jest tu na dole jedna osoba w sprawie tej zaginionej dziewczyny – zakomunikował oficer dyżurny. Solińska prawie podskoczyła, miała też ochotę zaklaskać, a może nawet zatańczyć.

– Ok, już schodzę – rzuciła, odkładając słuchawkę. Wychodząc z pokoju, posłała znaczące spojrzenie w stronę pustego fotela komisarza. Kiedy po minucie podeszła do okienka, dyżurny wskazał mężczyznę siedzącego na jednym z krzeseł. Solińska otaksowała go uważnym spojrzeniem. Mógł mieć około pięćdziesiątki. Ubrany dość zwyczajnie w dżinsy i koszulkę polo przywodził na myśl statecznego męża i ojca. Solińska podeszła, przedstawiła się i zaprosiła mężczyznę do swojego biura. Nieznajomy nazywał się Jan Stępka i – jak trafnie oceniła policjantka – dobiegał pięćdziesiątki. Posadziła gościa na fotelu Woronki, a sama usiadła za swoim biurkiem. Miejsca w pomieszczeniu było tak niewiele, że wstawienie trzeciego krzesła zagrabiłoby je zupełnie.

– Widziałem tę dziewczynę w autobusie – powiedział, pokazując gazetę z wydrukowanym na pierwszej stronie zdjęciem Klementyny Wiertnickiej.

„A więc jednak media na coś się przydały” – pomyślała, uruchamiając laptopa. Czekać, aż system się załaduje, obserwowała dyskretnie mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka. Doszła do wniosku, że spokój i wyluzowanie świadka były co najmniej zastanawiające. Zazwyczaj ci, których miała okazję przesłuchiwać, nawet w charakterze świadków, okazywali mniejsze lub większe zdenerwowanie. Jednak w przypadku Stępki ta wizyta nie wiązała się z absolutnie żadnym dyskomfortem. Postanowiła to zapamiętać i później dokładnie przeanalizować. Pierwsze, co teraz musiała zrobić, to wprowadzić do formularza podstawowe dane świadka wraz z adresem zamieszkania i telefonem. Zajęło jej to kilka minut i dopiero wtedy przeszła do meritum. Obróciła fotel tak, by spoglądać prosto na mężczyznę. Zdawała sobie sprawę, że często na pozór nic nie znaczące gesty jak spoglądanie rozmówcy w oczy, zachęcający uśmiech czy nawet lekkie skinienie głową miały znaczenie. Dlatego zawsze podczas przesłuchiwania starała się stworzyć dobrą atmosferę.

– Może się pan czegoś napije? Kawa, herbata, woda? – zaproponowała, wstając z fotela.

– Jeśli to nie kłopot, to poproszę wodę.

Solińska wyjęła z szafki jednorazowy kubek, butelkę nałęczowianki i postawiła na biurku.

– A więc widział pan tę dziewczynę? – zapytała, siadając na fotelu. – Może mi pan opowiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach? – poprosiła, nie spuszczając z mężczyzny wzroku.

Był średniego wzrostu. Miał dość szczupłą budowę ciała, uważne niebieskie oczy i postępującą łysinę.

– To było w piątek, 20 czerwca – zaczął Stępka, nalewając wody do kubka. – Wracalem akurat z pracy. Pracuję jako ochroniarz w centrum handlowym na Przymorzu. Tamtego dnia miałem drugą zmianę. Pracę skończyłem po dwudziestej drugiej, a z centrum wyszedłem przed jedenastą i poszedłem na przystanek 199 przy Obrońców Wybrzeża. Tam zobaczyłem tę dziewczynę. Nawet ją zapytałem, czy 199 przypadkiem nie jechał, a ona odpowiedziała, że nie. Po przyjeździe autobusu wsiedliśmy do niego. Ja poszedłem na tył, a ona usiadła zaraz za kierowcą. Tak się złożyło, że przy kolejce na Przymorzu też razem wysiedliśmy. Ja skręciłem na Kołobrzeską, gdzie mieszkam, a ona ruszyła w stronę Grunwaldzkiej – Solińska notowała, zastanawiając się jednocześnie, czy to możliwe, aby po zmroku, bo przecież po dwudziestej trzeciej musiało już być ciemno, mężczyzna mógł dobrze zobaczyć i zapamiętać dziewczynę z przystanku.

– A jest pan pewien, że to na pewno ta dziewczyna?

Ochroniarz spojrział na Solińską tak, jakby właśnie go obraziła.

– No wie pani. Od piętnastu lat pracuję jako ochroniarz i co jak co, ale pamięć do twarzy mam doskonałą. Wystarczy, że raz kogoś zobaczę i zapamiętuję – zapewnił, patrząc Solińskiej prosto w oczy. – A poza tym, to była bardzo piękna dziewczyna – dodał i dopiero ten argument upewnił policjantkę co do wiarygodności świadka. Był facetem i podejrzewała, że każdy mężczyzna na jego miejscu również zapamiętałby kogoś tak zjawiskowego jak Klementyna Wiertnicka, nawet gdyby nie pracował jako ochroniarz. Po podpisaniu zeznania odprowadziła Jana Stępkę na dół i wróciła do siebie. Jeszcze raz przeczytała

zeznanie. Na pierwszy rzut oka wydawało się spójne i wiarygodne. Jednak dla świętego spokoju kilka kwestii należało dokładnie wyjaśnić. Jedną z nich było to, o której tego dnia Stępka dotarł do domu. Osobiście nie brała pod uwagę możliwości, by był on w jakikolwiek sposób zamieszany w zniknięcie dziewczyny. Tym bardziej, że sam zgłosił się na policję. Ale przecież znała sprawy, w których to właśnie sprawca najbardziej gorliwie pomagał w poszukiwaniach. Chowając zeznanie do teczki, skarciła się za swoje rozważania. Na obecnym etapie musieli zakładać, że Wiertnicka żyje, przynajmniej do czasu, gdy nie znajdą dowodów, że jest inaczej. Musiała także wykonać telefon, który mógł im pomóc w potwierdzeniu zeznań pierwszego świadka. Nie miała wątpliwości, że kolejni również się zgłoszą. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Czekając, aż aspirant Michał Królikowski odbierze, wystukiwała palcami o blat piosenkę, którą właśnie grano w radio.

– Cześć, Michał. Załatw mi proszę cały dostępny monitoring z okolic przystanku autobusowego przy kolejce na Przymorzu. Najbardziej interesują mnie dwa kierunki. Pierwszy to ulica Kołobrzaska, a drugi to Grunwaldzka. Chodzi o piątek, 20 czerwca, między dwudziestą trzecią a powiedzmy północą – powiedziała bez zbędnych wstępów. Na pytanie, które zadał kolega, miała tylko jedną odpowiedź:

– No jasne, że potrzebuję tego na wczoraj.

Mimo zapewnień kolegi, że zrobi wszystko, co w jego mocy, wiedziała, ile warte są te zapewnienia. Gdyby monitoring podlegał policji, wszystko poszłoby sprawnie. Ale wyciąganie nagrań od instytucji miejskich, firm ochroniarskich czy prywatnych właścicieli sklepów musiało potrwać. Solińska zalogowała się na FB i odnalazła profil Skowrońskiej. Zauważyła, że od wczoraj dziewczyna zamieściła kilkanaście fotek. Policjantkę interesowały jednak inne zdjęcia. Przeszła do wpisów Skowrońskiej z początków kwietnia i drobiazgowo oglądała każde z opublikowanych zdjęć. Część z nich, jak wskazywał opis, zrobiono w mieszkaniu zajmowanym przez Skowrońską, Mrozowskiego i Wiertnicką. Niestety na żadnym z nich nie dostrzegła Klementyny. Przypadek? W to Solińska raczej nie wierzyła. Zaczęła podejrzewać, iż zaginiona dziewczyna celowo unikała okoliczności, w których jakiegś jej zdjęcie znalazłoby się w sieci. Po raz kolejny Solińska zadała sobie pytanie „dlaczego?”.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy Rozalia Pawlak dotarła do Amber Cafe, Bożeny Gorczyńskiej jeszcze nie było na miejscu. Specjalnie jej to nie zdziwiło. Przyjaciółka od wczesnych, młodszych lat nie grzeszyła punktualnością i Rozalia również do tego zdążyła się przyzwyczaić. Doskonale pamiętała sytuacje, kiedy Bożena wpadała do klasy z wywieszonym językiem kilka lub nawet kilkanaście minut po dzwonku. Nawet na egzamin maturalny przyszła jako ostatnia i tylko usilne prośby ich wychowawczynie sprawiły, że dyrektor poczekał trzy minuty. Później ich drogi się rozeszły. Rozalia poszła na studia ekonomiczne, a Bożena znalazła pracę w sklepie obuwicznym. Spotykały się jednak kilka razy w miesiącu. Jedynie na własny ślub Bożena dotarła punktualnie, czym zaskoczyła niemal wszystkich gości. Podobno nawet robiono zakłady, czy ślub w ogóle się odbędzie. Rozalia usiadła przy stoliku obok dużego okna, skąd miała doskonały widok na ulicę. Przekartkowała menu podane przez kelnera, choć i bez niego wiedziała, co zamówić, a następnie nieśpiesznie zlustrowała wnętrze lokalu. Z zadowoleniem odnotowała, że w kawiarni mimo początku wakacji panowała wciąż atmosfera, którą tak lubiła. Niewielu klientów w połączeniu ze względny spokojem czyniły lokal jej ulubionym miejscem. Szczyt turystycznego sezonu miał się dopiero zacząć za tydzień lub dwa i to zależnie od pogody, a ta jak zwykle nad Bałtykiem bywała kapryśna. Poza nią w kawiarni siedziało tylko kilku Rosjan, ale oni przyjeżdżali do Gdańska raczej na zakupy niż wypoczynek czy zwiedzanie i dla nich aura nie miała znaczenia. Rozalia nie czuła się najlepiej. Wciąż przed oczami miała martwe ciało młodej dziewczyny, które ktoś zakopał. Potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się tych koszmarnych obrazów, tak realnych, jakby stała obok tego dołu. Spojrzała na drzwi. Delikatny dzwonek oznajmił przybycie nowego klienta, ale nie była nim Bożena. Ponownie potrząsnęła głową, tym razem znacznie mocniej, jakby to miało jej pomóc odpędzić senne kosmary. Minutę czy dwie później zobaczyła na chodniku przyjaciółkę. Szła szybkim

krokiem, zwinnie lawirując wśród azjatyckiej wycieczki robiącej zdjęcia wszystkim, co było wokół. Kelner, który prawie zawsze je obsługiwał, przyniósł dwie kawy. Dla Rozalii czarną, a dla Bożeny z odrobiną mleka.

– Przepraszam, Rozalka, ale musiałam odebrać przesyłkę z poczty. Wyobraź sobie, że ten nowy listonosz nawet nie raczy sprawdzić, czy ktoś jest w domu, tylko bach, awizo do skrzynki i niech adresat sobie sam odbierze na poczcie. Nic więc dziwnego, że tam takie kolejki – narzekała przyjaciółka.

Spotykały się na kawie dwa razy w tygodniu od prawie czterech lat, czyli odkąd obie przeszły na emeryturę. Na początku we czwórkę. Jednak Ania i Basia odpłynęły już do tego innego, teoretycznie lepszego, świata.

– A jak tam twoje sny? – zagadnęła Bożena, porzucając nagle temat nowego listonosza, przesyłki i kolejki na poczcie. Takie skakanie z tematu na temat było u niej czymś normalnym i do tego Rozalia również przywykła. Trochę niechętnie opowiedziała ostatni sen. Najchętniej na zawsze wymazałaby go z pamięci.

– Może to głupie, ale mam wrażenie, że już kiedyś widziałam miejsce, w którym to wszystko się rozegrało – powiedziała speszona Rozalia, kończąc opowieść.

– Ty to masz sny – wzdrygnęła się Bożena, kręcąc z niedowierzaniem głową. Siedziały w kawiarni niedaleko Muzeum Bursztynu, popijając przedpołudniową kawę. Obie miały po sześćdziesiąt sześć lat, ale jak na swój wiek trzymały się bardzo dobrze. Szczupłe, wyprostowane, zawsze pełne energii mogły wzbudzać zazdrość niejednego schorowanego seniora. Bożena Gorczyńska wyglądała jednak znacznie młodziej. Nie potrafiąc zaakceptować upływającego czasu, robiła, co tylko mogła, by ująć swojej urodzie chociaż kilka lat. Codzienne kremy i maseczki skutecznie niwelowały większość zmarszczek. Jedyne niezbyt wysoka emerytura powstrzymywała ją przed operacją plastyczną. Choć czasami mówiła, że gdyby trafiła „szóstkę” w totka, to operacja plastyczna jest pierwsza na liście marzeń do spełnienia. Zafarbowane i modnie obcięte włosy, codzienne obowiązkowy makijaż w połączeniu z eleganckim strojem sprawiały, że wyglądała najwyżej na sześćdziesiąt lat. A bywali tacy, którzy dawali jej znacznie mniej. Rozalia Pawlak nie przywiązywała aż takiego znaczenia do wyglądu. Owszem, dbała o siebie. Regularnie pływała, chodziła na długie spacery, wykonywała badania kontrolne i – w przeciwieństwie do przyjaciółki – mogła

sobie pozwolić na operację plastyczną, jednak nigdy jej to nie kusiło. Zawodowo pracowała jako dyrektor i jej emerytura niejednego przeciętnego emeryta przyprawiłaby o zawał. A mimo to nawet wizytę u kosmetyczki w jej wieku uważała za ekstrawagancję. Raz na miesiąc odwiedzała fryzjera, by przyciąć i zafarbować włosy i to wszystko. Z chwilą przejścia na emeryturę zmieniła również sposób ubierania. Oficjalne kreacje zastąpiła wygodną odzieżą w stylu bardziej sportowym, pozostawiając elegancję na szczególne okazje, a tych było coraz mniej.

– Rozalka, zwróciłaś uwagę, że mimo zbliżającego się lata w naszej kawiarni wciąż jest luźno – zauważyła przyjaciółka, obrzucając pozostałych gości dyskretnym spojrzeniem.

– Całe szczęście. Jeszcze można spokojnie pospacerować po starówce czy prawie pustych plażach – odpowiedziała Rozalia z wyraźnym zadowoleniem. Zdawała sobie sprawę, że wraz z nadejściem sezonu plaże przestaną być ciche i nastrojowe.

– A wracając do snów, to tej nocy śniłam, że uprawiałam seks z mężem mojej wnuczki – zwierzyła się Bożena bez cienia wstydu, nawet nie ściszywszy głosu. Gdyby Rozalia usłyszała podobne wyznanie od kogoś innego, z pewnością odczułaby zażenowanie. Jednak bezpośredniość Bożeny już jej nie dziwiła.

– W naszym wieku to już tylko sny zostały – potwierdziła Rozalia, mieszając kawę małą ceramiczną łyżeczką.

– Mów za siebie, Rozalka. Ja z moim Tośkiem prawie do jego śmierci szaleliśmy w łóżku jak dwa stare dzikie króliki – odpowiedziała urażona przyjaciółka. Mimo stanowczego tonu w jej słowach pobrzmiwała lekka nuta tęsknoty.

– A co do tych twoich makabrycznych snów, to uważam, że mogą być one wizjami autentycznych zdarzeń – oświadczyła Bożena.

W pierwszej chwili Rozalia pomyślała, że przyjaciółka postanowiła zakpić z jej opowieści. Jednak poważna mina i skupione spojrzenie wskazywały, że traktuje swoje przypuszczenia zupełnie poważnie. Rozalia roześmiała się i lekceważąco machnęła ręką. Wiedziała, że przyjaciółka miewała różne szalone pomysły, wierzyła w dziwne teorie, ale tego się po niej nie spodziewała.

– Rozalka, to nie jest wcale śmieszne – oznajmiła Gorczyńska dotknięta tym, jak przyjaciółka potraktowała jej hipotezę.

– Bożena, nie chciałam cię urazić, ale chyba nie mówisz poważnie o tych wizjach?

– Jak najbardziej poważnie. Tysiące ludzi na świecie miało i ma podobne zdolności. U niektórych ujawniają się one w młodości, a u innych w późniejszym wieku. Jeśli mi nie wierzysz, to poczytaj sobie trochę na ten temat. Wystarczy pójść do biblioteki, czy nawet wpisać zapytanie w Google.

Rozalia nie miała zamiaru czytać o jakiś jasnowidzach. Gdyby słuchała wszystkich dobrych rad Bożeny, wyglądałaby teraz na pięćdziesiąt, a nie prawie siedemdziesiąt lat, i miała męża znalezionego w Internecie. Tyle że to nie było jej potrzebne do szczęścia.

– Wybacz, Bożena, ale ja w takie bajki nie wierzę – powtórzyła Rozalia, upijając łyk kawy.

– To nie muszą być żadne bajki. Już ci mówiłam, że jest wiele podobnych potwierdzonych przypadków. Ja na twoim miejscu nie lekceważyłabym tych snów, a nawet więcej poszłabym z nimi na policję – oświadczyła Bożena, wpatrując się w przyjaciółkę sarnimi oczami o długich rzęsach. Rozalia ponownie się roześmiała.

– No teraz to mnie rozbawiłaś do łez – powiedziała, próbując opanować śmiech. – Przecież każdy policjant o zdrowych zmysłach odeśle mnie do wariatkowa. Jak ty to sobie wyobrażasz? Pójdę na komendę i oświadczę, że miałam sen, w którym ktoś zakopywał ciało kobiety. Opiszę im to miejsce, a oni szybciotko je znajdą?

– Zrobisz, co zechcesz, ale ja na twoim miejscu nie lekceważyłabym tego – powtórzyła Bożena, wzruszając ramionami i zmieniła temat rozmowy.

ROZDZIAŁ 7

Call center, w którym pracowała Wiertnicka, mieściło się niedaleko stacji kolejki miejskiej Gdańsk-Żabianka. Pięciopiętrowy budynek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Biała elewacja, dziesiątki okien, a wokół wybrukowany parking. Woronko zaparkował ducati prawie przy wejściu. Uważnie zlustrował okolicę. Dostrzegając kilka kamer monitoringu, odczuł ulgę. Zsiadł z motocykla i pewnym krokiem ruszył do drzwi. Po wejściu do holu zobaczył tablicę informacyjną z nazwami firm mających tu swoje biura. Jak na tak niewielki obiekt było ich naprawdę sporo. Naszła go nawet myśl, że może tutejsze biura mają rozmiary zbliżone do jego gabinetu. Odszukał firmę, która go interesowała. Mieściła się na ostatnim piętrze. Na szczęście wchodząc do środka, dostrzegł windę. Odwrócił się, chcąc ruszyć w jej stronę, i wtedy zatrzymał go twardy wzrok stojącego dwa metry przed nim ochroniarza. Facet dorównywał mu wzrostem, jednak jego biceps był dwa razy większy od uda Woronki. Sytuacja nie była nowa. Wygląd komisarza często wzbudzał zainteresowanie. Woronko sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Ochroniarz instynktownie przesunął dłoń na kaburę.

– Spokojnie robimy w podobnej branży – odezwał się komisarz, pokazując ochroniarzowi legitymację, na widok której brwi mężczyzny uniosły się wysoko. Takie reakcje zdaniem Woronki były bezcenne. Minął zaskoczonego ochroniarza i ruszył do windy. Dziewczyna w recepcji nie okazała zdziwienia, kiedy Woronko wyjaśnił, w jakiej sprawie się tu zjawiał. Specjalnie go to nie dziwiło. Kupując rano papierosy w kiosku, widział zdjęcie zaginionej w kilku lokalnych gazetach. Podejrzewał, że wiadomości dotarły również tutaj. Poczta pantoflowa była skuteczniejsza od poczty polskiej i wszystkich firm kurierskich razem wziętych.

– Zaraz poproszę pana Grzegorza Nowaka, to przełożony pani Wiertnickiej – zaszczębiotała dziewczyna, podnosząc słuchawkę telefonu. Komisarz rozejrzał

się w poszukiwaniu foteli lub kanapy, gdzie mógłby poczekać, ale Nowak zjawił się niemal natychmiast.

– Smutna sprawa – oznajmił, kiedy komisarz ponownie wyłożył cel swojej wizyty.

– Może przejdziemy do pokoju, gdzie spokojnie będziemy mogli porozmawiać? – zaproponował mężczyzna i nie czekając na odpowiedź, ruszył szerokim korytarzem.

Weszli do ogromnego pomieszczenia. Przy stanowiskach oddzielonych od siebie jedynie cienkimi ściankami pracowało kilkadziesiąt osób. Kilka z nich siedzących najbliżej przejścia obrzuciło ich ciekawskimi spojrzeniami. Kierownik działu zaprowadził komisarza do niewielkiego pokoju. Woronko widząc okrągły stół i kilka krzeseł, uznał, że to nie gabinet, a raczej pokój przeznaczony na spotkania z gośćmi lub pracownikami.

W pomieszczeniu panował chłód. Mimo skórzanej kurtki Woronko zadrżał. Na Nowaku temperatura nie zrobiła żadnego wrażenia.

„Widocznie się przyzwyczaił” – pomyślał Woronko. Dopiero teraz przyjrzał się Nowakowi. Facet mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Pociągła, wydłużona twarz upodabniała go do lisa. Szare oczy patrzyły smutno. To wszystko w połączeniu z granatowym garniturem, białą koszulą i czarnym krawatem sprawiały, że zdaniem komisarza bardziej nadawałby się na kierownika zakładu pogrzebowego. Nawet ton głosu wyrażał smutek.

– Ta informacja bardzo nas wszystkich zasmuciła – oświadczył tak, jakby rozmawiali o kimś, kto odszedł do wieczności.

– Interesuje mnie kilka rzeczy – oznajmił komisarz, ignorując słowa Nowaka.

– Po pierwsze, od kiedy Klementyna Wiertnicka u państwa pracowała. Po drugie, jaki był jej wymiar etatu. Po trzecie, o której wyszła z pracy 20 czerwca, i po czwarte, czy przyjaźniła się z kimś ze współpracowników – wyliczał Woronko.

– Sądzę, że to da się zrobić – powiedział Nowak po chwili zastanowienia równie ponurym głosem. Woronko nie okazał zadowolenia. Siedział w dość luzackiej pozie.

– Ile to panu zajmie?

– Myślę, że jakieś dziesięć minut – ocenił mężczyzna, opuszczając pokój. W rzeczywistości wrócił po pięciu minutach z kompletem informacji. Opuszczając biurowiec, Woronko wiedział, że Wiertnicka pracowała tutaj od dziewięciu miesięcy na jedną czwartą etatu. Była sumienna, punktualna i mało towarzyska. Nowak użył nawet sformułowania „zdolny odludek”. Komisarzowi przyszło na myśl, że te cechy w pewnym sensie odpowiadają jego osobowości. Jednak najważniejsza informacja była taka, że 20 czerwca Wiertnicka wyszła z pracy przed siedemnastą. Co zatem robiła po wyjściu z biurowca, a dwudziestą trzecią kiedy to zatelefonowała do swojej współlokatorki?

ROZDZIAŁ 8

Siedzieli bardzo blisko. Woronko uznał, że za blisko. Ich ramiona i łokcie ocierały się o siebie przy każdym, nawet nieznacznym, ruchu ciała. Jednak w ciasnym biurze, zwłaszcza jeśli chcieli razem obejrzeć jakiś materiał na laptopie, było to nieuniknione. Mimo to komisarz czuł dyskomfort. Próbował maskować skrzępowanie, ale znając spostrzegawczość Kaśki, prawdopodobnie już to zauważyła. Jej perfumy, mimo że delikatne, otaczały ją owocowymi nutami. Wpatrzeni w ekran laptopa analizowali zapisy z kamer, które dostarczono im poprzedniego popołudnia. Nagrania potwierdzały wszystko, to co zdążyli już ustalić. Dzięki temu mogli zamknąć pewien etap śledztwa i skoncentrować wysiłki na szukaniu nowych tropów, które z kolei pozwolą zrobić następny krok naprzód. Gdy skończyli, z ulgą przesunął fotel do swojego biurka. Usiadł i przebiegł wzrokiem sporządzone chwilę temu notatki. Odchylając się na oparciu obrotowego fotela, który pod jego ciężarem lekko zaskrzypiał, wyliczał w myślach to, co już wiedzieli. Po pierwsze zapisy monitoringu z biurowca, w którym pracowała Wiertnicka, potwierdzały, że 20 czerwca wyszła z pracy kilka minut przed siedemnastą. Jednak gdzie poszła, tego ustalić już się nie dało. Podobnie było w przypadku zeznań Jana Stępki, jak dotąd jedyne i kluczowe świadka, który zgłosił się do nich z własnej i nieprzymuszonej woli.

Z przystanku na Przymorzu poszedł w kierunku Kołobrzeskiej, co zarejestrował miejski monitoring. Jak wynikało z zeznań żony oraz sąsiada spotkanego na schodach, do domu dotarł o dwudziestej trzeciej piętnaście. Zdaniem komisarza jedyne, co łączyło świadka z zaginioną, to fakt, że spotkał ją na przystanku przy Obrońców Wybrzeża, jechał z nią tym samym autobusem i wysiadł tam, gdzie ona. Poza tym absolutnie nic nie wskazywało, by miał jakkolwiek udział w zaginięciu dziewczyny. Gruntowne sprawdzenie życiorysu ochroniarza zdawało się potwierdzać przypuszczenia Woronki. Dla świętego

spokoju komisarz zlecił również dyskretne sprawdzenie Stęпки w miejscu pracy i zamieszkania. Wszystkie opinie przedstawiały ochroniarza w samych superlatywach. Jednym słowem facet był czysty jak woda destylowana. Po drugie dzięki zapisom z kamer mogli prześledzić, co działo się z Wiertnicką od chwili opuszczenia autobusu. Wiedzieli więc, że do chwili, kiedy zarejestrowała ją ostatnia kamera, nie wydarzyło się nic szczególnego. Dziewczyna z nikim nie rozmawiała, nie wchodziła do nielicznych otwartych o tej porze sklepów. Prosto z przystanku ruszyła w stronę Grunwaldzkiej. I wreszcie, po trzecie, pozwalały dość precyzyjnie określić czas zaginięcia młodej kobiety. Ostatnie ujęcia na których widziano poszukiwaną pochodziły z monitoringu lokalnego sklepu. Nagranie pokazywało Wiertnicką skręcającą na chodnik prowadzący w stronę bloku, w którym wynajmowała mieszkanie. Niestety w tym miejscu ślad się urywał.

„Jak dotąd wszystko ma ręce i nogi” – pomyślał Woronko, przypominając sobie zeznanie współlokatorki, z którego wynikało, że podczas rozmowy telefonicznej Wiertnicka zapowiedziała powrót około dwudziestej trzeciej.

– Wniosek z tych nagrań jest taki, że zaginęła między ulicą a oddalonym od niej o trzydzieści metrów blokiem – podsumowała Solińska wyłączając nagranie. Przemyslenia Woronki szły w podobnym kierunku. Zwłaszcza, że z logicznego punktu widzenia innej możliwości nie było.

– Poza tym gdyby chciała wyjechać to nie wracałaby do domu. Jeśli wierzyć współlokatorce nie zabrała z pokoju żadnych ubrań, nawet laptop i aparat fotograficzny zostały – dorzuciła Solińska po chwili zastanowienia. Sugestia policjantki miała sens, ale dla komisarza fakt, że dziewczyna znika na przestrzeni trzydziestu metrów, był dziwnie niepokojący. Wiedział jednak, że zasadniczo w grę wchodzi dwie możliwości. Pierwsza taka, że dziewczyna sama postanowiła zniknąć, nie informując nikogo. Być może miała jakieś ukryte powody, by tego nie robić. Druga opcja, której – póki co – wolał nie brać pod uwagę, ale z powodu zawodowych doświadczeń nie mógł jej wykluczyć, zakładała, że ktoś jej pomógł i nie była to pomoc, o którą by prosiła. Rozstrzygnięcie, czy została jedynie porwana czy – nie daj Boże – zamordowana w obecnej sytuacji nie miało sensu.

– Wiesz co, Kaśka, tak sobie myślę, że powinniśmy zebrać więcej informacji o samej zaginionej. Może dzięki temu dowiemy się jakiś szczegółów z jej życia prywatnego – zasugerował Woronko, wstając i podchodząc do okna. Oparł się plecami o parapet i wbił wzrok w kopię słoneczników van Gogha wiszącą na przeciwnej ścianie. Jego ogromna mierzająca prawie dwa metry postać niemal zupełnie wypełniła okienną wnękę.

– Tak naprawdę to, co my wiemy? – zapytał, przenosząc spojrzenie na policjantkę.

– No nie za wiele – przyznała aspirant.

– Może pojechałabyś na uniwersytet i trochę rozpytała? Wiesz, ty masz bardziej przyjemną gębę niż ja. Tobie chętniej się zwierza, a przede mną uciekną.

– Ja tam w twojej gębie nic strasznego nie widzę – odpowiedziała, kierując na jego twarz uważne spojrzenie. Po raz drugi w ciągu kilkunastu minut odczuł zażenowanie.

– Bo zwyczajnie ślepa jesteś – prychnął, odwracając twarz do okna, by ukryć rumieniec. Wolał patrzeć na ulicę, drzewa, ludzi niż na kobietę, która go zawstydziła. Czy zrobiła to specjalnie, czy tylko dla zabawy, tego nie wiedział i wiedza ta nie była mu do szczęścia potrzebna.

– No dobra, koniec żartów i bierzemy się do roboty. Ty na uniwersytet, a ja porozmawiam sobie szczerze z panią Skowrońską – zarządził, spoglądając na zegarek.

Współlokatorka Wiertniczej miała zjawić się za pół godziny. Była ona ostatnią osobą, która rozmawiała z zaginioną. Jej zeznanie wydało się Woroncy dziwnie zwięzłe. Bardziej przypominało lakoniczną notatkę służbową. A przecież te kobiety mieszkały pod jednym dachem od siedmiu miesięcy, więc powinny wiedzieć o sobie więcej, niż powiedziała Skowrońska.

– W takim razie ruszam na łowy, a ty trzymaj za mnie kciuki i wyduś ze Skowrońskiej wszystko, co wie – powiedziała Solińska. Zabrała torebkę i ruszyła do wyjścia.

Prawie zawsze, gdy trzeba było dyskretnie przepytac przyjaciół i znajomych poszukiwanej osoby, spadało to właśnie na nią. Nie traktowała takich zadań w kategoriach kary, a raczej jako szansę na wykazanie swoich umiejętności. Komisarz potrafił prowadzić przesłuchania na komendzie, kiedy miał do

czynienia z osobami wezwanymi. Ale praca w terenie wymagała zupełnie innych predyspozycji. Tam liczyła się odpowiednia aparycja, łatwość nawiązywania kontaktów i delikatność. Przy wszelkich zaletach Woronki tych cech mu brakowało. Kiedy za policjantką zamknęły się drzwi, komisarz podszedł do biurka i usiadł na fotelu. Wysłanie Solińskiej w teren miało dwa plusy. Po pierwsze istniała szansa – i to dość spora – że czegoś się dowie. Tak przynajmniej kazały sądzić rezultaty z jej poprzednich działań. Po drugie, i znacznie ważniejsze, został sam, a to mimo całej sympatii, jaką darzył młodą aspirant, najbardziej mu odpowiadało. Od dawna miał opinię samotnika, który tylko w pojedynkę może rozwiązywać nawet najtrudniejsze zagadki. Obecność Solińskiej bywała pomocna, ale i bez niej potrafiłby rozwiązać wszystkie te sprawy, jakie prowadzili razem. Czasami miał wrażenie, że policjantka rozumie, iż natura samotnego wilka to nie kolor ścian, rodzaj wykładziny czy model mebli, które można zmienić. Praca w samotności owocowała przemyśleniami mającymi wpływ na przebieg śledztwa. Ponownie uruchomił nagrania z kamer. Dwie rzeczy nie dawały mu spokoju. Pierwsza dotyczyła tego, co Wiertnicka robiła w dniu zaginięcia między siedemnastą a dwudziestą trzecią. Skoro Stępka spotkał ją na przystanku przy Obrońców Wybrzeża, musiała kogoś odwiedzać w tamtej okolicy. W grę wchodziła jeszcze wizyta w klubie fitness czy zakupy w galerii. Ale jedynym jej bagażem była niewielka torebka na ramieniu, więc zakupy czy fitness można było raczej odrzucić. Druga sprawa była bardziej niepokojąca. Te trzydzieści metrów nie dawały Woronce spokoju. Podejrzewał, że jeśli wydarzyło się coś, co miało związek z zaginięciem Klementyny Wiertnickiej, to stało się właśnie na przestrzeni tych trzydziestu metrów. Mimo ponownego uważnego obejrzenia nagrań nie zauważył niczego szczególnego. Zatrzymał nagranie, sięgnął do szuflady po teczkę z materiałami dotyczącymi zaginięcia Wiertnickiej, wyciągnął jeden z dokumentów i spojrzał na plan sytuacyjny wykonany przez patrol wysłany do mieszkania zaginionej. Gdy patrzył na niego po raz pierwszy zwrócił uwagę na parking usytuowany obok bloku, ale wtedy nie uznał tego miejsca za szczególnie ważne. Jednak teraz, kiedy wiedzieli, gdzie urwał się ślad po Wiertnickiej, parking nabierał kluczowego znaczenia w całej sprawie. Wyjazdu z parkingu nie obejmowała żadna kamera. Więc teoretycznie była to jedyna droga, którą można było

odjechać spod bloku, w dodatku nie będąc zauważonym. Myśl, jaka nagle pojawiła się w jego głowie, nie była specjalnie obiecująca. Ale w obecnej sytuacji nawet ją należało wykorzystać. Co prawda, policjanci rozejrzeli się po okolicy, jednak przy nawale pracy, jaką musieli codziennie wykonywać, był skłonny zaryzykować twierdzenie, że niespecjalnie się do tego przyłożyli. Zwłaszcza, że nie chodziło o kradzież, morderstwo, czy równie poważne przestępstwo, a jedynie o zwykłe zaginięcie młodej dziewczyny, która może za kilka dni odnajdzie się cała i zdrowa w Krakowie, Wrocławiu czy Poznaniu. Sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer oficera dyżurnego. Rozmawiał z nim dłuższą chwilę, a kiedy skończył przyznał w duchu, że polecenie, jakie właśnie wydał, mogło, choć wcale nie musiało, dopomóc w zrobieniu kolejnego kroku naprzód. Zebrał dokumenty do teczki i na powrót schował ją w szufladzie. Barbara Skowrońska miała stawić się na przesłuchanie za dziesięć minut. Tyle Woronce wystarczyło, by przynieść sobie kawę i uzupełnić w formularzu dane przesłuchiwanego. Gdyby na jego miejscu siedziała teraz Solińska, z pewnością przesłuchiwany także raczyłby się kawą lub herbatą. On jednak mimo pewnych zmian, jakie zaszły nie tylko w gabinecie, ale i w nim samym, kilku zasad trzymał się bardzo konsekwentnie. Uważał, że komenda policji to nie cholerna knajpa, gdzie przesłuchiwanym czy nawet podejrzanym serwuje się ciepłe napoje. Takie praktyki wywoływały w nim niesmak. Kiedyś zapytał Solińską, co chce osiągnąć, racząc przesłuchiwanym kawą lub herbatą.

– Zwyczajnie chcę być miła – odpowiedziała posyłając mu lekki uśmiech.

– To im jeszcze ciasteczka zaserwuj – burknął zirytowany postawą policjantki.

Spojrzał na zegarek. Wezwana miała już pięć minut spóźnienia. Zamierzał właśnie zadzwonić do oficera dyżurnego, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Powiedział proszę i przybrał najbardziej ludzki wyraz twarzy, na jaki było go stać. Drzwi otworzyły się delikatnie, jakby ten, kto stał po drugiej stronie, czegoś się obawiał. W progu zobaczył jednego z nowych policjantów i Barbarę Skowrońską.

– Panie komisarzu, przyprowadziłem panią Skowrońską – powiedział funkcjonariusz drżącym głosem. Z jakiegoś powodu chłopak wyglądał tak, jakby chciał najszybciej jak to możliwe obrócić się na pięcie i zwiać. Komisarz zupełnie

tego nie rozumiał. Przecież od jakiegoś czasu palmę pierwszeństwa w dziedzinie grubiaństwa i chamstwa dzierżył już ktoś inny. On zaś spadł na drugą, a niektórzy szeptali, że nawet trzecią pozycję.

– Bardzo dziękuję, aspirancie Witek – powiedział, zerkając na identyfikator policjanta i posyłając mu serdeczny uśmiech. Następnie przyjrzał się dziewczynie. Jeden rzut oka na Skowrońską upewnił Woronkę, że przed przyjściem tutaj odbyła seans rozluźniający. Świadczyły o tym lekko przekrwione oczy i blade palce. Woronko nie wyczuł charakterystycznego słodkawego zapachu. Zamiast niego pokój wypełniła intensywna woń ostrych perfum, tak odmiennych od delikatnego zapachu otaczającego Solińską. A mimo to komisarz miał przekonanie graniczące wręcz z pewnością, że dziewczyna przed przyjściem raczyła się marihuaną lub haszyszem.

– Proszę usiąść – powiedział, gdy policjant zamknął drzwi. Dziewczyna zajęła wskazane miejsce.

– Poprosiliśmy tutaj panią...

– Raczej wezwaliście – wpadła mu w słowo, kładąc na blacie zawiadomienie i stukając w nie paznokciem pomalowanym na wściekle różowy kolor.

– No dobrze, niech będzie, że wezwaliśmy – zgodził się Woronko, maskując wzbierającą wściekłość pobłażliwym uśmiechem.

– Pani Barbaro, chciałbym nieco uszczegółowić złożone przez panią zeznania. W związku z tym mam kilka pytań – oznajmił i zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, zadał pierwsze z nich.

– Skąd zna pani Klementynę Wiertnicką?

– Jesteśmy na jednym roku studiów.

– Interesuje mnie raczej, jak to się stało, że zamieszkały panie razem – wtrącił Woronko, doprecyzowując sens zadanego pytania. Przez cały czas nie spuszczał z dziewczyny wzroku. Był ciekaw, co wzięła nim tu przyszła. Mimo że nie pracował w sekcji narkotykowej, potrafił rozpoznać objawy towarzyszące zażywaniu prochów. Wiedział, że różne grupy narkotyków wywołują specyficzne reakcje organizmu. Pobudzenie, wzrost samooceny, pewność siebie można było przypisać gustującym w kokainie lub amfetaminie. Wesolkowatość Skowrońskiej bardziej pasowała do tych, którzy woleli coś łżejszego jak haszysz czy marihuana. Wyraz twarzy Skowrońskiej świadczył o tym, że dziewczyna

próbuje przypomnieć sobie szczegóły o które została właśnie zapytana. Udało jej się to po dłuższej chwili.

– Gdy zaczęłam studia, zamieszkałam razem ze swoim chłopakiem, ale po dwóch miesiącach doszliśmy do wniosku, że dokoptowanie trzeciego współlokatora obniży koszty. Oboje dopiero co przeprowadziliśmy się do Gdańska i nie mieliśmy żadnych znajomych, którzy poszukiwaliby pokoju. Dałam więc ogłoszenie. Pierwsze dwie osoby, jakie na nie odpowiedziały, nie wzbudziły naszego zaufania. Wyglądały na takie, które imprezy stawiają ponad studia, a my szukaliśmy kogoś spokojnego. Po kilku dniach zadzwoniła Klementyna i w ten sposób zamieszkała z nami.

Przez kolejne pół godziny Woronko pytał, notował odpowiedzi, ale obraz, jaki wyłaniał się z zeznań Barbary Skowrońskiej, był dla komisarza wielką zagadką. Klementyna Wiertnicka rysowała się w nich jako tajemnicza, skryta, ambitna i twardo stąpająca po ziemi. Jej grono znajomych, przynajmniej według współlokatorki, ograniczało się wyłącznie do kilku osób. O rodzinie zaginionej wiedziała tyle, że rodzice rozwiedli się, kiedy ona miała trzynaście lat i od tego czasu aż do osiągnięcia pełnoletności mieszkała z matką w Poznaniu. Na studia zarabiała, pracując w telefonicznym biurze obsługi klienta jednej z marek telefonii komórkowej. Ale to już ustalili wcześniej.

– Czy Wiertnicka brała narkotyki? – wtrącił to pytanie między dwa inne, które niewiele mogły wniesić do sprawy.

– Klementyna, narkotyki? – zdziwienie przesłuchiwanej wydawało się autentyczne, jednak policjant w swojej karierze miał do czynienia z równie autentycznymi aktorami.

– Tak, prochy. Może nawet te same, które zażyłaś przed przyjściem tutaj.

Dziewczyna lekko drgnęła i cicho się roześmiała.

– Ale z pana żartowniś.

– Co brałaś? Haszysz, marihuanę? – drażył Woronko, ignorując dziewczynę.

– No, teraz to wspiał się pan na wyżyny dowcipu.

– Ciekawe, czy tak samo będzie ci do śmiechu, jak zrobimy kipsisz w waszym mieszkaniu? – zapytał, nachylając się do dziewczyny. Strach, jaki zobaczył w jej oczach, wystarczył, by wiedział, że trafił w sedno.

– No, to co z tymi prochami? – powtórzył tonem, który nie zostawiał wątpliwości, że jeśli będzie trzeba, zrealizuje groźbę przeszukania.

Tym razem dziewczyna spoważniała i zaczęła niespokojnie wiercić się na krześle, jakby ktoś dla żartu położył na siedzeniu pinezkę.

– Fakt, zapaliłam jednego skręta, ale to tylko dla rozluźnienia. Wie pan, wizyta w takim miejscu nie należy do szczególnych rozkoszy.

Woronko uznał tłumaczenia Skowrońskiej za gówno wartą paplaninę.

– To, że jarałaś, widać gołym okiem i trzeba by być ślepy, aby tego nie zauważyć. Mnie interesuje, czy Wiertnicka też ćpała. A jeśli tak, to co, w jakich ilościach i jak często.

To, że Barbara Skowrońska lubiła zapalić skręta, niewiele go obchodziło. On musiał dowiedzieć się, jak najwięcej o życiu i zwyczajach zaginionej.

– Nie, Klementyna była zupełnie czysta. Ona nawet piwa nie piła – oświadczyła współlokatorka bez zastanowienia. Woronko zadał jeszcze kilka pytań, następnie polecił przesłuchiwanej przeczytać zeznanie i jeśli wszystko się zgadzało podpisać. Skowrońska właśnie składała podpis pod dokumentem, kiedy zadzwonił stojący na biurku telefon. Woronko odebrał i przez chwilę słuchał w skupieniu. Informację, które właśnie mu przekazano, sprawiły, że poczuł znajomy dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Odczuwał go zawsze, kiedy w sprawie, jaką prowadził, następował przełom. Tym razem było podobnie.

ROZDZIAŁ 9

Kolejna noc nie przyniosła Rozalii Pawlak spokojnego snu. Znowu śniła o zakopywanej dziewczynie. Wstając rano z łóżka, pomyślała, że z dwojga złego, to wołała już bezsenność, ona przynajmniej była twórcza, a wydziergane obrusy czy obrazy zawsze mogły posłużyć jako awaryjne prezenty. Po śniadaniu zmusiła się do spaceru. Sądziła, że świeże powietrze doda jej energii. Dzień należał do tych z gatunku ciepłych, ale nie upalnych. Słońce raz po raz chowało się za pojedynczymi ciemnymi chmurami. W parku przebywali przede wszystkim rodzice z małymi dziećmi. Już jakiś czas temu zauważyła kilku tatusiów pchających dumnie wózki i grono to stale się powiększało. Za jej młodych lat takie rzeczy były nie do pomyślenia. Wtedy panowały zupełnie inne zwyczaje, społeczeństwo było bardziej konserwatywne, a podział ról w małżeństwie – jasno określony przez tradycję. Żona miała rodzić, wychowywać i dbać o dom, a mąż pracował na wszystko. Tyle że aby zarobić na to „wszystko”, żony najczęściej również pracowały. Osobiście nie miała nic przeciwko równouprawnieniu płci. Mężczyźni powinni wiedzieć, że godzenie pracy z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu do łatwych nie należało. Po przejściu trzech kilometrów usiadła na ławeczce i wystawiła twarz do słońca. Przymknęła oczy, delektując się przyjemnym ciepłem. Świergot ptactwa, zapach świeżo skoszonej trawy, czerwcowe słońce. To wszystko wprawiało ją w dobry nastrój. Dzwonek telefonu rozbrzmiał w torebce. Nie miała zamiaru odbierać. Znając życie, to kolejny konsultant. Telefon zamilkł, by po chwili ponownie się rozdzwonić. Niechętnie sięgnęła po aparat. Zerknęła na wyświetlacz i przesunęła zieloną słuchawkę.

– Cześć, Natałko – przywitała wnuczkę zdrobnieniem, którego tylko ona mogła używać. Wszyscy pozostali musieli zwracać się do niej pełnym imieniem. Wnuczka dzwoniła do niej najczęściej wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy. Rozalia nie widziała w tym nic zdrożnego. Miała tylko jedną wnuczkę i chciała dla niej jak najlepiej.

– Oczywiście, Natałko, że na swoją babcie zawsze możesz liczyć – zapewniła Rozalia, kiedy dziewczyna wyartykułowała już swoją prośbę. Porozmawiały jeszcze przez chwilę i dziewczyna, wymigując się nauką zakończyła rozmowę. Rozalia wracała do domu z dwoma postanowieniami. Po pierwsze musi się zdrzemnąć chociaż godzinkę. Ostatnia noc należała do najgorszych od dnia, gdy zaczęła brać te cholerne pigułki. Drugie postanowienie dotyczyło właśnie wspomnianych pigułek. Wyrzuci je zaraz po wejściu do mieszkania. Wołała już bezsenne noce niż takie, w których doświadczała koszmarów. Wyszła z parku i po kwadransie dotarła do przystanku kolejki. Po wejściu do pociągu zajęła miejsce przy oknie. Póki co nie było tłoku. Obserwowała przesuające się za oknem miasto, w którym przeżyła całe życie. Widziała zachodzące zmiany i nie ze wszystkich była zadowolona. Na jednej z kolejnych stacji przysiadły się dwie dziewczyny wyglądające na studentki.

– Wczoraj w Sopocie rozwiesiliśmy ponad pięćset plakatów. Normalnie rąk nie czuję – powiedziała wyższa z nich. Miała kasztanowe lekko falujące włosy, a w prawej dziurce nosa – srebrny kolczyk.

– Dzisiaj znowu napisali o jej zaginięciu w gazecie – dodała druga z dziewcząt, wyjmując z torebki lokalny dziennik. Na pierwszej stronie widniało duże zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny o opalonej twarzy. Fotografia musiała zostać zrobiona gdzieś na plaży, bo w górnej części było widać fragment szybującej mewy.

– Tajemnicze zaginięcie Klementyny Wiertnickiej – przeczytała Rozalia. Ale bardziej od tytułu wstrząsnęło ją zamieszczone zdjęcie. Dziewczyna o czarnych włosach sięgających ramion i zielonych oczach przypominała tę z jej koszmarnego snu. Będąc nastolatką, Rozalia czytała trochę o snach. Myślała, że dzięki temu zrozumie, dlaczego o niczym nie śni. To pytanie pozostało niestety bez odpowiedzi. Żadna z teorii dotyczących tego, dlaczego śnimy, nie wzbudziła jej głębszego zainteresowania. Jednak, kiedy już zaczęła śnić, przekonała ją teoria, jaką wysunął Fritz Perls, bo do pewnego stopnia wyjaśniała ona kwestię snów. Zgodziła się z założeniem, że miejsca, osoby i zdarzenia z naszych snów są odzwierciedleniem własnych przeżyć. Przykładem tego były sny, w których na nowo doświadczała tego, co już przeżyła. Jednak ostatnie kilka snów nie pasowało do tej teorii. Przecież nigdzie nie czytała, ani nie słyszała o tym, że ktoś

zamordował i zakopał młodą dziewczynę. Co prawda, tytuł z gazety informował jedynie o zaginięciu, ale jeśli jej sny naprawdę opowiadały o rzeczywistych wydarzeniach, to znaczyło, że poszukiwana jest już martwa. Gdy wysiadła w Oliwie, kupiła w najbliższym kiosku gazetę. W domu jeszcze raz dokładnie obejrzała zdjęcie zaginionej i przeczytała artykuł. Klementyna Wiernicka studiowała marketing. 20 czerwca wyszła z domu około godziny czternastej. Miała wrócić około dwudziestej trzeciej, ale nie wróciła. Im bardziej Rozalia wpatrywała się w zdjęcie, tym więcej miała wątpliwości. Odłożyła więc gazetę i przeszła do sypialni, aby uciąć krótką drzemkę. Kiedy obudziła się godzinę później, zdecydowała, że jeszcze nie odstawi tabletek. W opakowaniu zostały ostatnie trzy, więc w najgorszym razie miała przed sobą trzy koszmarne noce.

ROZDZIAŁ 10

Prowadzenie nocnego klubu nie należało do zadań lekkich, łatwych i przyjemnych. Co do przyjemności, to owszem zdarzały się okazje, ale Tomasz Drawicz nigdy z nich nie korzystał. Po pierwsze nie należał do samców z gatunku „posuwam wszystko, co się rusza”. Po drugie nocny klub był jego biznesem, a nie punktem darmowych usług seksualnych. Po trzecie tańczące u niego dziewczyny, jakby na to nie patrzeć, były jego pracownikami i wołał w żaden sposób nie faworyzować żadnej z nich. Lekko też nie było. Pamiętał, jak przez pierwsze dwa miesiące zmuszał organizm do pracy przez całą noc. Od samego początku uważał, że właściciel powinien być na miejscu przez cały czas. Dzięki temu nie był rżnięty na kasie przez cwaniaczkowatych barmanów, bramkarze nie wpuszczali do środka kogo popadnie, a dealerzy dla własnego bezpieczeństwa woleli handlować na zewnątrz niż w środku. Jednak najgorsze były kłopoty. Ich Drawicz unikał jak ognia. Cóż z tego, skoro czasami zagrożenie nadchodziło z najmniej oczekiwanej strony. Podobnie było tego ranka. Siedział w biurze, robiąc właśnie zamówienie na alkohol, gdy przyszedł do niego Szymon, chłopak obsługujący monitoring lokalu i oznajmił, że mają problem. Już samo to słowo sprawiło, że Drawicz zmarszczył brwi.

– Szymon, a dokładnie jaki to problem? – Drawicz wołał, aby wszystko miało konkretną nazwę. Określenie „problem” było pojemne jak Zatoka Gdańska. Mogło oznaczać zarzygany kibel, zdemolowaną salę albo trupa schowanego na antresoli.

– Szef pozwoli za mną, to pokażę.

Kilka minut później Drawicz patrzył na zapis jednej z kamer. W tym, co widział, nie dostrzegał niczego, co można by nazwać „problemem”. Chłopak cofnął zapis i zatrzymał nagranie na twarzy młodej dziewczyny. W pierwszej chwili Drawicz pomyślał, że któryś z chłopaków na bramkach wpuścił do środka jakąś nieletnią kurewkę. Czasami zdarzało się, że panienki z gimnazjum

dorabiające ciałem chciały u nich zapolować na klienta. Jednak dziewczyna wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Już miał zamiar zapytać, gdzie Szymon widzi problem, bo on żadnego nie dostrzegł. Kiedy chłopak położył przed nim gazetę.

– Na moje oko, to ta sama laska – powiedział Szymon, stukając palcem wskazującym w wydrukowane na pierwszej stronie zdjęcie. Drewicz najpierw przeczytał krótką notatkę pod fotografią: *Klementyna Wiertnicka, lat dwadzieścia zaginęła 20 czerwca około dwudziestej trzeciej w okolicy przystanku kolejki Gdańsk Przemyrze.*

Dopiero później porównał zdjęcie z twarzą na nagraniu. Szymon miał rację podobieństwo było uderzające, ale czy była to ta sama osoba, tego Drewicz nie był pewien.

– Widziałeś już ją u nas kiedyś?

Szymon zaprzeczył ruchem głowy.

– Ten facet, co jej drinka stawia, to stały gość, ale z tych spokojniejszych. Przyjdzie, posiedzi, czasem jakiejś panience drinka zafunduje. Jeśli nawet z którąś idzie na całość, to nigdy u nas – dodał chłopak po chwili.

– Dobra, Szymon, zrobimy tak. Przegraj mi wszystkie ujęcia na których ich widać, a ja pofatyguję się do psiarni i dam im te materiały – polecił Drewicz, wychodząc z pokoju. Nalewając sobie soku pomarańczowego, pomyślał, że może dzięki tym nagraniom pomoże psom w odnalezieniu tej laski, a przy okazji ugra może coś dla siebie.

ROZDZIAŁ 11

Pierwsze, co ją zdziwiło, to parking przy uczelni. Był prawie pusty, nie licząc kilku samochodów, które z całą pewnością nie należały do studentów. Oni nawet, jeśli posiadali cztery kółka, to na pewno nie miedziane audi Q4 czy bordowe BMW I5. Na takie cuda motoryzacji mogli sobie pozwolić co obrotniejsi wykładowcy z tytułami profesorskimi dzielący weekend między gdańskie, sopockie i koszalińskie uczelnie. Świeżo upieczeni magistrzy postanawiający związać swoje życie z uczelnią czy nawet ci, którzy napisali i obronili doktorat, musieli zadowolić się czymś z niższej półki. Ich pensje jeszcze nie pozwalały szaleć, ale za kilka lat wszystko się zmieni. Młodzi zajmą miejsce starych wyjadaczy. Tak było wszędzie, również w policji. Solińska zaparkowała obok zielonego opla corsy. Ten samochód mógł należeć do początkującego naukowca albo kogoś z administracji. Wysiadła i ponownie obrzuciła parking zdziwionym spojrzeniem. Zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, czy to aby nie dzisiaj jest ten śmieszny dzień bez samochodu, który w niczym nie przyczyniał się do poprawy środowiska. Jednak, o ile dobrze pamiętała, przypadał on chyba we wrześniu. Nagle ją olśniło i zrzędła jej mina. Był koniec czerwca, a to oznaczało, że studenci, a przynajmniej większość z nich oddaje się błogiemu lenistwu lub właśnie zaczynają pracę w nadbałtyckich kurortach. Reszta musiała skupić siły na „kampanii wrześniowej”, jak zwykle się nazywać egzaminy poprawkowe. Tak więc wszystko wskazywało na to, że jej wyprawa będzie bezowocna.

„Skoro już przyjechałam, to co mi szkodzi zajrzeć” – pomyślała Solińska, ruszając do wejścia.

Przecucie jej nie zawiodło – gmach świecił pustkami. Mimo wszystko postanowiła spróbować. Skierowała kroki do dziekanatu, wiedząc, że to nie jest najlepszy pomysł, ale innego w tej chwili nie miała. O paniach z dziekanatu każdy student mógłby napisać, jeśli nie książkę, to co najmniej opowiadanie. Nie

należały one do zwykłych pracowników administracyjnych, lecz tworzyły oddzielną kastę. Solińska doskonale pamiętała, że w czasach, kiedy ona studiowała, studenci używali wielu określeń pod ich adresem. Jej ulubionymi były „pierwsza przed Bogiem” i „Czeczzeński najemnik”. Dla wielu żaków wizyta w dziekanacie oznaczała nowe, nie do końca pozytywne, doświadczenie. Mimo to zapukała cicho w masywne drzwi do świątyni wyroczni. Gdy usłyszała stanowcze „proszę”, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Kobieta siedząca za ladą była tylko trochę starsza od niej. Posłała Solińskiej przyjazny uśmiech i miłym głosem zapytała, w czym może pomóc. Policjantkę zamurowało i dopiero po chwili otrząsnęła się z doznanego szoku. Ta pani z dziekanatu w niczym nie przypominała „tamtych pań z dziekanatu”. Solińskiej przemknęło przez głowę, że wymiana pokoleniowa tutaj również zawitała. Powiedziała, kim jest i co ją sprowadza. Kobieta za ladą zmarszczyła brwi. Solińska przypuszczała, że za chwilę usłyszy to, czego się spodziewała, że studenci skończyli zajęcia. Stało się jednak inaczej.

– Zasadniczo studenci skończyli już zajęcia, ale o ile dobrze pamiętam, kilka osób z tej grupy ma dzisiaj egzamin poprawkowy z doktorem Mareckim. Znajdzie ich pani pod salą 203, na drugim piętrze.

Solińska podziękowała i ruszyła na poszukiwania. Rzeczywiście, obok sali 203 na krzeselkach siedziało kilka osób. Kiedy studiowała, tylko raz podchodziła do egzaminu poprawkowego i z czystym sumieniem mogła powiedzieć, że było to najgorsze wspomnienie ze studenckich czasów. Siedziała wtedy wraz z kilkoma osobami, zastanawiając się, jakie pytania przygotowała profesor Bączkowska. Podobnie jak teraz była końcówka czerwca, a oni siedzieli i czekali jak skazańcy na egzekucję. Nikt się nie odzywał. Panowała taka cisza, że słyszeli muchę zawzięcie uderzającą o szybę. To, co zobaczyła teraz, w niczym nie przypominało jej oczekiwania na poprawkę. Kilka osób siedziało na krzeselkach, prowadząc luźną rozmowę. Ich swoboda nie pasowała do kogoś, kto za chwilę będzie musiał wykazać się wiedzą. Policjantce jednak ten stan rzeczy bardzo odpowiadał. Nawiązanie rozmowy w tych warunkach było dużo łatwiejsze, niż gdyby studenci byli zestresowani.

– Nie dalej jak kilka minut temu rozmawialiśmy o Klementynie – odezwała się niska szatynka w okularach, gdy Solińska powiedziała, kim jest i co ją tu

sprowadza.

– Mnie jej zniknięcie specjalnie nie dziwi – wtrącił siedzący na ostatnim krześle chłopak. Solińska przyjrzała się mu badawczo. Poza trzylistną koniczynką wytatuowaną na lewej dłoni, która najpewniej miała świadczyć o jego uczuciach do Zielonej Wypsy, wyglądał całkiem przeciętnie: blondyn w okularach, średniego wzrostu jakich wielu.

– A dlaczego? – zapytała Solińska, przysiadając na krzeselku obok.

– Wie pani, ona była jakaś taka dziwna. Trochę jakby zamknięta w sobie. Unikała towarzystwa, po skończonych zajęciach natychmiast gdzieś znikła. Raz czy dwa zaprosiłem ją nawet na spotkania integracyjne naszego roku, ale na żadne nie przyszła.

Odpowiedź chłopaka wpisywała się w to, co o Wiertnickiej zeznała jej współlokatorka. Wypowiedzi pozostałych były w podobnym tonie. Ktoś rzucił, że może zakuwała, bo miała najlepszą średnią na roku. Jedna z dziewczyn dodała, że musiała sporo pracować, skoro było ją stać na czesne i markowe ciuchy. Solińska miała właśnie skierować rozmowę na współlokatorkę zaginionej, gdy zadzwonił jej telefon. Wyjęła komórkę, spojrzała na wyświetlacz, przeprosiła i odeszła na bok.

– Co się stało, Janusz? – zapytała, spoglądając przez okno na niemal pusty parking. Woronko dzwonił do niej bardzo rzadko, a gdy już się na to zdecydował musiał mieć ważny powód.

– Słuchaj, Kaśka. Wysłałem patrol pod blok Wiertnickiej, żeby chłopaki trochę rozejrzeli się po okolicy i chyba coś znaleźli.

Solińska słuchała w milczeniu. Kiedy komisarz wszystko jej zrelacjonował, zakończyła połączenie, pożegnała się ze studentami i zbiegła do samochodu. Opuszczając budynek uczelni, odczuwała niedosyt informacji. Rozmowy, jakie przeprowadziła z grupą studentów, nie wniosły do sprawy zbyt wiele. A jeśli miała być szczerą, to nie dowiedziała się o zaginionej niczego nowego. Może gdyby nie telefon od komisarza, zdobyłaby więcej informacji. Jednak wiadomość o znalezieniu przedmiotów mogących należeć do zaginionej była ważniejsza. Do studentów zawsze mogła wrócić. Ponadto podali jej swoje telefony i adresy e-mailowe. Dotarcie pod blok, gdzie mieszkała Wiertnicka, zajęło Solińskiej kwadrans. Sądziła, że Woronko będzie już na miejscu, ale nigdzie w zasięgu

wzroku nie zobaczyła jego motocykla. Za to ekipa techników pracowała pełną parą. Znalezionymi przedmiotami okazały się szminka i breloczek do otwierania drzwi. Zwłaszcza pierwsza rzecz wydała się policjantce niezwykle ciekawa. Podejrzewała, że technicy nie zwrócili na nią szczególnej uwagi. Ot, szminka jak szminka. Zabezpieczyli odciski palców i zupełnie o niej zapomnieli. Jednak ona jako kobieta z zazdrością zauważyła, że była to szminka firmy Bobbi Brown i to ta z tych droższych, których ceny oscyływały w okolicy dwustu złotych. Solińskiej, która lubiła ładnie wyglądać i używała, jej zdaniem, dobrych kosmetyków, wydanie choćby stowy na szminkę wydawało się głupotą.

„Ale Wiertnicka najwidoczniej preferuje produkty z najwyższej półki” – pomyślała policjantka, rozglądając się uważnie po pokoju zaginionej. Pomieszczenie miało około dwudziestu metrów kwadratowych. Na podłodze lśniący parkiet. Ściany pomalowane na bladoróżowo bez żadnych obrazów czy innych dekoracji. Wyposażenie świadczyło o tym, że mieszkanie zostało umeblowane z myślą o wynajmie. Proste drewniane łóżko z wysuwaną szufladą na pościel. Zajmująca krótszą ścianę szafa z dużym lustrem. Narożne biurko i obrotowy fotel nie wyróżniały się niczym szczególnym. Nie chcąc przeszkadzać technikom, którzy właśnie zaczęli oględziny pokoju, przeszła do łazienki, ignorując siedzących w kuchni Barbarę Skowrońską i Bartosza Mrozowskiego. Pięć minut później, wracając do pokoju Wiertnickiej, zatrzymała się przed wejściem do kuchni.

– Pani Barbaro, które kosmetyki w łazience należą do pani Klementyny?

– Cała półka na prawo od umywalki jest jej – odpowiedziała współlokatorka, posyłając policjantce zaciekawione spojrzenie. Solińska podziękowała. Nie miała zamiaru wyjaśniać, dlaczego właśnie ta kwestia ją zainteresowała. Zaczynało to niej docierać, że w tej sprawie jest więcej niewiadomych niż do tej pory sądziła.

ROZDZIAŁ 12

Woronko zaparkował pod blokiem, w którym mieszkała Wiertnicka. Kilku techników chodziło wokół budynku szukając kolejnych śladów.

„Dobrze by było, gdyby jeszcze coś znaleźli” – pomyślał, zdejmując z głowy kask. Postawił ciężki motocykl na nóżkach i ruszył w stronę techników. Wiadomość, że patrol wysłany pod dom zaginionej po dokładnym przeszukaniu terenu znalazł w trawie szminkę oraz breloczek do otwierania drzwi wejściowych, specjalnie Woronki nie zaskoczył. Potwierdził natomiast jego przecucia o tym, że jeśli Wiertnickiej coś się stało, musiało to nastąpić właśnie blisko bloku, gdzie nie sięgał zasięg kamer. Potwierdzenie przez współlokatorkę, że oba przedmioty należały do poszukiwanej tylko utwierdziły komisarza w jego przypuszczeniach. Druga grupa techników przeszukiwała mieszkanie. Woronko potoczył wzrokiem po bloku i jego okolicy. Budynek należał do jednych z nowszych na osiedlu. Zupełnie nie przypominał molochów z wielkiej płyty.

– I co, panowie, mamy coś jeszcze? – zagadnął, podchodząc do techników.

– Wygląda na to, że nie – odpowiedział jeden z nich. Komisarz nie dopytywał dalej i ruszył do mieszkania. Solińska była już w środku, asystując ekipie prowadzącej przeszukanie. Wchodząc po schodach, czuł na sobie spojrzenia sąsiadów, którzy z nosem przy judaszu bacznie śledzili każdy jego krok. Obecność policjantów komentowano zapewne w każdym mieszkaniu. Podobnie jak powód, dla którego się tutaj zjawili.

„Ich też warto przepytać. Przecież w powiedzeniu, że ściany mają uszy zawierało się więcej prawdy, niż można było przypuszczać” – pomyślał komisarz, docierając do drugiego piętra. Barbara Skowrońska wraz ze swoim chłopakiem siedziała w kuchni, patrząc spode łba na każdego, kto znalazł się w zasięgu jej wzroku. Woronko powiedział „dzień dobry”, zignorował nieprzyjazne spojrzenie dziewczyny i podszedł do Solińskiej opartej o futrynę.

– Jak tam idzie, panowie? – rzucił, zaglądając do pokoju zajmowanego przez Wiertnicką.

– Za kilka chwil kończymy, panie komisarzu – zapowiedział jeden z nich. Solińska obserwowała ich ruchy bez większego zainteresowania.

– Dowiedziałaś się czegoś na uczelni? – zagadnął Woronko, stając obok.

– I tak, i nie. Ludzie rozmawiali chętnie, ale żadnych konkretów, niestety, nie potrafili powiedzieć. Wiertnicka była ambitną studentką. Miała bardzo wysoką średnią. Jednak kontakty towarzyskie z pozostałymi studentami raczej jej nie interesowały. Nie żeby była jakimś gburem. Mówiła „cześć”, chętnie dzieliła się notatkami, ale tego, co robiła po wyjściu z uczelni, nikt nie wiedział.

Komisarz słuchał uważnie i odniósł wrażenie, jakby Solińska czytała mu zeznania Skowrońskiej. Jego zdaniem obraz zaginionej, jaki stworzyli z otrzymanych informacji, był jakiś dziwny – a mówiąc dobitniej – nijaki. Zaczynał podejrzewać, że miał być on tylko maską, którą stworzyła sama Wiertnicka. Ale jeśli tak było w rzeczywistości to, co próbowała za tą maską ukryć?

– Wiesz, Janusz, ile kosztuje taka szminka jak ta, którą znaleziono przed blokiem?

Pytanie policjantki wyrwało komisarza z zamyślenia. Zastanawiał się, czy pyta od tak czy z jakiegoś konkretnego powodu.

– A skąd do cholery mam wiedzieć takie rzeczy? Czy wyglądam na faceta, który pierwsze kroki po pracy kieruje do drogerii? – odparł, przepuszczając techników wychodzących z pokoju.

– Jakies dwie lub trzy stowy, zależy od modelu – odpowiedziała Solińska, zostawiając gburowaty ton przełożonego bez komentarza. Jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy oboje docierali się, nie odmówiłaby sobie przyjemności rzucenia jakiejś kąśliwej uwagi na temat dobrego wychowania.

– To dużo czy mało?

Pytanie niespecjalnie ją zdziwiło. Trudno przecież wymagać od faceta, nawet jeśli to glina, aby znał ceny różnych kosmetyków.

– Więcej niż dużo. Dobrej klasy szminka to wydatek około pięciu, no może siedmiu dych. To cacko, którego używała Wiertnicka, należy do jednych z najdroższych na rynku – wyjaśniła Solińska, podchodząc do biurka.

– Może wychodzi z założenia, że jeśli już się tapetować, to tapetą z najlepszej półki?

– I tu masz rację – przyznała Solińska, przysiadając na krześle. – Wyobraź sobie, że kosmetyków, jakie stoją w łazience na półce Wiertnickiej, nie powstydziliby się niejedna gwiazda. Perfumy po osiem stów za flakon, maskary, pudry – wymieniała policjantka, rzucając nazwami, które Woronce nic a nic nie mówiły.

– No dobra, Kaśka, ale do czego zmierzasz? Bo zakładam, że tak jest? – przerwał jej bez ceregieli.

– Janusz, chodzi mi o to, że jeśli ktoś miesięcznie zostawia dwa tysiące w perfumerii, to skądś musi tę kasę mieć – oznajmiła aspirant, patrząc wymownie na komisarza.

Odkrycie Solińskiej tylko utwierdziło Woronkę w słuszności swoich przemyśleń sprzed kilku minut, gdy zastanawiał się, czy kreowanie siebie na spokojną, nieśmiałą dziewczynę nie było ze strony Wiertnickiej grą, zasłoną dymną, za którą ukrywała swoje prawdziwe oblicze.

– Wygląda więc na to, że nasza zaginiona albo całą pensję zostawia w perfumerii, albo dorabia sobie jakoś na boku – podsumował komisarz. Solińska lekkim skinieniem głowy potwierdziła jego przypuszczenia.

– Janusz, nie chodzi tylko o kosmetyki. Popatrz na ten laptop – wskazała dłonią na biurko. – Taki sprzęt kosztuje dobrych pięć lub nawet sześć tysięcy. Kolejna sprawa to jej garderoba – podeszła do szafy i otworzyła ją na oścież. – To wszystko – przejechała dłonią po ubraniach wiszących na wieszakach – są markowe rzeczy. Moim zdaniem na infolinii takiej kasy się nie zarabia – zakończyła Solińska, zamykając szafę.

– No chyba, że to seks-linia – rzucił Woronko.

ROZDZIAŁ 13

Przez następne dwa dni Rozalia Pawlak biła się z myślami, czy powinna pójść na policję i opowiedzieć o dziwnych snach, jakie nawiedzały ją od kilkunastu dni. W całym dotychczasowym życiu kierowała się rozsądkiem, no może poza kilkoma drobnymi wyjątkami. Ale nie mogły się one równać z odwiedzeniem komendy i opowiadaniem o snach, które każdy normalny człowiek uzna za bzdury. Nawet jej samej wiara w prawdziwość sennych wizji przychodziła z wielkim trudem. Gdyby nie fakt, że zdjęcie dziewczyny zobaczyła dopiero po swoich niewiarygodnych snach, a nie odwrotnie, to sama zaczęłaby podejrzewać siebie o chorobę psychiczną. Żaden policjant o zdrowych zmysłach nie uwierzył w jej opowieść, uznając, że starsza pani przeczytała artykuł o zaginięciu Klementyny Wiertnickiej, a później poszukiwana zjawiała się w jej snach. Dopiero długa rozmowa z Bożeną Gorczyńską, podczas której przyjaciółka przekonywała o słuszności takiego kroku sprawiła, że mimo zastrzeżeń postanowiła pójść na policję. Tym bardziej, że tak naprawdę niczym nie ryzykowała. Najwyżej wezmą ją za wariatkę i wyrzucą za drzwi. Następnego dnia rano zamówiła taksówkę i pojechała pod adres podany w gazecie. Co prawda, miała własny samochód i nawet w swoim wieku nie bała się prowadzić, ale tym razem wolała nie kusić losu. Tym bardziej, że przez całą drogę myślała, co i jak ma powiedzieć, aby nie przypominało to gadania kogoś, kto z miejsca powinien być odstawiony do psychiatryka. Przekraczając próg komendy, miała ochotę zawrócić i jak najszybciej wrócić do mieszkania. Zdusiła ją jednak w sobie i podeszła do lady, za którą siedział młody policjant.

– Dzień dobry. Nazywam się Rozalia Pawlak i chciałabym przekazać ważne informacje o zaginionej Klementynie Wiertnickiej – wyrecytowała jednym tchem, uświadamiając sobie, że teraz nie ma już odwrotu. Kilka minut później podeszła do niej policjantka i zaprowadziła do niewielkiego, ale gustownie urządzonego biura.

Woronko widząc Rozalię Pawlak, doskonale zdawał sobie sprawę, jaki potencjał drzemie w takich osobach. Już wielokrotnie przekonał się, że to właśnie starsze panie najczęściej na emeryturze lub rencie stanowiły źródło nieocenionych, ale przede wszystkim wiarygodnych informacji. Osobiście nazywał je WPO co było skrótem od Wojskowego Punktu Obserwacyjnego. W nazwie tej nie było ani krzty przesady, zważywszy, że główne zajęcia takich starszych pań polegało na przesiadywaniu przy oknie i obserwowaniu życia społeczno-obyczajowego okolicy. Ich czujne spojrzenia potrafiły zobaczyć niemal wszystko. Każdy obcy pałętający się po osiedlu, nowy samochód sąsiada, kurier dostarczający dużą paczkę dla sąsiadki. Wszystko to było skrupulatnie zapamiętywane, a czasami nawet zapisywane. Co prawda, wygląd Rozalii Pawlak znacznie odbiegał od statystycznego WPO i gdyby Woronko spotkał się z nią na ulicy, wziąłby ją za panią profesor na emeryturze, ale teraz uznał, że nie należy oceniać książki po okładce, jak zwykła mawiać jego była żona. Kilka minut później dotarło do niego, jak bardzo się pomylił, ale było już za późno. Gdyby tylko Woronko przewidział, że miła starsza pani, która na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie i robiła dobre wrażenie, zacznie opowiadać bzdury, jakich komisarz osobiście jeszcze nigdy nie słyszał, kazałby oficerowi dyżurnemu odesłać Rozalię Pawlak do zakładu dla psychicznie chorych. Jednak teraz, kiedy kobieta siedziała już w ich biurze, nie mógł nic zrobić, choć miał wielką ochotę wysłać te babę do diabła albo jeszcze dalej. Oparty o parapet przewracał oczami, dając tym samym Solińskiej wymowne znaki. Wreszcie po kolejnej głupocie rzuconej przez staruszkę nie zdzierzył. Ostatkiem sił powstrzymał się od skomentowania tego, co właśnie działo się w jego biurze. Pomyślał, że będzie musiał dać Solińskiej kilka lekcji dotyczących szybkiego kończenia przesłuchań z osobnikami podobnymi do tej nawiedzonej staruszki. Wkurzało go, że tak doświadczona policjantka jak Solińska zamiast analizować to, co już wiedzieli, marnuje czas na wysłuchiwanie opowieści o tym, jak to miła, starsza pani miała sen, w którym ktoś zakopuje ciało Klementyny Wiertnickiej. Wyszedł z biura, na odchodne informując Solińską, że znajdzie go w pizzerii obok komendy. Gdy tylko za komisarzem zamknęły się drzwi, obie kobiety odetchnęły z ulgą.

– Pani Rozalio, komisarz Woronko jest bardzo dobrym policjantem, ale w pewne rzeczy trudno mu uwierzyć.

– A pani nie ma z tym problemu? Bo jeśli mam być zupełnie szczerą, to mnie samej trudno dać wiarę temu, o czym śniłam.

– W przeciwieństwie do komisarza ja jestem otwarta na wszystko, co może pomóc, i tak właśnie traktuję pani wizytę – oznajmiła Solińska poważnym tonem.

Pierwszą czynnością, jaką zrobił Woronko po opuszczeniu komendy, było zapalenie papierosa. Przez wszystkie lata pracy spotkał wielu dziwnych świadków, ale coś takiego zdarzyło się pierwszy raz. Jeśli Kaśka sądziła, że on uwierzy w ten stek bzdur, to była w głębokim błędzie, a on ją z tego błędu szybko wyprowadził. Dopalił i ruszył do pizzerii. Mimo wczesnej pory większość stolików była w lokalu zajęta. Usiadł pod oknem, skąd miał doskonały widok na chodnik przed komendą. Zamówił małą margheritę i czekał.

„Następnym razem, jak przyjdzie jakaś emerytka, to on będzie ją przesłuchiwał i na pewno nie pozwoli na opowiadanie wizjonerskich snów” – postanowił, odgryzając kolejny kawałek pizzy. Dziwiło go, że Kaśka w ogóle spisywała te wszystkie brednie wygłaszane przez starowinkę. Nie chciał nawet myśleć, co będzie, kiedy wieść o tym rozniesie się po komendzie. A był pewien, że tak się stanie, tak samo jak tego, że dwa razy dwa daje cztery. Upił łyk gorącej kawy, najlepszej jaką serwowano w promieniu pięciu kilometrów. Oderwał kolejny trójkąt i zerknął na wiszący nad barem zegar. Przesłuchanie Rozalii Pawlak trwało już prawie godzinę.

– Będzie musiał poważnie porozmawiać z Solińską o standardach pracy – zdecydował, nie spuszczać wzroku z drzwi komendy. Byli policją, a nie pieprzonym punktem zwierzeń dla samotnych, najpewniej zdewociałych, senierek. Kiedy kilka minut później zobaczył starszą panią opuszczającą budynek komendy, odczuł ulgę. Rozalia Pawlak przystanąła na chodniku i spojrzała na budynek, z którego przed chwilą wyszła.

„Ona gotowa jeszcze tam wrócić” – przemknęło Woronce przez myśl. Dopiero, gdy chwilę później przy krawężniku zatrzymała się taksówka, zrozumiał, że kobieta czekała na transport. Z ostatnimi dwoma kawałkami pizzy poradził sobie w tempie, które Solińska nazwałaby pokarmowym sprintem. Przy okazji nie darowałaaby sobie uwagi w stylu: „od szybkiego jedzenia można się

nabawić wrzodów żołądka” albo „jelita długo tego nie wytrzymają”. Woronko zabrał niedopitą kawę i wrócił na komendę.

– Kaśka, co ty, do cholery, odpieprzasz? – syknął, zamykając za sobą drzwi.

– Co, nie spodobała ci się starsza pani?

– Zapomniałaś dodać, że bez piątej klepki – rzucił kaśliwie Woronko, ciężko opadając na fotel. – Co ci w ogóle do łba strzeliło, żeby spisywać te jej brednie – nie ustawał, wbijając surowe spojrzenie w policjantkę. – Przecież my nie jesteśmy od wysłuchiwania czubków.

– Pani Rozalia z pewnością nie jest chora psychicznie – przerwała Solińska. – A poza tym w jej zeznaniach jest coś dziwnego.

Woronko uniósł brwi i pokręcił głową. Sądził, że przez kilka miesięcy, jakie Solińska spędziła w jego towarzystwie, zdążyła się pewnych rzeczy nauczyć. Ale wypadki dzisiejszego dnia zdawały się temu przeczyć

– Kaśka, masz świętą rację one są dziwne, a nawet, mówiąc dosadniej, pojebane – zaklął Woronko, nie zważając na reakcję Solińskiej. – A jak mi jeszcze wyjedziesz z tekstem, że wnoszą one coś nowego do sprawy, to jutro składam podanie o przeniesienie do drogówki. Wolę wlepić mandaty niż pracować z kimś, kto wierzy w sny zbzikowanej starszej damy.

– Pomijając fakt, że zeznania pani Pawlak są, powiedzmy, zrelacjonowaniem snu, to zaryzykowałabym stwierdzenie, iż są dla całej sprawy przełomowe.

– A cóż takiego ważnego opowiedziała starsza pani?

Pytanie Woronki aż kipiało ironią, ale policjantka jakby tego nie zauważyła i zaczęła wymieniać jej zdaniem kluczowe punkty zeznania.

– Po pierwsze rozpoznała poszukiwaną. Po drugie zeznała, że jej ciało zostało zakopane. Po trzecie wskazała prawdopodobne miejsce ukrycia zwłok. Czy to twoim zdaniem mało?

Komisarz wiedział, jak cenne dla śledztwa byłyby to informacje. Jednak tylko pod warunkiem, że zostałyby przekazane przez naocznego świadka czy nawet osobę, która weszła w ich posiadanie w bardziej konwencjonalny sposób niż sny.

– Kaśka, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ty tej staruszce wierzysz?

– Janusz, to nie jest kwestia wiary, a rzetelnego podejścia do sprawy. Moim zdaniem należy sprawdzić wszystkie, nawet te najbardziej niewiarygodne tropy.

Woronko zaczął mieć dość tego cyrku. Już samo pozwolenie, by Rozalia Pawlak złożyła zeznania, było absurdem, na który Solińska w żadnym wypadku nie powinna była pozwolić. Ale młoda policjantka nie dość, że temu nie zapobiegła, to jeszcze zaczynała wierzyć w te wszystkie nonsensy.

– Kaśka, do jasnej cholery, zachowuj się jak glina, a nie uczestnik seansu spirytystycznego – upomniął ją Woronko, chcąc w ten sposób zakończyć sprawę Rozalii Pawlak i zająć się dochodzeniem.

– Ale ja właśnie, używając twojego języka, naśladuję rasowego psa. Złapałam trop i zamierzam za nim pójść.

– Po moim trupie – uciął Woronko, odbierając dzwoniący na biurku telefon.

Godzinę później rewelacje starszej pani nabrały zupełnie innego znaczenia. Wszystko za sprawą przesyłki, jaką właściciel jednego z nocnych klubów w Sopocie zostawił u oficera dyżurnego. W zwyczajnej szarej kopercie znajdowała się płyta CD, której zawartość rzucała zupełnie nowe światło na całą sprawę. Nagranie pochodziło z monitoringu jednego z sopockich nocnych klubów. Dało się to łatwo ustalić po wystroju lokalu. Przedstawiało tłum bawiących się ludzi w różnym wieku. Z początku ani Woronko, ani Solińska nie mieli pojęcia, jakie znaczenie może mieć nagranie i po co ktoś je im przekazał. Dopiero, kiedy zobaczyli ujęcia z okolicy baru, zrozumieli wszystko. Na wysokich taboretach siedziało kilkoro gości, a wśród nich Klementyna Wiertnicka. Popijała jakiegoś drinka, prowadząc ożywioną rozmowę z siedzącym obok mężczyzną. Przez hałas muzyki, której Woronko nigdy muzyką by nie nazwał, nie było słychać, o czym para rozmawia, ale wesoły nastrój obojga jasno dawał do zrozumienia, że prawdopodobnie dobrze się znali. Po kilku minutach para wstała i ruszyła w tłum ciał drgających w rytm niezrozumiałych dla komisarza dźwięków.

– No to by było na tyle, jeśli chodzi o sny starszej pani – rzucił Woronko, posyłając Solińskiej triumfalny uśmiech.

Ona była jednak zupełnie odmiennego zdania.

„A może to, co powiedziała Rozalia Pawlak nie odnosi się do przeszłości, ale przyszłości” – pomyślała Solińska i ta myśl wywołała nieprzyjemną suchość w gardle. Wiedziała jednak, że o swoich przemyśleniach nie może powiedzieć Januszowi. On i tak nie potraktowałby tego poważnie.

ROZDZIAŁ 14

Początek dnia nie zapowiadał niczego szczególnego. Karol Grzybowski biegł truchtem po leśnej podmokłej ścieżce, uważając na tu i ówdzie wystające korzenie drzew. Ten odcinek wymagał szczególnej koncentracji. O wywrotkę na śliskich korzeniach nie trudno, a to mogło różnie się skończyć. Zwichnięcie, złamanie – możliwości było wiele. Wybiegł z lasu, skręcił w lewo i po chwili był już przed swoim domem. Biegał codziennie od ponad piętnastu lat i zawsze wybierał tę samą drogę. Pokonanie trasy z Orłowa, gdzie mieszkał, do sopockiego mola i z powrotem zajmowało mu mniej więcej godzinę. Po szybkim prysznicu i zjedzeniu lekkiego śniadania przeszedł do garderoby. Wybrał białą koszulę, granatowy krawat w tłoczone romby i grafitowy garnitur. Kiedy piętnaście po siódmej opuszczał dom, jego żona nadal spała. Wiedział, że wstanie najwcześniej o dziesiątej. Kilka lat wcześniej, gdy ich córki mieszkały jeszcze w domu, wstawiała razem z nim, aby przygotować wszystkim śniadanie. Ale odkąd rozpoczęły studia, starsza medycynę w Łodzi, a młodsza Politologię w Warszawie, nie zwracała sobie głowy tak prozaiczną czynnością jak przygotowanie śniadania mężowi. Była artystką, a przynajmniej chciała nią zostać. Karol, który nieszczególnie znał się na malarstwie, oglądał jej prace raczej z konieczności niż ochoty. Krytycy jednak byli bezlitośni. Obie wystawy, jakie sfinansował, zostały przyjęte przez artystyczne środowisko raczej chłodno i gdyby nie jego pozycja zapewne byłoby jeszcze gorzej. Odstał swoje na światłach przy centrum handlowym Klif, ale dalsza droga przebiegła bez większych niespodzianek. Zaparkował na swoim miejscu, wyszedł do kiosku po gazetę, wypił poranną kawę. Zapowiedź pewnej odmiany przyszła wraz z wiadomością od asystentki. Jeden z kluczowych kontrahentów nagle odwołał spotkanie. Z wyjaśnień pani Jagody wynikało, że chodziło o jakiś przypadek losowy. Grzybowskiego nie interesował powód odwołania spotkania. Takie sytuacje choć dość rzadkie nie były niczym dziwnym. Przecież nie wszystko

można przewidzieć i wiedział to z własnego doświadczenia. W tej chwili liczyło się tylko to, że zdobył czas potrzebny na załatwienie sprawy, która chodziła za nim od kilku dni i nie dawała spokoju. Polecił pani Jagodzie ustalić nowy termin, a sam zbiegł do samochodu. Następne zaplanowane spotkanie miał za dwie godziny, ale wliczając jeszcze przerwę na lunch, powinien zdążyć. Wyjechał z parkingu i ruszył w kierunku Wrzeszcza. Ruch na Grunwaldzkiej o tej porze był umiarkowany, nie to co podczas porannych lub popołudniowych szczytów komunikacyjnych. Dotarcie do Galerii Bałtyckiej zajęło mu nieco ponad kwadrans. Zostawił samochód na podziemnym parkingu i ruszył w stronę dworca kolejowego. Taksówka, którą zamówił jeszcze z samochodu, już na niego czekała. Miał nadzieję, że wymyślone na szybko środki ostrożności były w najlepszym razie takie sobie, ale w tak krótkim czasie niczego lepszego nie zdołał wymyślić. Na szczęście taksówkarz okazał się dobrym psychologiem i gdy Grzybowski wsiadł do taksówki, zapytał tylko o adres, pod który ma jechać. Najpewniej z miejsca ocenił klienta na takiego, który albo nie chce, albo nie lubi rozmawiać. Wsiadł obok jednego z falowców przy Obońców Wybrzeża, poczekał, aż taksówka odjedzie i dopiero wtedy przeszedł pod blok będący rzeczywistym celem jego wyprawy. Mimo początkowego sceptycyzmu uznał, że plan, jaki obmyślił, miał sporo mocnych stron. Gdyby podjechał pod blok swoim lexusem, natychmiast zostałby zauważony. W końcu nie codziennie parkuje w takim miejscu samochód warty ćwierć miliona. Taksówka nie wzbudzała takiego zainteresowania, przez co była bardziej bezpieczna. Poza tym o tej porze większość mieszkańców falowca była w pracy. Prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważy i zapamięta było znikome. Wbiegając po schodach na piąte piętro, nie spotkał nikogo. Podobnie, kiedy szedł betonową zewnętrzną galerią do mieszkania znajdującego się na jej końcu. Przed drzwiami przystanął i wduślił przycisk dzwonka. Poczekał chwilę i ponowił próbę, ale nikt nie otworzył. Spróbował zajrzeć do środka, lecz szczelnie zaciągnięte rolety mu to uniemożliwiły. Zrezygnowany ruszył do schodów. Dopiero teraz uświadomił sobie bezcelowość wyprawy. Przecież jeśli dziewczyna, którą spotkał kilka razy zniknęła, to policja najpewniej sprawdziła już kawalerkę.

Sprzed bloku zamówił taksówkę, na wszelki wypadek z innej korporacji. W drodze powrotnej naszła go myśl, aby pójść na policję i opowiedzieć

o wszystkim. Jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie tylko nie powinien kontaktować się z policją, ale musi trzymać się jak najdalej od całej tej afery. Jeśli dziewczynę spotkało coś złego, to on będzie pierwszym, jeśli nie jedynym, podejrzanym. Przecież to właśnie on jako ostatni widział ją w dniu zaginięcia. Wchodząc do biura, miał tylko nadzieję, że nikt go nie widział i nie zapamiętał.

ROZDZIAŁ 15

Wbrew obawom przebieg wizyty na policji był dla niej miłym zaskoczeniem.

„Może to i nie był taki głupi pomysł, aby tam pójść” – uznała Rozalia Pawlak po opuszczeniu komendy. Policjantka potraktowała ją poważnie, tak się przynajmniej Rozalii zdawało. Żadnych pytań w stylu: „czy leczyła bądź leczy się pani psychiatrycznie”. Żadnych znaczących spojrzeń. Co więcej, Rozalia odniosła wrażenie, że policjantka wierzy w jej opowieści. Z wysokim barczystym policjantem sprawa była prosta. On jej nie wierzył. Zrozumiała to, kiedy ostentacyjnie wyszedł z pokoju, posyłając w jej stronę pogardliwe spojrzenie. Stojąc obok komendy, nasza ją myśl, że może policjantka tylko udawała, a w rzeczywistości wzięła ją za starą, nawiedzoną babę. Nawet jeśli tak właśnie było, nie miało to już teraz żadnego znaczenia. Posłuchała Bożeny, poszła na policję, zrobiła z siebie pośmiewisko, ale przynajmniej miała teraz czyste sumienie. Czy policja zrobi coś z informacjami, które przekazała? Jeśli dadzą im wiarę, sprawdzą, a jeśli nie, wyrzucą do kosza. Zastanawiała się czy nie zamówić taksówki. Ostatnia godzina kosztowała ją wiele nerwów, odczuwała również lekki ból głowy. Po chwili namysłu zrezygnowała i rażnym krokiem ruszyła przed siebie. Uznała, że spacer dobrze jej robi, a przy okazji zaliczy codzienną porcję kilometrów. Na ostatnią gwiazdkę dostała od córki krokomierz i każdego dnia bez względu na pogodę robiła dziesięć tysięcy kroków. Podobno dzięki temu do późnej starości miało jej dopisywać zdrowie. Z mijanych słupów ogłoszeniowych patrzyła na nią uśmiechnięta twarz poszukiwanej dziewczyny. Wstąpiła do osiedlowego sklepiku po zakupy. Na stojaku z gazetami ponownie ją zobaczyła. Nie wiedzieć dlaczego poczuła się tak, jakby zaginiona ją śledziła. Ekspedientka rozprawiała z jednym z klientów o zaginionej.

– Ma pani pojęcie, że rocznie w Polsce przepada bez wieści prawie dwa tysiące ludzi – oznajmił mężczyzna ubrany w granatowy garnitur.

Rozalia знаła go z widzenia. Mieszkał w sąsiednim bloku. Czasami widywała go w towarzystwie wnuków. Jej wnuczka odwiedzała ją sporadycznie. Wymawiała się nauką i odległością. To pierwsze Rozalia mogła jeszcze zrozumieć, ale drugie uznała za wykret. Dzieliło je kilkanaście przystanków autobusem. Wracając do domu, zobaczyła, że nawet na drzwiach apartamentowca wisiał plakat. Gdy godzinę później siedziała w salonie fryzjerskim, czekając na swoją kolej, na niskim stoliku ponownie zobaczyła gazetę ze zdjęciem Klementyny Wiertnickiej.

– Przecież to niemożliwe, żeby człowiek zapadł się pod ziemię w centrum miasta – dziwiła się fryzjerka, podcinając włosy młodej dziewczynie.

Rozalia zadrżała słysząc o zapadaniu się pod ziemię. Niechętnie sięgnęła po gazetę. Policja wciąż niewiele zdołała ustalić i nadal prosiła o kontakt osoby mogące pomóc w sprawie. Po powrocie pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było wyrzucenie do toalety ostatnich dwóch tabletek. Gdyby nie one, nie byłoby tego całego cyrku z dziwnymi snami. Umyła dłonie i wyszła z łazienki. Przejrzała się w lustrze. Nowa fryzura zaproponowana przez fryzjerkę odmłodziła ją o dobrych kilka lat. Co prawda, Bożenie nie dorówna w cofaniu wskazówek urody, ale też nie miała takiego zamiaru. Zaparzyła zieloną herbatę i usiadła na balkonie, chcąc przeczytać następny rozdział „Hiszpańskich Oczu”. Była to kolejna książka Marii Nurowskiej, jaką czytała w ciągu ostatnich miesięcy. Wszystko to dzięki zaprzyjaźnionej bibliotekarce. Rozalia nie kupowała i nie gromadziła książek. Wolą korzystać z biblioteki publicznej, którą co jakiś czas zasilala pewną sumą na zakup nowych pozycji. Wychodziła z założenia, że dzięki temu książka trafi do wielu osób zamiast zbierać kurz w domowej biblioteczce. Mimo szczerych chęci po kilkunastu stronach poczuła sennosc. Postanowiła nie walczyć. Wystarczyło, że miała ciężki dzień. Przeniosła się na sofę w salonie i poddała błogiej fali. Jej przeświadczenie, że po odstawieniu pastylek przestanie miewać sny, okazało się ponne. Najpierw usłyszała odgłos uruchamianego samochodu. Dźwięk był tak realistyczny, jakby to nie był sen, ale jawa. Po chwili ciemność rozświetliły dwa jaskrawe snopy reflektorów. Samochód ruszył wolno przez gęsty ciemny las, pokonał solidny drewniany most nad leśnym strumieniem, a następnie skręcił. Po chwili dotarł do wyjazdu z lasu. Obok drogi stała drewniana wiata i kilka ławek. Rozalia miała wrażenie jakby stała na poboczu,

obserwując całą sytuację. W pewnej chwili jej wzrok napotkał spojrzenie kierowcy. Duże szare skupione na drodze oczy patrzyły prosto na nią. Nie widziała w nich zdziwienia czy strachu, a jedynie determinację. Spróbowała spojrzeć nieco w dół, aby dostrzec twarz człowieka, który prawdopodobnie zabił, a z pewnością zakopał ciało młodej dziewczyny. Niestety gałki oczne jej nie słuchały. Samochód minął Rozalię i zniknął za kolejnym zakrętem.

ROZDZIAŁ 16

Dla Magdaleny Gawlińskiej koniec pracy oznaczał, że najbliższe kilkanaście godzin będzie miała tylko dla siebie. Słuchając w biurze narzekań koleżanek o tym, ile czeka ich jeszcze obowiązków, wcale im nie zazdrościła. Odebranie dziecka z przedszkola lub szkoły, przygotowanie obiadu dla całej rodziny, pranie, prasowanie. To tylko część dodatkowych, zajęć jakie czekały po ośmiogodzinnym dniu pracy. Słyszając o tym wszystkim, dziwiły ją dwie rzeczy. Po pierwsze, że ambitne, wykształcone i atrakcyjne kobiety pozwoliły wmanewrować się w taki życiowy kierat. Po drugie, gdzie byli ich faceci. Jakoś niespecjalnie pamiętała, aby któraś z koleżanek wspominała o tym, jak to jej mąż pomaga w wychowaniu dzieci czy pracach domowych. Za to o ich wypadach na mecze lub piwko z kolegami słyszała dość często. Magdalena miała kilka życiowych postanowień. Najważniejsze z nich brzmiało: „żadnych dzieci, żadnego męża”. Wystarczyło wspomnienie własnej matki tyrającej od rana do nocy i tatusia, który choć nie pił, nie bił, to jednak nie palił się do pomocy. Ona nie chciała powielać tego schematu. Mężczyźni bywali w jej życiu i to określenie trafnie oddawało zasady, jakimi kierowała się w relacjach damsko-męskich. Jednak zawsze to ona decydowała, z kim idzie do łóżka i za każdym razem dbała, aby nie zostać obdarowaną prezentem, który zobaczy po dziewięciu miesiącach.

Punktualnie o szesnastej wyszła z pracy. Dojście do przystanku kolejki na Wzgórzu świętego Maksymiliana zajęło jej sześć minut. Dojazd do Chylonii, gdzie mieszkała trwał dwanaście minut. W drodze do domu kupiła w sklepie puszkę z obiadem dla swojego psa. Obiad dla siebie przygotowała poprzedniego wieczoru. Teraz wystarczyło ugotować makaron i odgrzać aromatyczny sos pomidorowy z papryką, kawałkami ananasa, kurczaka, oliwkami i wszystko posypać żółtym serem. Już na klatce schodowej usłyszała ujadanie labradora. Cwaniak wyczuwał ją, kiedy tylko wchodziła do bloku. W ciągu dnia grzecznie wylegiwał się na balkonie, jeśli było ciepło, albo w swoim koszu, gdy aura była

pod psem. Sprawdziła to kilka razy, dzwoniąc do zaprzyjaźnionej sąsiadki. Po obiedzie zabrała czworonoga na codzienny spacer do odległego o trzy kilometry lasu. Gdy dotarli na miejsce, odpięła smycz pozwalając labradorowi wybiegać się do woli. Co prawda, po powrocie do domu wiązało się to z gruntownym przeglądem sierści czworonoga w poszukiwaniu kleszczy. Jednak prawdopodobieństwo złapania tego paskudztwa było takie samo tu w lesie, jak i na skwerze przed blokiem. Różnica polegała na tym, że tutaj nikt krzywo nie patrzył na biegającego luzem psa, a przy jej bloku – a i owszem. Podniosła leżący na trawie patyk i rzuciła z całej siły przed siebie. Labrador jakby tylko na to czekał. Wystrzelił do przodu z szybkością pocisku i zniknął wśród wysokich traw. Gawlińska ruszyła, nie czekając na czworonoga. Wiedziała, że ani się spostrzeże, a podbiegnie on do niej z kijem w pysku zadowolony z dobrze wykonanego polecenia i tak też się stało.

– No dobry piesek – pochwaliła gładząc go po łbie koloru biszkoptowego.

– A teraz Bzik odda pani patyk – powiedziała, siląc się na srogi ton i próbując odebrać psu jego trofeum. Ale zwierzę ani myślało oddawać coś, co traktowało jak swoją własność. Magdalena doskonale wiedziała, że to tylko pozory, ich gra uprawiana na każdym spacerze. Wreszcie po kilku chwilach odebrała kijek i ponownie z całej siły cisnęła przed siebie. Reakcja psa była natychmiastowa. Kobieta podeszła do ściętego drzewa leżącego przy drodze i przysiadła na nim, czekając, aż pies wróci. Tym razem nie było go znacznie dłużej, ale doskonale słyszała jego warczenie wśród zarośli.

– Pewnie kijek utknął między gałęziami – pomyślała spoglądając na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Kiedy w końcu Bzik wyłonił się z chaszczy zobaczyła, że zamiast patyka trzyma w pysku brązową damską torebkę. Magdalena wstała i szybko podeszła do psa.

– Bzik, co ty tam znowu przywlokłeś! – skarciła zwierzę. Nie był to pierwszy raz, gdy zamiast rzuconego kijka jej pupil wracał z czymś zupełnie innym. Pies złożył znalezisko u stóp właścicielki. Usiadł zadowolony, otworzył szeroko pysk, ukazując różowy jęzor i spojrzał w górę bursztynowymi oczami. Kobieta przyjrzała się torebce. Nie wyglądała na starą. Wręcz przeciwnie uznała, że musi być dość nowa, a logo marki Batycki nie pozostawiało wątpliwości co do ceny. Nie bardzo rozumiała, dlaczego ktoś miałby ją wyrzucać. No chyba, że zgubiła ją

jakaś roztargniona kobieta, którą było stać na torebkę za kilkaset złotych. Gawlińska na taki luksus nie mogła sobie pozwolić. Ale i to wyjaśnienie wydawało się mało prawdopodobne. Zgubić to można portfel, a nie dość dużą torebkę i to w takim odludnym miejscu. Magdalena przykucnęła i rozsunęła zamek błyskawiczny. Wewnątrz zobaczyła mnóstwo damskich drobiazgów.

– A więc jednak zguba – przemknęło jej przez głowę, kiedy z bocznej kieszonki wyjęła skórzany portfel. Poza pieniędzmi, których nawet nie przeliczyła, znalazła tam dowód osobisty na nazwisko Klementyny Wiertnickiej. Ale to nic jej nie mówiło. Dopiero gdy przesunęła spojrzenie na zdjęcie, zrozumiała do kogo należy torebka. Wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku dni widziała tę twarz. Schowała portfel na miejsce i sięgnęła do kieszeni po telefon komórkowy. Wybierając numer alarmowy 112, rozglądała się niepewnie po okolicy. Nagle poczuła strach oplatający jej ciało lepką nieprzyjemną pajęczyną. Spojrzała na siedzącego obok niej psa. Na nim cała sytuacja nie robiła żadnego wrażenia.

ROZDZIAŁ 17

Przeczytanie sposobu przygotowania klopsików w sosie bolońskim zajęło Woronce kilka sekund. Świadomie pominął skład potrawy wydrukowany mniejszą czcionką u dołu etykiety. Pamiętał, jak podczas których zakupów usłyszał opinię podchmielonego jegomościa tłumaczącego kompanowi, który nie był wcale w lepszym stanie: „Stary, takie słoikowe klopsy to nic innego niż mięso z psa trzeciej kategorii przemielonego razem z budą”.

Tak czy inaczej Woronko nie miał wyboru. Gotować nie potrafił, a pensja gliniarza nie wystarczała na to, by codziennie jadać w knajpie. Kilka minut później danie było już gotowe. Razem z makaronem wyglądało na talerzu zupełnie dobrze.

„Prawie jak w tej knajpce z włoskim jedzeniem przy Długiej” – pomyślał, wspominając lokal, w którym czasami, zwłaszcza w niedzielę, jadał obiady. Właścicielem, a jednocześnie kucharzem był Marco, rodowity Włoch o śniadej śródziemnomorskiej cerze, serdecznym uśmiechu i czarnej bujnej czuprynie.

„No nawet smakuje podobnie” – przyznał w duchu, wiedząc doskonale, że ta ocena jest grubo naciągana. Gdy już uporał się z zawartością talerza i zmywaniem naczyń, zamierzał wyjąć z lodówki zimnego Lecha, walnąć się na kanapę i obejrzeć coś bezmyślnego w telewizji. Jak na jeden dzień pracy miał już dość myślenia. Do wizyty, jaką postanowili złożyć w nocnym klubie, pozostało jeszcze kilka godzin. Do tego czasu w jego organizmie nie pozostanie ani gram alkoholu. Właśnie otwierał lodówkę, aby zrealizować swój plan, kiedy zabrzączał leżący na stole telefon. Woronko wahał się przez chwilę, patrząc to na stół, to na oszronioną butelkę, po czym zamknął lodówkę i sięgnął po aparat. Odbierając, wiedział, że o przyjemnym chłodnym chmielowym relaksie będzie musiał, póki co, zapomnieć. Nawet nie pamiętał, kiedy kupił piwo stojące w lodówce. Ale zawsze, gdy miał ochotę je skosztować albo coś mu w tym przeszkadzało, albo zwyczajnie o tym zapominał.

– No co, Kaśka, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że z naszego wypadu do nocnego klubu nici – zaczął, przysiadając na rogu stołu.

Słuchał przez chwilę, a później cicho zaklął pod nosem. Zakończył połączenie, narzucił skurzaną kurtkę, zabrał kask i wyszedł z mieszkania. Jego ducati z łatwością przedarł się przez wieczorne korki i czterdzieści minut później Woronko parkował już w kompleksie leśnym na obrzeżach Gdyni, obok jednego z policyjnych samochodów.

– Tylko miej na niego oko – rzucił do kierowcy radiowozu patrzącego z zachwytem na motocykl, na którego zakup komisarz odkładał kilka lat. Solińską znalazł obok wozu techników sprawdzających zawartość znalezionej torebki. Druga ekipa przeszukiwała teren.

– Cześć – rzucił do zgromadzonych przy blacie przenośnego stołu. Obecni odpowiedzieli skinieniem głowy, byli zbyt zajęci, by marnować czas na zwerbalizowanie odpowiedzi.

– To z pewnością jej torebka – zaczęła Solińska, odchodząc kilka kroków dalej. – Świadczy o tym zawartość. Chłopaki mówią, że określenie, ile czasu leżała w tych krzakach będzie dość trudne. Ale zważywszy, że dwa dni po zaginięciu Wiertnickiej nad Trójmiastem przeszła potężna burza, a znaleziona torebka jest niemal sucha można przyjąć, że leżała tu od 22 czerwca.

– A może zwyczajnie wyschła?

– Nie, to raczej nie wchodzi w grę. Tym bardziej, że papierowa zawartość nawet nie jest wilgotna – wyjaśniła policjantka, obserwując pracę techników.

– Czy fakt znalezienia tutaj torebki wnosi coś istotnego do sprawy? – spytał Woronko, wyjmując z kieszeni paczkę fajek. Ignorując lodowate spojrzenie Solińskiej, wyjął papierosa i zapalił.

– Tyle razy powtarzałam, że palenie...

– Tak, tak wiem, palenie szkodzi zdrowiu, wywołuje raka płuc i różne inne paskudztwa – przerwał jej Woronko. – Powiedz mi lepiej, czy coś w tej torebce znalazłaś – ponowił pytanie.

– Znalazłam i sądzę, że nawet jeśli dzięki temu nie ruszymy z kopyta, to przynajmniej złapiemy nowy trop.

Wspomnienie o nowym tropie nie było tym, czego komisarz oczekiwał. Mieli już ich kilka i wolałby pójść którymś z nich lub z niego zrezygnować, a nie

podejmować nowego. Jednak po kilku minutach musiał przyznać, że koncepcja przedstawiona przez Kaškę ma sens.

– Ile im to jeszcze zajmie? – zapytał, wskazując brodą na pracujących techników.

– Dobrych kilka godzin – oceniła policjantka, wiedząc, jak duży obszar trzeba będzie przeszukać.

– No dobra, w takim razie dzwonię do starego po nową ekipę – stwierdził komisarz, sięgając po komórkę. Przełożony nie od razu wyraził zgodę. Dopiero gdy Woronko wyłuszczył mu wszystko, zmienił zdanie.

– Dobra, Kaška, jedziemy – zarządził, ruszając w stronę zaparkowanego motocykla.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziała Solińska, kiedy wręczył jej drugi kask.

– Tylko mi nie mów, że boisz się jazdy na motocyklu.

– Nie boję się jazdy na motocyklu, ale czuję strach, gdy to ty kierujesz – odpowiedziała, stojąc nieruchomo z kaskiem w dłoni.

– Nie bądź baba, tylko wkładaj kask i siadaj z tyłu – ponaglił Woronko, odpalając silnik. Policjantka wykonała polecenie, modląc się w duchu do świętego Krzysztofa.

Kiedy pół godziny później Woronko zaparkował pod jednym z falowców na Obrońców Wybrzeża, Solińska z ulgą zsiadła z motocykla. Kiedyś, gdy komisarz w przyływie dobrego humoru pochwalił się swoim jednośladem, zażartowała, że chętnie by spróbowała jazdy na motocyklu. On w dość enigmatyczny sposób odpowiedział, że może kiedyś. Solińska zapomniała o tamtej rozmowie i kiedy Woronko zaproponował, aby pojechali na Przymorze jego środkiem lokomocji była tak zaskoczona, że nawet nie zdążyła odmówić. Co prawda, nie było tak źle, jak przewidywała, ale mimo to czuła drżenie nóg.

– I co, było aż tak strasznie? – rzucił zaczepnie, rozglądając się wokół. Okolica nie należała do najbardziej reprezentacyjnych części Gdańska. Gdzieś kiedyś przeczytał, że ten rejon władze poprzedniego, słusznie minionego systemu stawiały za wzór warunków, w jakich powinni mieszkać ludzie pracy. Jednak patrząc na olbrzymie bryły falowców, w których ludzie gnieździли się jak pszczoły w ulu, odnosił zupełnie inne wrażenie.

– Nawet gdyby mi dopłacili, to nie zamieszkałbym tutaj.

– Dlaczego, przecież to taka piękna okolica. Mnóstwo twardego betonu. Jednym słowem, klimaty jakie lubisz.

– Kaśka, miałem kiedyś znajomego, któremu babcia w testamencie zapisała kawalerkę w jednym z falowców. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłęda, więc facet postanowił w niej zamieszkać. Jak później przyznał, była to największa głupota w jego życiu.

– Czyli facet był kawalerem – wtrąciła Solińska.

– No tak, a skąd wiedziałas?

– Stąd, że mężczyźni jako największy życiowy błąd na pierwszym miejscu wymieniają małżeństwo.

– Ja tak nie uważam.

– Może twoja była żona, jak powiedział Boguś Linda w jednym z filmów, „to zła kobieta była?

– Raczej zwyczajna – odparł wymijająco, Woronko nie chcąc rozwijać tematu swojego małżeństwa. Zlustrował okolicę w poszukiwaniu ekipy technicznej, ale nikogo nie dostrzegł. Dopiero po pewnej chwili wypatrzył szarego forda zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej.

– No chłopaki już są – wskazał na furgonetkę i ruszył w jej kierunku. – Teraz miejmy nadzieję, że twój siódmy zmysł się nie myli – dodał, nie patrząc na Solińską. Ona również chciała, aby tak właśnie było. Wolą nawet nie myśleć o reakcji Woronki, gdyby jednak tym razem nie miała racji. Kiedy w torebce Wiertnickiej znalazła nieopłacony rachunek za prąd na niejakiego Wiesława Otwockiego zamieszkałego w falowcu na Obrońców Wybrzeża oraz kilka kluczy założyła, że jedno z drugim musi mieć coś wspólnego. Za kilka chwil miało się okazać, czy jej podejrzenia były słuszne. Odnalezienie odpowiedniego numeru klatki zajęło im kilkanaście minut. Mijani ludzie obrzucali ich zaciekawionymi, a czasami wręcz złowrogimi spojrzeniami.

– Dobrze, że jeszcze jest dość jasno, bo po zmroku wolałbym się tu nie szwendać – mruknął jeden z techników, kiedy wchodzili po schodach na piąte piętro. Mieszkanie numer 103 znajdowało się prawie na końcu długiej zewnętrznej galerii. Gdy dotarli pod interesujące ich drzwi, wszyscy założyli lateksowe rękawiczki. Uwagę zwracały solidne drzwi i nowe okna najpewniej wymienione całkiem niedawno. Czekając, aż technicy zdejmą odciski palców

z klamki, Woronko zlustrował otoczenie, próbując wypatrzeć swój motocykl. W tej okolicy pozostawienie takiego cuda bez opieki na dłużej niż kilkanaście minut groziło jego utratą.

– Dobra zrobione – oznajmił technik, odsuwając się od drzwi. Komisarz nacisnął przycisk dzwonka, jednak żaden dźwięk nie przerwał panującej ciszy.

– Chyba zepsuty – mruknął pod nosem, odsuwając się od drzwi.

– Dobra, teraz czas na ciebie – rzucił do Solińskiej, posyłając policjantce ponagląjące spojrzenie. Następnie spojrzął w miejsce, gdzie zaparkował swój skarb. Chromowane elementy motocykla lśniły w promieniach wieczornego słońca. Chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Doskonale wiedział, że w mieszkaniach, które mijali, już zaczynano szeptać o tajemniczej czwórce ludzi. Policjantka spojrzała na trzymane w dłoni klucze oraz dwa solidne zamki w drzwiach. Najpierw spróbowała otworzyć górny zamek. Pierwszy klucz nie pasował, ale drugi i owszem. Kiedy kilka chwil później nacisnęła klamkę i otworzyła masywne drzwi, wpuszczając do środka ekipę techniczną, odetchnęła z ulgą.

– Ty to jednak masz nosa – pochwalił Woronko, zaglądając przez próg do środka. Wiedział, że póki technicy nie skończą zabezpieczać śladów, o wejściu do mieszkania nie mogło być nawet mowy. Wnętrze wyglądało skromnie, ale nowoczesnie. Z miejsca, gdzie stał, widział duże łóżko, ścienną szafę z przesuwanymi drzwiami i fragment aneksu kuchennego. Uchylone drzwi na prawej ścianie zapewne prowadziły do łazienki. Na pierwszy rzut oka wszędzie panował porządek.

– To co robimy? – zapytała Solińska, odchodząc od drzwi. Oparła dłonie o betonową balustradę i potoczyła wzrokiem po okolicy.

„Dobre pytanie” – pomyślał komisarz, spoglądając na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Na wizytę w nocnym klubie, gdzie po raz ostatni kamery zarejestrowały Wiertnicką, było zdecydowanie za wcześnie. Pozostanie tutaj i patrzeć technikom na ręce też nie miało sensu. Woronko wiedział z doświadczenia, że praca pod presją obcych spojrzeń nie jest komfortowa. Panującą ciszę, przerwał dzwonek telefonu. Nim Solińska wygrzebała komórkę z torebki, minęło kilkanaście sekund. Odebrała i po chwili wiedziała, że będzie to dla nich wyjątkowo pracowity wieczór, a może nawet noc.

– Zgłosił się kolejny świadek, który widział Wiertnicką – oświadczyła policjantka, chowając telefon z powrotem do torebki.

ROZDZIAŁ 18

Elżbieta Wolska nie miała specjalnie bystrej pamięci do twarzy. W zawodzie, jaki wykonywała, nie miało to jednak znaczenia. Bardziej pożądanymi cechami były skrupulatność, miła aparycja i odporność na stres. Zwłaszcza ta ostatnia pomagała w starciu z trudnymi klientami, a tych nie brakowało. Sprzedaż biletów kolejowych wiązała się z typowymi przypadłościami siedzącego trybu pracy. Bóle kręgosłupa, nadwaga czy żylaki wymieniano jako najczęstsze, ale Elżbieta wiedziała, że to nieprawda, a na pewno nie w jej przypadku. Dla niej, a pracowała na kasie już ponad trzydzieści lat, najgorszą zmorą byli upierdliwi klienci. Może na jakichś małych stacjach nie stanowiło to problemu. Jednak na tak dużym dworcu jakim był Gdańsk-Wrzeszcz codziennie trafiało się kilku trudnych pasażerów. Ich pretensje dotyczyły niemal wszystkiego. Od nieczynnej toalety począwszy, a na spóźnieniach pociągów skończywszy. Mimo wielu zmian, jakie Elżbieta już przeżyła, zaczynając od rewolucji w sposobie sprzedaży biletów z kartonikowych na te drukowane od ręki, a kończąc na podziale PKP na kilkanaście spółek, jedno nie uległo zmianie.

– Niezadowoleni klienci byli, są i będą – uświadomiła niedawno jedną z zatrudnionych kasjerek. Na szczęście Elżbiecie brakowało do emerytury kilka miesięcy, więc i jej podejście do pasażerów nieco się zmieniło. Jakby na złość uśmiechała się do każdego z nich. Jedni odwzajemniali uśmiech, drudzy patrzyli na nią jak na wariatkę, a jeszcze inni piorunowali wzrokiem. Dziewczyna, która tuż po osiemnastej kupiła bilet na pendolino do Warszawy, należała do tych pierwszych. Podziękowała, zabrała bilet i resztę, a na odchodne życzyła Elżbiecie miłego wieczoru. Takie zachowanie należało do wyjątkowo rzadkich. Dopiero kiedy dziewczyna zniknęła w drzwiach prowadzących do tunelu, ta twarz wydała się Elżbiecie znajoma. Gdzieś już musiała ją widzieć. Być może była stałą pasażerką korzystającą z pociągu jako środka transportu do i z pracy. Pewnie gdyby nie kolejni klienci Elżbieta przypominałaby sobie, gdzie już widziała

dziewczynę w różowej bluzce. Dopiero godzinę później, kiedy szła w stronę przystanku, zobaczyła plakat przyklejony do słupa ogłoszeniowego. Zatrzymała się tak nagle, jakby uderzyła w niewidzialną przeszkodę. Patrzyła na twarz dziewczyny, której nie dalej niż półtorej godziny wcześniej sprzedała bilet na pociąg do Warszawy. O pomyłce nie mogło być mowy. Kiedy jeszcze stojąc obok plakatu, z którego spoglądała uśmiechnięta twarz zaginionej, Elżbieta zatelefonowała do córki, informując, że nie będzie mogła wieczorem zająć się wnukiem, a ta nie była zachwycona. Chowając telefon i ponownie zawieszając wzrok na plakacie Elżbieta, pomyślała, że są ważniejsze rzeczy na świecie niż kolacja córki z nowym facetem. Mały Franek był żywym dowodem tego, do czego takie kolacyjki mogą doprowadzić.

To właśnie dlatego Elżbieta siedziała teraz w holu komendy, czekając na policjantów zajmujących się zaginięciem Klementyny Wiertnickiej. Miejsce nie zrobiło na Elżbiecie najlepszego wrażenia. Ściany, kiedyś zapewne białe, zdążyły już lekko poszarzeć, a w powietrzu unosiła się dziwna mieszanka zapachów. Jakby kawa, zmieszana z tytoniowym dymem i potem, a dopełnienie tego stanowiły tanie perfumy.

Zjawili się kilka minut po dwudziestej. Policjant, który przedstawił się jako komisarz Janusz Woronko, mógłby grać w filmach podstarzałego tarzana. Wysoki, barczysty, z gęstą brodą i sięgającymi ramion włosami zupełnie nie przypominał stróża prawa. Jego koleżanka, aspirant Katarzyna Solińska, robiła dużo lepsze wrażenie.

– Bardzo dziękujemy, że pani przyszła – powiedziała policjantka, wyciągając do Elżbiety smukłą dłoń. Kilka minut później Elżbieta siedziała w małym, ale przyjemnym biurze.

– Może nam pani dokładnie opowiedzieć, co się stało – poprosiła policjantka siadając na drugim fotelu. Policjant o wyglądzie King Konga oparł się o parapet i słuchał uważnie. Elżbieta opowiedziała o tym, o której i na jaki pociąg dziewczyna kupiła bilet oraz jak po wyjściu z pracy w drodze do domu rozpoznała ją na plakacie.

– A czy jest możliwe, że się pani pomyliła?

Pytanie policjantki nie sugerowało, że ta nie wierzy w opowieść Elżbiety, ale chce mieć absolutną pewność co do prawdziwości jej zeznań.

– Sporo o tym myślałam, gdy czekałam na państwa i teraz dochodzę do wniosku, że to z pewnością była ta dziewczyna.

– A dlaczego w ogóle zwróciła pani na nią uwagę? Przecież każdego dnia sprzedaje pani dziesiątki, jeśli nie setki biletów do Warszawy? – tym razem pytanie zadał policjant.

– Ma pan rację. Codziennie obsługuję kilkuset pasażerów. Ale tylko nieliczni są tak mili jak ta dziewczyna.

– To znaczy? – policjant uniósł brwi w geście zdziwienia.

– Standardowo wygląda to tak, że podchodzi klient, jeśli jest dobrze wychowany to powie „dzień dobry”. Następnie mówi, dokąd chce bilet, płaci i odchodzi. A ta dziewczyna odchodząc, życzyła mi jeszcze miłego dnia. Wiem, że to niby nic takiego, ale ja takie rzeczy zauważam.

– Pani Elżbieto a czy może nam pani opisać, jak była ubrana ta dziewczyna? – poprosiła policjantka.

– Miała różową bluzkę z krótkimi rękawami, niebieskie spodnie, chyba dżinsowe, czarne buty i brązową torebkę na pasku – kończąc opisywanie ubioru Elżbieta zastanowiła się, czy niczego nie pominęła. Widziała dziewczynę zaledwie przez pół minuty i gdyby nie jej uprzejme zachowanie, nie zwróciłaby na nią większej uwagi. Opis, jaki podała kasjerka, zastanowił Solińską. Dokładnie tak samo Wiertnicka była ubrana w nocnym klubie. Policjantka zauważyła, że Woronko także zarejestrował tę zbieżność.

– Istnieje możliwość sprawdzenia, czy wsiadła ona do pociągu, na który kupiła bilet? – ton jakim policjant zadał pytanie przywodził Elżbiecie na myśl klientów, którym byle pretekst wystarczył do wszczęcia awantury.

– Można skontaktować się z obsługą pociągu, oni są w stanie potwierdzić, czy bilet na to miejsce został skasowany.

– A czy można sprawdzić, kto faktycznie wykorzystał ten bilet?

– Chodzi panu o to, czy na bilecie, który kupiła ta dziewczyna, mógł jechać ktoś inny?

– Właśnie tak – potwierdził Woronko, czując wzbierającą irytację. Przecież pytanie, jakie zadał, było proste, więc nie rozumiał, jak można nie zrozumieć, o co pytał.

– Przekro mi, ale nie. Gdyby bilet został kupiony przez Internet, wtedy, tak ponieważ takie bilety są biletami imiennymi, a te kupione w kasie to bilety na okaziciela – wyjaśnienie, jakie usłyszał komisarz, uzmysłowiło mu, że ten trop należy uznać za ślepą uliczkę. Czekają ich tej nocy jeszcze jedno spotkanie z kimś, kto nie tylko widział Klementynę Wiertnicką, ale nawet z nią rozmawiał, a może i coś więcej. To ostatnie również było możliwe. Woronko wiedział, w jakim celu odwiedza się nocne kluby. Raz czy dwa sam także złożył wizytę w jednym z nich, ale nie zawarł tam żadnej interesującej znajomości. Nawet takiej na jedną noc. Teraz wizyta miała być służbowa, a ich zadanie trudne. Musieli zidentyfikować, odnaleźć i przesłuchać mężczyznę, z którym Wiertnicka piła drinka poprzedniej nocy.

„Jeśli facet należał do stałych gości to pół biedy, ale jeżeli był to przypadkowy klient, powiedzmy, jakiś menedżer bawiący w Trójmieście służbowo, wtedy sprawa się skomplikuje” – pomyślał Woronko.

Zostawiając Solińskiej dokończenie przesłuchania i załatwienie wszystkich formalności, wyszedł na papierosa. Musiał ułożyć sobie w głowie wszystkie zdobyte dotychczas informacje. Fakt, że w torebce Wiertnickiej znaleziono klucze do kawalerki na Obrońców Wybrzeża, mógł być wskazówką, gdzie zaginiona przebywała od chwili wyjścia z pracy do momentu, kiedy Jan Stęпка, ich pierwszy świadek, zobaczył ją na przystanku. Pozostawało jeszcze ustalić, co robiła w kawalerce. O ile w ogóle tam pojechała. Kolejna sprawa to wizyta Wiertnickiej w nocnym klubie. Jeśli dziewczyna rzeczywiście była spokojną, ambitną i skrytą studentką, to nocny klub był ostatnim miejscem, które powinna odwiedzić. Sytuacji z dworca Woronko zupełnie nie rozumiał. Przecież gdyby Wiertnicka z jakiegoś powodu zamierzała zniknąć, to powinna robić wszystko, aby nie rzucać się w oczy, a ona jakby na przekór starała się, aby ją widziano i zapamiętano. Chyba że dziewczyną, którą zarejestrowały kamery w nocnym klubie i którą rozpoznała kasjerka, nie była Klementyna Wiertnicka. Ta myśl nie spodobała się komisarzowi, oznaczała kłopoty w sprawie. O ile na zapisie z nocnego klubu obraz nie był zbyt ostry, to kasjerka widziała dziewczynę z odległości jednego metra i zapewniała, że rozpoznała w niej poszukiwaną. Dopalając papierosa, komisarz zerknął na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza dwadzieścia.

– Uwędziłeś już wszystkie podroby – usłyszał za sobą głos Solińskiej.

– Kaśka, jeśli sądzisz, że tymi rzeźnickimi żartami obrzydzisz mi przyjemność palenia, to muszę cię rozczarować.

– Ależ ja wcale nie miałam takiego zamiaru. Po prostu chciałam być miłą.

– Wyciągnęłaś jeszcze coś z tej kasjerki? – zapytał Woronko, zmieniając temat. Czasami miał serdecznie dość przytyków młodej aspirant dotyczących jego nałogu. Gdyby nie fakt, że po Solińskiej wszystkie reprimendy spływały jak woda po kaczce, kazałby jej się odpierdolić.

– Nic poza tym, co już wiesz. Dla świętego spokoju kazałam sprawdzić, czy Wiertnicka wsiadła do tego pociągu. Poprosiłam też Michała, aby ściągnął zapisy z kamer na dworcu i peronach.

Woronko pokiwał z uznaniem głową.

ROZDZIAŁ 19

Wchodząc chwilę po północy do nocnego klubu Dariusz Bobowski obrzucił wnętrze lokalu uważnym spojrzeniem. Mimo to nie zwrócił uwagi na parę siedzącą przy barze. Nawet fakt, że barman nachylił się do mężczyzny i coś mu powiedział, uszedł jego uwadze. Wypatrywał samotnych kobiet. Takich, którym można postawić drinka, zaprosić do tańca i niekoniecznie łądować z nimi w jednym łóżku. Zresztą to ostatnie nie było wcale takie proste. Nigdy nie sypiał z prostytutkami, a tych w nocnych klubach było najwięcej. Owszem, mógł takiej postawić drinka, zatańczyć, ale płacenie za seks uważał za formę wyzysku. Przecież te kobiety nie szły do łóżka dla przyjemności, tylko kasy. Dla niego, nawet jeśli noc z jakąś dziewczyną była tylko jednorazowym epizodem, chciał, aby obie strony miały z tego taką samą przyjemność. Może właśnie dlatego odwiedziny w nocnym klubie traktował jako relaks, a nie łowy. Szukając wolnego miejsca, spojrzał na bar. Poza jednym stolikiem wszystkie były zajęte. Siadanie między dwoma wyglądającymi na dobrze zaprawionych facetami uznał za kiepski pomysł i zajął miejsce przy pustym stoliku. Miał zamiar trochę poczekać, a nuż przy barze zwolni się jeszcze jakieś miejsce, wtedy się przesiądzie. Lubił siedzieć przy barze i sącząc drinka, obserwować wejście do lokalu i parkiet zapełniony tańczącymi parami. Kiedy wysoki barczysty facet z włosami do ramion i gęstą brodą oraz towarzysząca mu dziewczyna wstali od baru, Bobowski uśmiechnął się lekko. Jednak, gdy chwilę później zobaczył przed oczami policyjną legitymację, zrzędnęła mu mina.

„Czyżbym źle zaparkował” – pomyślał i natychmiast przypomniał sobie, że nie o to chodzi. Przyjechał przecież taksówką. Jego myśli przerwał stanowczy głos mężczyzny:

– Komisarz Janusz Woronko, Komenda Miejska w Gdańsku. Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów.

Facet zupełnie nie pasował do wyobrażeń Bobowskiego o policjantach i bardziej przypominał przywódcę gangu motocyklowego z Ameryki.

– A o co chodzi?

– Czy zna pan tę dziewczynę? – zapytała towarzysząca policjantowi kobieta, podsuwając wydruk z kamery monitorującej klub. Bobowski najpierw spojrział na kobietę. Mimo że jeszcze się nie przedstawiła, najpewniej także była z policji. Ocenił ją na około trzydziestkę. Odruchowo spojrział w jej oczy, zielone, duże i piękne. Dopiero po chwili przeniósł spojrzenie na zdjęcie. Bez trudu rozpoznał siebie w towarzystwie młodej dziewczyny, z którą poprzedniej nocy wypili kilka drinków, trochę potańczyli i to wszystko.

– Poznałem ją wczoraj, wypiliśmy kilka drinków, porozmawialiśmy, zatańczyliśmy, a potem ona opuściła lokal – odpowiedział Bobowski, przekrzykując głośną muzykę.

– Może porozmawiamy na zapleczu? Szefostwo klubu było tak miłe, że udostępniło nam pomieszczenie – zaproponował mężczyzna. – No chyba że chce pan oficjalne wezwanie na komendę – dodał, widząc wahanie Bobowskiego.

Czego jak czego, ale takiej wizyty Bobowski wolał uniknąć.

– Dobrze – powiedział, wstając od stolika. Minęli bar i drzwiami opatrzonymi tabliczką „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” weszli na zaplecze.

Pracownik klubu poprowadził ich wąskim długim słabo oświetlonym korytarzem. Następnie otworzył jedno z licznych drzwi i wprowadził do niewielkiego pokoju, którego wyposażenie stanowił stół i cztery krzesła.

– Mogę prosić o jakiś dokument tożsamości? – powiedziała Solińska.

Widząc spojrzenie, jakie mężczyzna posłał komisarzowi, wyciągnęła i pokazała swoją legitymację.

– No dobrze, panie Dariuszu. W jakich okolicznościach poznał pan tę dziewczynę? – zapytała dla przypomnienia, kładąc na blacie jedno ze zdjęć.

– Spotkałem ją wczoraj około pierwszej w nocy. Przysiadła się do mnie, kiedy sączyłem drinka przy barze.

– Ona się do pana przysiadła?

– No przecież powiedziałem, że tak – potwierdził Bobowski, obrzucając policjantkę zdziwionym spojrzeniem.

„Widać, że pani aspirant nie wie, do czego między innymi służą nocne kluby” – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. On wiedział o nocnych klubach prawie wszystko. Co najmniej kilka wieczorów w tygodniu spędzał na rozrywkach, jakie oferowały.

– I co było dalej?

– Postawiłem jej drinka, trochę pogadaliśmy, później poszaleliśmy na parkiecie i to wszystko.

– A można wiedzieć, o czym państwo rozmawiali? – wtrącił policjant.

– O wszystkim i niczym, jak to w takich miejscach – wyjaśnił Bobowski, nie bardzo wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież dziewczyn, którym stawiał drinki, było kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset.

– A czy dziewczyna powiedziała, jak ma na imię?

Pytanie, jakie zadała, policjantka utwierdziło Bobowskiego w przekonaniu, że prawdopodobnie jest ona po raz pierwszy w takim miejscu. Przecież to właśnie od imienia zawierano tutaj krótsze bądź dłuższe znajomości.

– O ile dobrze pamiętam, to chyba Klementyna. Tak, na pewno Klementyna. Powiedziałem nawet, że ma bardzo oryginalne imię – odpowiedział Bobowski.

Policjantka wyjęła z teczki inne bardziej wyraźne zdjęcie i położyła na blacie, zabierając poprzednie.

– Czy to z tą dziewczyną spędzał pan czas w klubie?

Bobowski przyglądał się fotografii, próbując równocześnie przypomnieć sobie twarz dziewczyny z klubu. Nie było to wcale takie łatwe. Kiedy usiadła na stołku obok i zagadnęła do niego, był już po trzech czy czterech drinkach. Na poprzednim zdjęciu byli oboje, ale na tym, na które teraz patrzył, była tylko dziewczyna i nie do końca przypominała tą z wczoraj. Owszem, była podobna, ale jakiś drobny szczegół, którego w tej chwili nie umiał, wskazać budził jego wątpliwości.

– Tak, to ta dziewczyna – odpowiedział w końcu, zrzucając winę za swoje wątpliwości na wypity wczorajszej nocy alkohol.

– Jest pan pewien? – naciskała policjantka, dostrzegając jego wahanie.

– Powiedzmy, że na 95 procent – przyznał, mając nadzieję, że tym stwierdzeniem zadowoli policjantkę. Gdy po kilku minutach wyczerpali listę

pytań, łącznie z tymi, których wcześniej nie planowali, Solińska zostawiła Bobowskiemu swoją wizytówkę z prośbą o kontakt, jeśli coś sobie przypomni.

– Janusz, wierzysz mu? – zapytała policjantka, kiedy wyszli z klubu.

– Mimo chwili zastanowienia facet potwierdził, że to była Wiertnicka – odpowiedział Woronko, zapalając papierosa.

– Tylko pal szybko, bo w moim samochodzie jest zakaz – przypomniała Solińska, nadmiernie akcentując słowo „zakaz”.

– Dobra, dobra, najwyżej pójde na piechotę – rzucił komisarz, zaciągając się łapczywie. Szli w milczeniu do zaparkowanego kilka przecznic dalej samochodu Solińskiej. Białe suzuki SX4 z przyciemnianymi szybami wyglądało niezwykle zjawiskowo i – co mile zaskoczyło komisarza – miało dość miejsca nawet na jego posturę. Skórzane fotele były wygodne, klimatyzacja mile chłodziła. Tylko palić nie można było. Mimo późnej pory na chodnikach wciąż było sporo ludzi. Przecięli gwarny Monciak i po kwadransie byli przy samochodzie.

– Wiesz, Janusz, pewnej rzeczy nie rozumiem – zaczęła Solińska, siadając za kierownicą. Woronko uniósł pytająco brwi, ale się nie odezwał.

– Zachowanie Wiertnickiej nie ma sensu. Całe Trójmiasto oblepione jest jej plakatami, jakby kandydowała co najmniej na posłankę, a ona sobie spokojnie chodzi po nocnych klubach, dworcach i jeszcze robi wszystko, by ją zapamiętano. Podczas kiedy ani nie ma profilu na Facebooku czy innym serwisie społecznościowym, a jedyne jej zdjęcie, jakie mamy otrzymaliśmy od współlokatorki – wyjaśniła Solińska, zapalając silnik.

Woronko po chwili zastanowienia musiał przyznać jej rację. „W tym zaginięciu było coś dziwnego” – uznał, zapinając pas bezpieczeństwa.

– A co ty robisz – zdziwiła się Solińska

– Jak to co, zapinam pas. Podobno jazda z tobą to ekstremalne przeżycie.

– A kto ci takich pierdół naopowiadał?

– Mniejsza z tym, ważne, że wiem.

Solińska postanowiła pokazać komisarzowi, do czego jest zdolna. Kiedy godzinę później wysiadał pod budynkiem komendy, rzucił tylko w jej stronę:

– Szybciej bym się tu doczołgał.

– To trzeba było tak zrobić – odpowiedziała, ruszając z piskiem opon.

W lusterku wstecznym mignął jej jeszcze środkowy palec lewej dłoni uniesiony przez Woronkę w geście pożegnania.

ROZDZIAŁ 20

Gdyby nie przyzwyczajenie oraz fakt, że z całej czwórki zostały tylko one dwie, Rozalia Pawlak nie przyszłaby na cotygodniową kawę do Amber Cafe. Co więcej, wcale nie wyszłaby z łóżka. Pierwotnie miała właśnie taki zamiar i perspektywa spędzenia całego przedpołudnia, a może nawet całego dnia, w sypialni z książką i kubkiem herbaty niebezpiecznie ją kusila. Po tym, jak poprzedniego popołudnia podczas krótkiej, bo zaledwie godzinnej drzemki, nawiedził ją kolejny koszmarny sen, nie spała do trzeciej nad ranem. Przeczytała do końca „Hiszpańskie Oczy”, skończyła wyszywać leśny pejzaż, z którym bawiła się już od ponad miesiąca, a nawet zmieniła zasłony we wszystkich oknach. Zdawała sobie sprawę, że ta ostatnia czynność wykonywana o drugiej w nocy, gdyby została przez kogoś zauważona, wyglądałaby co najmniej dziwnie. Walczyła ze zmęczeniem tak długo, jak potrafiła. Wreszcie kilka minut po trzeciej w nocy dała za wygraną i nie zważając na kolejne koszarne sny, zasnęła. Kiedy kwadrans przed siódmą zadzwonił budzik, uświadomiła sobie, że tej nocy o niczym nie śniła, a nawet jeśli, to niczego nie pamiętała. Ale wciąż odczuwała zmęczenie, więc pocieszenie było raczej marne. Ponownie naszła ją wizja błógięgo leniuchowania. Jednak przyzwyczajenie, poczucie obowiązku i przyjaźń, jaką darzyła Bożenę, wzięły górę. Przyjaciółki, rzecz jasna, jeszcze nie było. Rozalia poprosiła kelnera o wodę mineralną i czekała, przeglądając lokalne gazety, jakie kupiła w drodze do kawiarni. Temat zaginięcia Klementyny Wiertnickiej wciąż był nagłaśniany, ale teraz pisano o tej sprawie nie na pierwszej, ale na dalszych stronach.

„Gdyby tylko moje sny też zechciały zejść na dalszy plan” – pomyślała Rozalia, sięgając po kolejną gazetę. Ale w tej sprawie wszystko było prawie po staremu. Nowość polegała na tym, że ostatni sen miała podczas popołudniowej drzemki. Na wspomnienie snu Rozalię przeszedł zimny dreszcz. Wzdrygnęła się i spojrzała na zegarek. Przyjaciółka miała już dwadzieścia minut spóźnienia.

Dotychczas nigdy nie musiała czekać na nią tak długo. Już miała zamiar zadzwonić do Bożeny i zapytać, co się stało, gdy zobaczyła ją przez okno. Szła spacerkiem w towarzystwie niskiego mężczyzny z widoczną nadwagą. Rozalia nie знаła tego człowieka. Co więcej, kiedy wczoraj zadzwoniła Bożena, aby przypomnieć o spotkaniu, nie mówiła, że ma zamiar kogoś przyprowadzić. Do tej pory niepisana zasadą był brak mężczyzn podczas ich spotkań. To miał być czas wyłącznie dla nich. Jednak dzisiaj z jakiegoś powodu Bożena postanowiła zaprosić kogoś, kogo Rozalia nie znała. Nie był to nowy amant przyjaciółki, jego zdjęcie Rozalia widziała już jakiś czas temu. Mężczyzna, z którym Bożena weszła do lokalu, wcale tamtego nie przypominał. Nie dość, że miał nadwagę, to jeszcze był prawie całkiem łysy, a grube szkła okularów sprawiały, że jego szare oczy przypominały spojrzenie sowy.

– To moja przyjaciółka Rozalka, a to Bogdan Milczyński – Bożena dokonała prezentacji i nim jeszcze na dobre usiadła zaczęła wyjaśniać obecność mężczyzny. – Rozalka, Bogdan od bardzo wielu lat zajmuje się zjawiskami paranormalnymi. Jednak nie robi tego hobbystycznie, ale w sposób naukowy. Zaprosiłam go tutaj w nadziei, że pomoże ci rozwiązać zagadkę twoich dziwnych snów – oznajmiła Gorczyńska poważnym tonem.

W pierwszej chwili Rozalia pomyślała, że przyjaciółka żartuje, ale powaga w jej głosie jasno wskazywała, iż traktuje temat zupełnie serio.

– Wiesz, Bogdan sam nie posiada żadnych nadzwyczajnych zdolności, ale ciekawią go ludzie obdarzeni takim darem. Wiem, wiem, zaraz zaczniesz się ze mnie wyśmiewać, ale są na tym świecie rzeczy, których nie da się wyjaśnić rozumem.

Rozalia wiedziała, że przerywając przyjaciółce niczego nie wskóra. Bożena już tak miała, że gdy zaczynała opowiadać o czymś, co ją ciekawiło, wszelki opór słuchaczy z góry był skazany na niepowodzenie. Ignorując paplaninę przyjaciółki, skupiła się na mężczyźnie. Siedział utkwivszy spojrzenie gdzieś za oknem. Rozalia spojrzała w tamtym kierunku, ale nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego. Ludzie śpieszyli w sobie tylko znanych kierunkach, grupki turystów szły posłusznie za przewodnikami.

„Zwyczajny dzień na gdańskiej starówce” – pomyślała, przenosząc wzrok z powrotem na mężczyznę. Sądząc po wyglądzie, musiał być od nich kilka lat

młodszy.

– Ale po co ja to wszystko mówię, przecież w naszym gronie to Bogdan jest specjalistą – zamilkła, spoglądając na mężczyznę wyczekującym wzrokiem.

– Tak, jak już wspomniała Bożena, są na tym świecie zjawiska, których w żaden logiczny sposób nie można wyjaśnić. Zapewne nie raz słyszały panie o cudownych uzdrowieniach – mówił do nich obu, ale spojrzenie skoncentrował na Rozalii.

– Wielu wierzących uważa to za cud i przypisuje go jakiemuś świętemu lub osobie, którą Kościół chce za taką uznać. Z kolei naukowcy doszukują się w tych zdarzeniach potwierdzenia, że mimo ogromnej wiedzy ludzki organizm wciąż kryje w sobie tajemnice, a jedną z nich jest radzenie sobie z chorobami. Ja zajmuję się... – zawiesił głos, jakby szukał odpowiednich słów. – Próbuję zrozumieć, choć lepszym określeniem będzie udowodnić, że jest pewne grono osób posiadających dziwne zdolności. Nie interesują mnie ludzie przepowiadający przyszłość z kart czy miłośnicy numerologii, ale konkretne przypadki dotyczące rzeczywistości. Tak jak w Pani przypadku.

Rozalia mimowolnie przytaknęła ruchem głowy. Choć nie była pewna co ten gest miał oznaczać.

– Bożena wspomniała, że miewała pani sny. Czy może mi je pani opowiedzieć?

Rozalia dość niechętnie opowiedziała wszystkie sny związane z Klementyną Wiertnicką.

– Rozumiem, że nigdy wcześniej nie spotkała pani tej dziewczyny?

– Tak, nigdy jej nie spotkałam, a nawet jeśli, to musiało być to przypadkowe spotkanie gdzieś w sklepie, pociągu czy na spacerze – potwierdziła, upijając łyk zimnej już kawy. Siedziały w kawiarni ponad dwie godziny. Bożena nerwowo zerkała na zegarek, jakby gdzieś się śpieszyła.

– Wiecie co, kochani, ja będę leciała. Jestem umówiona – oznajmiła w końcu, dochodząc do wniosku, że spotkanie jeszcze trochę potrwa. Zanim Rozalia zdążyła otworzyć usta, Bożeny już nie było.

– Bożenka to dziwna kobieta – oznajmił mężczyzna po chwili zastanowienia.

– A skąd się znacie?

– Jestem krewnym obecnego towarzysza życia pani Bożeny – odpowiedź wyjaśniała wszystkie pytania, jakie Rozalia zamierzała jeszcze zadać panu Bogdanowi. Znając przyjaciółkę, ta paplała o dziwnych smach Rozalii na prawo i lewo. Jej – jak go nazwał pan Bogdan – obecny towarzysz życia powiedział jej o swoim krewnym, a Bożena już się postarała, aby on przyszedł na spotkanie.

– Pani Rozalio, a mogę wiedzieć, gdzie się pani urodziła?

Pytanie było dość osobliwe. Czasami pytano ją o wiek, ale miejsce urodzenia musiała podawać jedynie w urzędach czy bankach.

– W Łucku na Wołyniu, teraz to teren Ukrainy – odpowiedziała, przypominając sobie opowieści matki o koszmarnych czasach wojny, o napadach, jakich dopuszczali się ukraińscy nacjonaliści, o ciężkiej podróży, jaką wraz z innymi repatriantami przeżyli, gdy po wojnie postanowili przesiedlić się do Polski, i rozczarowaniu, kiedy ich nowym domem stało się małe miasteczko przed wojną należące do Niemiec.

– Czyli jest pani repatriantką?

W odpowiedzi tylko przytaknęła.

– A gdzie Pani rodzina trafiła po wojnie?

Rozalię zastanawiało, co pytania mężczyzny mogą mieć wspólnego z jej hipotetycznymi zdolnościami.

– Najpierw do Prabut. Niestety, nie było to dla nas szczęśliwe miejsce. Po pierwsze przed wojną tamte tereny należały do Niemiec i mimo zakończenia wojny wciąż żywy był w nas strach, że kiedyś ci Niemcy wrócą. Po drugie mój ojciec po kilku miesiącach zginął w tajemniczych okolicznościach. Po jego śmierci wyjechaliśmy do Gdańska, gdzie matka zaczęła nowe życie.

– Powiada pani Prabuty. W takim razie to wiele wyjaśnia – mówił bardziej do siebie niż do niej. Rozalia nie rozumiała, co mężczyzna miał na myśli, ale postanowiła nie dopytywać. Doszła do wniosku, że sam jej to powie.

– Pani Rozalio – zaczął tonem, który wskazywał, że to co mężczyzna ma do przekazania, jest bardzo ważne.

– Pewności nie mam, lecz podejrzewam, że zdolności jakie pani posiada, nie są zupełnie przypadkowe. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest pani córką pewnego zakonnika.

Rozalia uniosła pytająco brwi i otworzyła szeroko oczy. Właśnie usłyszała największą bzdurę w swoim życiu.

– Nie mam na myśli pokrewieństwa biologicznego – sprostował natychmiast mężczyzna, widząc reakcję jaką wywołały jego słowa. – Ale żeby dokładnie to wyjaśnić, muszę opowiedzieć pewną historię.

Pół godziny później Rozalia Pawlak była skłonna uwierzyć, że jest, jak to określił pan Bogdan, córką zakonnika. Aby jednak być zupełnie pewną, musiała odwiedzić miejsce, w którym ponad sześćdziesiąt lat temu wszystko się zaczęło.

ROZDZIAŁ 21

Woronko leżał, nasłuchując upartego krakania wron na pobliskim drzewie.

– Dlaczego te pierdolone ptaszyska muszą drzeć swoje wredne dzioby o czwartej nad ranem – zaklął, spoglądając na zegarek. Najchętniej kupiłby wiatrówkę i powystrzelał całe to ptasie towarzystwo. Jednak w tej chwili miał tylko dwa wyjścia. Albo zamknie okno i będzie się starał zasnąć w nagrzanym pokoju, albo spróbuje wrócić w ramiona snu, ignorując hałaśliwą ptaszarnię. Wybrał pierwszy wariant. Zamknął okno i pokój natychmiast wypełniła cisza. Przewracał się jeszcze chwilę, ale w końcu zmęczenie wzięło górę.

Po wizycie w nocnym klubie i żałościwie wolnej jeździe Solińskiej, do domu dotarł dopiero około drugiej. Kiedy ponownie otworzył oczy zobaczył zasnutę szarością niebo i usłyszał krople deszczu bębniące o parapet. Wyłączył natrętnie dzwoniący budzik i poszedł pod prysznic. Na śniadanie zjadł miskę płatków zbożowych z owocami zalanych zimnym mlekiem. Z żalem pomyślał, że dzisiaj motocykl będzie musiał zostawić w garażu. Kiedy godzinę później wchodził do biura, przywitało go niezadowolone spojrzenie Solińskiej.

– Spóźniłeś się, Janusz, o całe dwanaście minut.

– Ty nie bądź taka drobiazgową, bo jak zacznę podliczać twoje kwadranse urywane na kosmetyczki, fryzjerów czy sklepowe promocje, to księgową nie wypłaci ci kolejnej pensji.

– Nie dość, że spóźniony, to jeszcze wkurzony i złośliwy.

– Ciebie też by krew zalała, gdyby o czwartej nad ranem stado wrednych ptaków urządziło sobie koncert pod twoim oknem.

– A od czego masz spluwę?

– Myślałem o tym i doszedłem do wniosku, że lepsza będzie wiatrówka.

– No dobra my tu gadu-gadu o ptaszkach, a Konieczny dzwonił już dwa razy – zakomunikowała Solińska. – Czeka na nas w sali konferencyjnej – dodała, widząc zaskoczoną minę komisarza.

– A co mu się tak nagle zaczęło śpieszyć – prychnął Woronko, wieszając kurtkę na oparciu fotela.

– Mówił, że jest zawalony robotą jak zsypany śmieci w wieżowcu podczas strajku śmieciarzy. Prócz naszej zaginionej ma na głowie jeszcze zabójstwo staruszki na Ołowiance i włamanie do bankomatu przy Rajskiej – odpowiedziała Solińska, wstając z miejsca.

Komisarz uważał Artura Koniecznego za jednego z lepszych trójmiejskich techników kryminalnych. Facet był na tyle stary, że uzyskał porządne milicyjne wykształcenie i na tyle młody, by przyswoić nowinki technologiczne.

– Dobra, w takim razie idziemy, kawa będzie musiała poczekać – zdecydował Woronko otwierając drzwi i przepuszczając Solińską przodem.

Artur Konieczny siedział w Sali konferencyjnej bębniąc nerwowo palcami o blat stołu.

– No, wreszcie jesteście – westchnął, otwierając leżącą przed nim teczkę. Jeszcze dobrze nie usiedli, a on już referował ustalenia z poprzedniego dnia.

– Na miejscu znalezienia torebki praktycznie nic. Sama torebka to kilka różnych odcisków palców. Dwa z nich zidentyfikowaliśmy. Pierwsze należały do Gawlińskiej. To ta kobieta, której pies znalazł torebkę w krzakach – wyjaśnił technik widząc pytające spojrzenie Woronki. – Drugie prawdopodobnie należą do Wiertnickiej.

– Jak to prawdopodobnie? – wszedł mu w słowo komisarz.

– Janusz, opieramy się tylko na materiałach zabezpieczonych w mieszkaniu poszukiwanej więc materiał porównawczy nie pochodzi bezpośrednio od niej – wyjaśnił Konieczny.

– Co do mieszkania na Obrońców Wybrzeża mamy trochę więcej ustaleń, ale tyle samo znaków zapytania – kontynuował technik, przewracając kartki w teczce. – Osiem różnych śladów dastyloskopijnych, kilka śladów biologicznych w postaci włosów, a poza tym czyściutko jak na sali operacyjnej. Moim zdaniem ktoś całkiem niedawno wysprzątał to mieszkanie. Z ciekawostek mam jeszcze dla was telefon komórkowy, który leżał na nocnej szafce podłączony do ładowarki. Aparat nie był w żaden sposób zabezpieczony. Na liście połączeń jest kilka nieodebranych rozmów, wszystkie po 20 czerwca. Tu są numery, z których dzwoniło – przesunął w stronę komisarza jedną z kartek.

Woronko niemal automatycznie podał ją Solińskiej.

– Sprawdzisz? – spytał ledwie słyszalnym szeptem.

W odpowiedzi tylko przytaknęła.

– Lista połączeń wychodzących, książka kontaktów, skrzynka SMS tam niestety pustki – ciągnął technik. Mieszkanie zostało wyremontowane, ale to raczej nie będzie dla was specjalnie pomocne. I to by było na tyle – oznajmił, zamykając teczkę.

– Jakieś pytania?

– Na tym etapie nie – mruknął Woronko, układając sobie w głowie to, co właśnie usłyszał.

– Dobra, w takim razie lecę dalej – powiedział Konieczny, opuszczając salę.

Chwilę później Woronko i Solińska poszli w jego ślady.

– Idę do pizzerii po kawę, przynieść ci?

– Tak, tylko bez cukru – poprosiła policjantka, ruszając w kierunku ich biura.

Będzie musiała wystąpić do operatorów o udostępnienie danych abonentów numerów otrzymanych od Koniecznego. Wiedziała, że zanim je otrzymają, minie tydzień, a może nawet dwa. A jeśli były to numery prepaid, to dostaną figę z makiem. Czy znaleziony telefon należał do zaginionej dziewczyny? Nawet jeśli tak, to był drugim, bo ten z którego telefonowała do Skowrońskiej, miał inny numer. Zagadkowy był również sam fakt posiadania przez Wiertnicką kluczy do tego mieszkania. Solińska żałowała, że wczoraj wieczorem nie zaczęli rozmawiać z sąsiadami, może oni wiedzieliby coś ważnego. Przypomniała sobie, że chciała to nawet zaproponować, ale telefon informujący o nowym świadku pokrzyżował jej zamiary.

„Będziemy musieli tam pojechać i porozmawiać z sąsiadami” – pomyślała, zamykając za sobą drzwi biura.

Woronko wrócił kilka minut później, niosąc dwa parujące kubki kawy. Jeden postawił przed Solińską, a z drugiego upił mały łyk.

– Tego mi trzeba było – wyznał, siadając za biurkiem. Przeciągnął się na krześle, głośno ziewnął i zaplótł ręce za głowę.

– Kaśka, nie odnosisz wrażenia, że wygląda to tak, jakby ktoś co chwilę podsuwał nam nowy trop lub dowód w sprawie? – zaczął lekko mrużąc oczy. – Najpierw znalezienie szminki i kluczy przed blokiem w którym mieszkała

Wiertnicka. Następnie nagranie z nocnego klubu. Później torebka porzucona na odludziu, dzięki której odkryliśmy mieszkanie. Kasjerka, u której Wiertnicka kupowała bilet do Warszawy, a teraz jeszcze ten telefon znaleziony w mieszkaniu na Obrońców Wybrzeża – wymieniał Woronko, zastanawiając się czy niczego nie pominął.

– A co do listy tych połączeń to wyślij wniosek o udostępnienie danych. Może to jest jakiś trop?

– Jest, albo i nie. Jeżeli to karta na doładowanie i w dodatku nierejestrowana, to nie mamy nic – odpowiedziała, studząc nadzieje komisarza.

– Jadąc dzisiaj do pracy, pomyślałem, że tak właściwie mamy teraz dość główniane zajęcie. Sama musisz przyznać, że poszukiwanie zaginionych nie należy do policyjnych priorytetów. Zabójstwa, gwałty, włamania, rozboje tak, ale szukanie kogoś, kto może nawet z własnej woli postanowił zniknąć, to sprawa drugorzędna. Podejrzewam, że ludzie Koniecznego niespecjalnie przykładali się wczoraj do pracy – refleksja komisarza w pewnym stopniu pokrywała się z przemyśleniami Solińskiej.

– Na pierwszy rzut oka może i tak to wygląda – potwierdziła Solińska, wpatrując się w zapisane kartki leżące na biurku.

– Jednak zwróć uwagę, że szminkę i klucze znaleźli policjanci. Nagranie dostarczył pracownik klubu, torebkę znalazła kobieta, ale między tymi osobami nie ma żadnego wspólnego mianownika.

– Moim zdaniem tu właśnie się mylisz. Fakt, że wszystkie te osoby nie mają z sobą nic wspólnego, potwierdza tylko moją teorię. Przecież gdyby wszystkie dowody, jakimi w tej chwili dysponujemy, zostały dostarczone przez jedną osobę, natychmiast wzbudziłoby to podejrzenia. Moim zdaniem ktoś celowo zostawił na trawniku szminkę i podrzucił jej torebkę w odludne miejsce. Ten ktoś założył, że prędzej czy później wszystko to trafi w nasze ręce – dokończył Woronko i głośno ziewnął.

– No dobra przyjmijmy, że masz rację, ale co ten tajemniczy ktoś chce osiągnąć?

– Tego jeszcze nie wiem – przyznał Woronko. Sytuację, kiedy pytań było więcej niż odpowiedzi, uważał za coś normalnego. Przecież między innymi na tym polegała ich praca, aby rozwiązywać zagadki. Ale w tej sprawie nawet same

pytania były dziwne. Nijak do siebie nie pasowały. Przepada młoda atrakcyjna dziewczyna, która jest przeciwieństwem swoich rówieśników. Nie chadza na imprezy, nie kręca jej narkotyki, nie ma konta na Facebooku. Już wszystkie te elementy tworzą niepokojącą całość. Ktoś taki albo ma powód, by zachowywać się tak, a nie inaczej. Albo po prostu ma taki charakter. Woronko odrzucił drugą ewentualność. Osobliwy charakter i styl bycia nie pasowały do luksusu, jakim Wiertnicka się otaczała. Kosmetyki, odzież, elektronika i wszystko w najlepszym gatunku i z najwyższej półki. Czy kogoś, kto zarabiał tysiąc złotych miesięcznie, byłoby na to wszystko stać? Do tego wszystkiego jeszcze to tajemnicze mieszkanie na Obrońców Wybrzeża, do którego klucze znaleźli w torebce poszukiwanej. Komisarz podejrzewał, że mieszkanie może być ważnym elementem tej całej układanki. Konieczny twierdził, że poza telefonem nie znaleźli niczego szczególnego, a mieszkanie wyglądało na świeżo posprzątane. Tyle, że o ile wierzył technikowi przy takich sprawach jak zabójstwa, to w tym przypadku miał wątpliwości co do sumienności, z jaką ludzie Koniecznego sprawdzili lokal na Obrońców Wybrzeża.

– Kaśka, zlec te papierkową robotę Michałowi. Pojedziemy sami obejrzeć kawalerkę – polecił komisarz, dopijając kawę i wyrzucając pusty kubek do kosza na śmieci.

Tym razem skorzystali z windy. Dźwig był stary, może nie tak jak sam falowiec, ale nie przypominał wind w nowych apartamentowcach czy centrach handlowych. Żadnych lusterek, chromowanych rur, przestrzeni. Ciasna klatka o ścianach pokrytych piłkarską poezją.

– Jebać Arkę w ciasną szparę – przeczytał półgłosem Woronko. Solińska nie zareagowała, stała zamyślona, jakby nieco nieobecna. Dopiero po chwili dotarło do niej, że komisarz coś przed chwilą powiedział.

– Mówiłeś coś?

– Niezły rym – ruchem głowy wskazał na koślawy napis wykonany grubym czerwonym markerem.

– Widziałam bardziej kreatywne – odparła zdeglustowana Solińska.

Winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem. Woronko z widoczną ulgą wysiadł i poszedł za policjantką. Mijając mieszkanie sąsiadujące z kawalerką, która była celem ich wizyty, usłyszeli głośno grający telewizor. Z tego, co

komisarz sobie przypominał, wczoraj panowała tam cisza. Uznał, że poprzedniego wieczora lokator był poza domem albo – co było bardziej prawdopodobne – śledził przez judasza lub szparę w zasłonach to, co działo się na zewnątrz. Zatrzymali się przy sąsiednich drzwiach zabezpieczonych taśmą policyjną. Solińska wyjęła klucze i dwie pary lateksowych rękawiczek. Co prawda, Konieczny z ekipą zebrali wszystkie ślady, jednak zasady były zasadami. Po chwili weszli do środka. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w raporcie opisał to miejsce Konieczny, choć zdaniem Woronki napisanie raportu technik zlecił jakiemuś stażystcie. Wyświetlanie się nimi traktowano jako normę. Sam Woronko co bardziej nudną papierkową robotę zwał na stażystów. Oczywiście, pod pretekstem nabywania przez nich doświadczenia w pracy biurowej. Centralnym miejscem kawalerki był duży pokój. Mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć metrów kwadratowych. Pomalowane na biało ściany, bez żadnych dekoracji sprawiały, że wewnątrz emanowało chłodem. Pośrodku pokoju stało masywne, metalowe łóżko. Całą ścianę naprzeciw drzwi wejściowych zajmowała szafa z lustrzanymi przesuwanymi drzwiami. Komisarz przystanął przy łóżku przykrytym narzutą w różnokolorowe romby. Tylko ona ożywiała monotonię białych ścian i czarnej wykładziny. Ukląkł i zajrzał pod łóżko. Nie zobaczył tam absolutnie nic. Wstał i podszedł do szafy. Przesunął duże drzwi i zajrzał do środka. Poza drewnianymi wieszakami niczego nie znalazł. Obszedł łóżko i przysiadł na jego brzegu. Sprężyny materaca cicho skrzypnęły. Sprawnie przeszukał nocną szafkę, była pusta. Solińska w tym czasie sprawdzała niewielką kuchnię i jeszcze mniejszą łazienkę.

– Zupełnie czysto – mruknęła niezadowolona, przysiadając po chwili obok Woronki.

– Właśnie, zupełnie czysto – powtórzył komisarz, zastanawiając się, co to może oznaczać. Normalnie w mieszkaniu można znaleźć jakieś rzeczy, ubrania, kosmetyki, jedzenie w lodówce. No chyba że nikt w mieszkaniu nie mieszka. Wtedy brak czegokolwiek jest zrozumiałą. Tylko co w takim razie robił tutaj telefon? Nagle komisarz poczuł, że to mieszkanie jest jakieś inne. Nie potrafił określić na czym polega ta inność, ale czuł, że tak jest.

– Nic tu po nas – zdecydował, podchodząc do wyjścia. Solińska poszła w jego ślady.

Otworzył drzwi i wyszedł na betonową galerię ciągnącą się wzdłuż falowca. Na dole po ulicy jechały samochody, a z mieszkania obok dobiegał odgłos telewizora. Wtedy zrozumiał, na czym polegała inność mieszkania, które właśnie opuścili. Zawrócił i wszedł do środka. Zamykając drzwi, usłyszał pytanie Solińskiej:

– Zapomniałeś o czymś?

Stał przed zamkniętymi drzwiami. Przez kwadratową szybkę w górnej części drzwi widział Solińską, która coś do niego mówiła, ale jej nie słyszał. W mieszkaniu panowała kompletna cisza. Podeszedł do ściany, za którą znajdowało się mieszkanie z głośno grającym telewizorem. Przyłożył ucho. Usłyszał jedynie ciche dźwięki. Kawalerka, do której Wiertnicka miała klucze została wygłuszona i to w sposób profesjonalny. Tylko dlaczego? Wyszedł na zewnątrz i opowiedział Solińskiej o swoim odkryciu. Po jej minie widział, że też ją to zdziwiło.

– Słuchaj, skoro już tu jesteśmy to popytajmy sąsiadów, może ktoś coś widział albo słyszał – zaproponowała Solińska, kierując spojrzenie w stronę drzwi do mieszkania z głośno grającym telewizorem.

– Widzieć to może i widzieli, ale słyszeć na pewno nie – odpowiedział komisarz, przypominając co przed chwilą odkrył. Na twarzy policjantki tylko przez chwilę zobaczył wyraz skonsternowania, który natychmiast pokryła uśmiechem.

– Dowcipny jesteś. Lubię facetów z poczuciem humoru.

Jej słowa sprawiły, że teraz to on poczuł skrępowanie. Solińska miała nieznośną manierę, aby zawstydzić komisarza, a najlepsze do tego były komplementy.

– Dobra, Kaśka, idziemy – mruknął, ruszając z miejsca.

Drzwi otworzyła im niska chuda staruszka. Na jej widok komisarzowi szybciej zabiło serce. Miał oto przed sobą idealny model Wojskowego Punktu Obserwacyjnego. Nie to, co ta baba, która opowiadała Solińskiej jakieś senne brednie. Kiedy już się przedstawili i zapytali, czy mogą zadać jej kilka pytań, kobieta z radością w oczach zaprosiła ich do środka.

– Czy wie pani, kto w tej chwili mieszka obok? – zaczął komisarz, częstując się domowym jabłecznikiem, który pani Zofia upiekła na spotkanie w klubie

seniora.

Jablecznik smakował wybornie. Przypominał komisarzowi ciasto, które dawno, dawno temu z takim apetytem zjadał podczas odwiedzin u babci.

– Teraz to wynajmuje je taka młoda dziewczyna, bardzo miła, kulturalna i spokojna osoba – odparła kobieta.

Kiedy Solińska wyjęła z teczki zdjęcie Wiertnickiej, staruszka potwierdziła, że to ją spotykała na galerii czy w windzie.

– Raz czy dwa to mi nawet zakupy pomogła przynieść – dorzuciła kobieta.

– A kiedy widziała ją pani po raz ostatni? – Woronko wiedział, że od tego pytania bardzo wiele zależy.

– No właśnie, ostatnimi czasy jej nie widuję – nagle kobieta jakby skojarzyła fakty. Wizyta policji, pytania o dziewczynę i o ich ostatnie spotkanie. Spojrzała niepewnie na Woronkę, następnie przeniosła spojrzenie na Solińską i to jej zadała pytanie:

– A dlaczego pytają państwo o panią Klementynę? Czy coś się stało? – Solińska powiedziała o zaginięciu Wiertnickiej, dodając pośpiesznie, że jak to w takich przypadkach bywa, dziewczyna może gdzieś wyjechała, nie informując nikogo o tym i wkrótce się odnajdzie. Pani Zofia nie wyglądała jednak na przekonaną.

– To jej bliscy teraz muszą cierpieć – westchnęła współczująco kobieta. Jednak po chwili wróciła do tematu.

– Jak już mówiłam, ostatnimi czasy jej nie spotykałam. Ale specjalnie mnie to nie dziwiło. Z tego, co pani Klementyna, mówiła, to w tym mieszkaniu udzielała korepetycji, a teraz rok szkolny już się skończył, to i pewnie uczniów ubyło.

Komisarz zobaczył, jak Solińska uniosła w zdziwieniu brwi. Czubkiem buta delikatnie kopnął ją w kostkę, dając znak, aby nie przerywała kobiecie. Znał takie miłe staruszki, które gdy tylko dorwały słuchacza, mogły mówić godzinami bez zwilżania ust. I się nie pomylił. Pani Zofia przerwała jedynie dla nabrania powietrza i ciągnęła dalej.

– Ale wczoraj rano przyszedł mężczyzna około pięćdziesiątki. Ubrany w szary elegancki garnitur, a na garniturach to ja się znam. Bo wiecie państwo, ja całe życie jako krawcowa pracowałam. Czego to się nie szyło. Garnitury, płaszcze, spodnie, sukienki, spódnice – przez kolejne kilka minut słuchali o zawodowych

perypetiach kobiety. – Ten mężczyzna to pewnie ojciec jakiegoś ucznia. Postać chwilę pod drzwiami i odszedł. Chciałam nawet wyjść, żeby mu powiedzieć, że pani Klementyny nie ma w mieszkaniu. Zazwyczaj zaczynała korepetycje około osiemnastej. Ale akurat zadzwoniła koleżanka.

Woronko dowiedział się wszystkiego, co – jego zdaniem – pani Zofia wiedziała o Wiertnickiej. Zastanawiał się właśnie, jak zakończy rozmowę, kiedy zadzwonił telefon Solińskiej. Policjantka przeprosiła i wyszła z mieszkania. Wróciła po minucie.

– Pani Zofio, bardzo dziękujemy za poświęcony czas, ale musimy wracać na komendę.

– Co jest? – spytał komisarz, kiedy tylko wyszli z mieszkania starszej pani.

– Michał zidentyfikował jeden z numerów. Facet zgłosił kiedyś włamanie do samochodu i stąd jego numer w naszej bazie. Zaraz ma mi przesłać wszystko, co o tym gościu wiemy.

ROZDZIAŁ 22

Czekając na peronie, Rozalia Pawlak zapięła kurtkę pod samą szyję. Słońce, mimo że wstało ponad dwie godziny temu, nie zdołało jeszcze rozgrzać chłodnego trójmiejskiego powietrza. Kiedy wreszcie pociąg przyjechał i wsiadła do niego, zajęła miejsce przy oknie. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem jechała koleją, ale nie potrafiła. Z pewnością musiało to być dawno, dawno temu. Jeszcze poprzedniego wieczoru, planując wyjazd, rozważała skorzystanie z samochodu. Mimo swojego wieku uważała się za dobrego kierowcę. Jednak na korzyść pociągu przemówił fakt, że podróż do Prabut samochodem zajęłaby jej prawie dwie godziny, podczas gdy koleją tylko godzinę. Gdyby nie rozmowa z Bogdanem Milczyńskim nie siedziałaby teraz w przytulnym wnętrzu wagonu. Z Prabutami właściwie nic jej nie łączyło. Poza tym że mieszkała tam przez kilkanaście miesięcy, z których niczego nie zapamiętała. Trudno się dziwić, miała przecież wtedy mniej niż roczek. Później coroczne odwiedziny na grobie ojca. Zrezygnowała z nich po śmierci matki i zamiast wizyt na cmentarzu wolała zapłacić lokalnej firmie pogrzebowej, która dbała o grób ojca. Teraz jednak to miasteczko było kluczem do rozwiązania zagadki jej tajemniczych snów. Tak przynajmniej twierdził Milczyński. Musiała przyznać, że o ile jego stwierdzenie, iż jest ona dzieckiem zakonnika, o którym coś niecoś słyszała, uznała za kompletną bzdurę, to wyjaśnienie tego stwierdzenia, mimo że wciąż absurdalnego, było już bardziej logiczne. Teraz pozostawało Rozalii sprawdzić przypuszczenia Milczyńskiego, a później może nawet poszukać innych dzieci zakonnika, o którym krążyło wiele opowieści. Ojciec Klimuszko najbardziej znany był z receptur na mieszanki ziołowe pomagające przy wielu schorzeniach. Ale była jeszcze jedna mniej znana działalność zakonnika, o której zwłaszcza władze kościelne mówiły wyjątkowo niechętnie. Rozalii szczególnie to nie dziwiło, zważywszy, że niejako stała ona w sprzeczności z nauką kościoła. Gdy po rozmowie z Milczyńskim poszła do

biblioteki wojewódzkiej uczynna bibliotekarka po wysłuchaniu dość nietypowej prośby przyniosła Rozalii kilka książek traktujących o paranormalnych zdolnościach ojca Klimuszki. Nawet pobieżna lektura świadectw ludzi, którym zakonnik pomógł, przekonała ją o jego zdolnościach jasnowidzenia, ale w żaden sposób nie tłumaczyła, skąd u niej, zwyczajnej starszej pani, dziwne sny. Mijając Tczew, a chwilę później Malbork Rozalia obiecała sobie, że musi koniecznie odwiedzić te miasta. Wiedziała o ich bogatej historii i licznych zabytkach, a mimo to jakoś do tej pory nie było okazji, by je zwiedzić. W Prabutach poza nią wysiadło jeszcze małżeństwo z małym dzieckiem. Ostatni raz była tutaj jakieś dziesięć lat temu. Dworzec i jego okolice zmieniły się nie do poznania. Podziemne przejścia pod peronami, windy. Teraz stacja wyglądała jak te, które widywała podczas wyjazdów do Szwecji, Danii czy Belgii. Przeszła do budynku stacji, sprawdziła o której ma powrotny pociąg, i ruszyła dalej. Mijając gwarny bazar, pomyślała, że środa to w tym mieście dzień targowy. Doszła do ronda, a po dalszych kilkudziesięciu metrach stanęła przed drzwiami tutejszej plebanii. Nacisnęła przycisk domofonu i czekała. Przez moment kusilo ją, by zawrócić i odejść. Lecz kiedy usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku zrozumiała, że jest za późno. Niski lekko grubawy ksiądz o bujnej kasztanowej czuprynie i takiej samej brodzie wyglądał dość zabawnie i sympatycznie.

– Szczęść Boże – powiedziała Rozalia, posyłając duchownemu lekki uśmiech. Nie czuła się zbyt komfortowo w tym miejscu. Tym bardziej, że jej regularne wizyty w kościele należały do przeszłości. Gdyby ktoś nazwał ją starą dewotką zwyczajnie by się pomylił.

– A szczęść Boże – odpowiedział ksiądz, odwzajemniając uśmiech. – W czym mogę pani pomóc? – dodał po chwili, wyczuwając jej zakłopotanie.

– Potrzebuję akt swojego chrztu.

– W takim razie zapraszam do środka – odrzekł, otwierając szerzej drzwi. Weszli do niewielkiej kancelarii.

– Pani to chyba nie jest naszą parafianką – bardziej stwierdził, niż zapytał, wskazując jedno z krzeseł.

– A to widać?

– Wie pani, ja znam prawie wszystkie swoje owieczki. Mówię oczywiście o tych, które uczęszczają do kościoła.

– Ma ksiądz rację, nie mieszkam w Prabutach, ale tutaj zostałam ochrzczona.

– Nie wypominając wieku, musiało to być jakiś czas temu.

– W 1945 roku we wrześniu – potwierdziła Rozalia. Miała nadzieję, że duchowny nie będzie dopytywał, po co jej dokument.

– To rzeczywiście trochę czasu minęło – przyznał, wstając od stołu. Przeprósł, mówiąc, że zaraz wróci i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Zajął mu to nie kilka, lecz kilkanaście minut. Kiedy wrócił, niósł grubą księgę oprawioną w brązową, popękaną już tu i ówdzie skórę.

– Udało się znaleźć – zakomunikował z dumą i usiadł naprzeciw Rozalii.

– Mogę prosić o pani nazwisko?

– Rozalia Pawlak, to znaczy Śliwińska, bo Pawlak to po mężu – sprostowała, patrząc, jak ksiądz przerzuca poźółkle kartki.

– Jest Rozalia Śliwińska, ochrzczona 3 września 1945 roku przez księdza Czesława Klimuszkę – przeczytał duchowny. Następnie z szuflady biurka wyciągnął odpowiedni formularz i zaczął go wypełniać.

– Coś ostatnio sporo osób z tego właśnie okresu prosi o odpisy – napomknął, wypisując dokument. – Mam nadzieję, że pani nie należy do tych, którzy uważają się za dzieci ojca Klimuszki i próbują przepowiadać przyszłość?

– Nie, proszę księdza, na przepowiadanie przyszłości to ja już jestem trochę za stara. Mogę co najwyżej opowiedzieć przeszłość – skłamała Rozalia. Jednak po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że w tym, co powiedziała, raczej nie było kłamstwa. Ona nie przewidywała przyszłości. Ona miewała tylko trudne do wyjaśnienia sny.

– A o co chodzi z tymi dziećmi Klimuszki? – zapytała niby od niechcienia, mocno licząc na gadatliwość księdza.

– Co, zaciekawilem panią – zauważył tak, jakby właśnie takiej reakcji się spodziewał.

– Gdyby tak nie było, to bym nie pytała.

– No rzeczywiście – przyznał, wręczając Rozalii wypełniony dokument. Rozalia sądziła, że natychmiast zacznie opowieść, ale duchowny nad czymś się zamyślił i dopiero po chwili przypomniał sobie o jej obecności.

– A tak miałem pani opowiedzieć o dzieciach ojca Klimuszki – rozparł się wygodnie na krześle, jakby historia, którą właśnie miał zamiar opowiedzieć,

wymagała sporo czasu.

– Ojciec Czesław Klimuszko urodził się w 1905 roku i już jako dziecko przejawiał zainteresowanie ziołami.

Po samym wstępie Rozalia wiedziała, że nim duchowny dojdzie do sedna, minie sporo czasu. Na szczęście nie musiała się nigdzie śpieszyć. Powrotny pociąg miała dopiero za kilka godzin. Opowiadanie całego życia niezwykle zakonnika zajęło księdzu ponad godzinę. Rozalia nie koncentrowała się specjalnie na tej części historii. Materiałów na temat zdolności ojca Klimuszki było sporo. Dopiero kiedy ksiądz przeszedł do sedna, skupiła na nim uwagę.

– W kilka lat po śmierci ojca Czesława zaczęły do Prabut zjeżdżać różne osoby twierdzące, że posiadają zdolności podobne do tych, jakie przypisywano Klimuszce. To było jeszcze za czasów mojego poprzednika. Kiedy obejmowałem parafię i powiedziano mi o tym, uznałem to za jakiś żart, ale kilka tygodni później zjawiała się pewna kobieta przeświadczona o zdolnościach przepowiadania losów osób zaginionych na podstawie ich fotografii. Tej kobiecie towarzyszyła telewizja. Ja odmówiłem udziału w nagraniu, ale kilku mieszkańców chętnie się wypowiadało. Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem określenie „dzieci ojca Klimuszki”. Ktoś sobie wymyślił, że chrzcząc dzieci, ojciec Klimuszko niektórym z nich przekazał swoje zdolności. Owszem, medialnie bajeczka świetnie się sprzedaje, ale z rzeczywistością ma niewiele wspólnego – zakończył ksiądz, spoglądając na zegarek. Dla Rozalii był to aż nazbyt wymowny gest. Podziękowała za odpis chrztu, pożegnała się i opuściła plebanię. Do odjazdu pociągu wciąż pozostawało sporo czasu. Uznała więc, że spacer po miasteczku dobrze jej zrobi. Od opuszczenia Prabut w 1946 roku odwiedzała miasteczko jedynie raz w roku. Matka opowiadała, że w Prabutach mieszkali niedaleko spalonej katedry. Rozalia pamiętała z tych jednodniowych wizyt wyłącznie cmentarz. Teraz postanowiła zobaczyć coś więcej. Na rozległym rynku szumiała fontanna. Z tego, co Rozalia pamiętała, to chyba przywieziona z Berlina jeszcze przed wojną. Spróbowała znaleźć jakiś lokal, w którym mogłaby wypić kawę lub herbatę, ale niczego takiego nie było. Wracając na dworzec, oceniła Prabuty jako senne prowincjonalne miasteczko, żyjące nieśpiesznym rytmem, tak odmiennym od pulsu trójmiejskiej metropolii. W księgarni niedaleko kościoła kupiła kilka pocztówek oraz powieść miejscowego pisarza

pod tytułem „Dom w Chmurach”. Po dotarciu na dworzec okazało się, że pociąg ma pół godziny spóźnienia. Rozalia usiadła na ławce i wystawiła twarz do lipcowego słońca. Zastanawiała się, czy wizyta w tym miejscu dała jej odpowiedź na podstawowe pytanie, z jakim tu jechała i doszła do wniosku, że nie. Fakt, że otrzymała chrzest z rąk zakonnika-wizjonera, to jeszcze nie dowód, że przekazał jej swoje zdolności. A jednak jej sny nie należały do normalnych i tego była absolutnie pewna. Kiedy w końcu pociąg nadjechał i wsiadła do niego, z ulgą zajęła miejsce przy oknie i pogrążyła się w lekturze. Sama nie wiedziała, jak długo czytała. Z pewnością dwa rozdziały miała już za sobą, gdy ze zdziwieniem stwierdziła, że w przedziale panuje dziwne poruszenie. Z rozmów, jakie wyłapała wywnioskowała, że pociąg zatrzymał się w szczerym polu i stoi tak od ponad pół godziny. Choć sama nie musiała nigdzie się śpieszyć, to rozumiała ludzi, których takie opóźnienie irytowało.

– Przepraszam, gdzie teraz jesteśmy? – zagadnęła młodego mężczyznę czytającego gazetę.

– Gdzieś przed Pruszczem Gdańskim – odpowiedział, wracając do lektury. Rozalia też miała zamiar to uczynić, kiedy jakiś szczegół za oknem przykuł jej uwagę. W pierwszej chwili myślała, że to zwyczajne przewidzenie, figiel spleatany przez wyobraźnię. Zamrugowała powiekami, ale bez rezultatu. To coś wciąż tam było. Z niedowierzaniem patrzyła na polną drogę znikającą w pobliskim lesie obok której ustawiono kilka drewnianych ławek i znak zakazu wjazdu. O żadnej pomyłce nie mogło być mowy. To było to miejsce, miejsce z jej koszmarnego snu, miejsce, gdzie ktoś zakopał ciało Klementyny Wiertnickiej.

ROZDZIAŁ 23

Lekkie pukanie do drzwi przerwało Karolowi Grzybowskiemu lekturę ostatniej z umów, jakie tego ranka trafiły na jego biurko. Spojrzał na zegarek, dochodziła trzynasta. Do przerwy na lunch brakowało jeszcze pół godziny. Jediną osobą, która mogła pukać, była pani Jagoda. Ale przecież asystentka znała jego zwyczaje i wiedziała, że do trzynastej trzydzieści nie powinno się mu przeszkadzać. Jeśli jakaś sprawa wymagała interwencji z jego strony, asystentka zawsze dzwoniła. Skoro teraz postanowiła zapukać, to musiała mieć ku temu naprawdę ważny powód. Grzybowski ostatni raz spojrzął na umowę. Dokument nie wymagał właściwie żadnych poprawek czy uwag, wyszedł przecież spod ręki Joanny Kurskiej, jednej z najlepszych prawniczek w firmie. Wcale nie zdziwiłby się, gdyby za kilka lat Joanna zajęła jego miejsce. Co więcej, uważał, że to byłby doskonały wybór. Pukanie powtórzyło się.

– Tak, proszę – powiedział, podnosząc głowę. W uchylonych drzwiach zobaczył swoją asystentkę. Wyraz twarzy kobiety wskazywał, że zdarzyło się coś dziwnego.

– Panie prezesie, jacyś państwo z policji do pana – oznajmiła. Grzybowski poczuł powiew mroźnego powietrza. Tak jakby temperatura w biurze spadła o kilkanaście stopni.

– Policja, do mnie? – zapytał, ale tylko po to, by zyskać na czasie. Liczył się z tym, że prędzej czy później do niego przyjdą, ale nie spodziewał się, że tak szybko.

– Tak, podobno chodzi o jakąś próbę włamania do pana samochodu – dodała asystentka. Teraz Grzybowski był autentycznie zaskoczony. Zdarzenie, o którym mówiła pani Jagoda miało miejsce ponad pół roku temu, i z tego, co powiedziano mu na komisariacie, sprawa została zamknięta. Co więcej, firma ubezpieczeniowa pokryła koszty naprawy uszkodzonego zamka, więc odgrzebywanie tamtej sprawy z jego punktu widzenia nie miało najmniejszego

sensu. No chyba że chodziło o próbę wyłudzenia odszkodowania. Przecież sam jako prezes jednej z wiodących firm na rynku ubezpieczeniowym wiedział, że skala oszustw ubezpieczeniowych z roku na rok rosła, a tylko ujawnione oszustwa szacowano na dziesiątki milionów złotych. Ile było tych udanych przekrętów, tego nikt nie wiedział.

– Dobrze, proszę ich wpuścić – polecił, chowając do teczki umowę. Wstał zza biurka i wyszedł naprzeciw dwójce policjantów ubranych po cywilnemu.

– Komisarz Janusz Woronko i aspirant Katarzyna Solińska z Komendy Miejskiej – powiedział mężczyzna, pokazując legitymację służbową. Kobieta uczyniła to samo.

– Czy pan Karol Grzybowski? – spytał policjant, chowając legitymację.

– Tak, to ja – potwierdził mężczyzna, czując krople potu spływającą po karku i znikającą pod kołnierzykiem białej koszuli.

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań – oświadczyła policjantka, baczenie mu się przyglądając. Grzybowski miał nadzieję, że nie zauważyła jego zdenerwowania.

– Rozumiem, że chodzi o to włamanie do mojego samochodu sprzed pół roku?

– Również – odpowiedziała spokojnie policjantka.

„Czyli sprawa z samochodem to jedynie swego rodzaju zasłona dymna” – pomyślał Grzybowski zapraszając policjantów do stołu.

– Może państwo się czegoś napiją?

– Nie, dziękujemy, zajmiemy panu dosłownie kilka minut – odmówił policjant, siadając na krześle pod ścianą.

– Dobrze, w takim razie jak mogę państwu pomóc? – spytał Grzybowski, siadając naprzeciw policjantki. Kobieta miała około trzydziestki, łagodne rysy twarzy, duże zielone oczy i blond włosy sięgające lekko za ramiona. Szczupła sylwetka zdradzała, że sporo czasu musiała spędzać na siłowni.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie możliwości wyłudzenia z firmy ubezpieczeniowej odszkodowania – zaczęła policjantka, wyjmując z torby papierową teczkę.

– Oczywiście, to nie pan jest podejrzewany, tylko warsztat, w którym naprawiano pańskie auto – dodała uspokajająco.

– Zdążyłem się domyślić. Ale wciąż nie wiem, jak mogę państwu pomóc.

– Według naszych ustaleń sposób działania oszustów polegał na fałszowaniu dokumentacji. Klient zgłaszał szkodę, odstawiał samochód do warsztatu, gdy go odbierał po naprawie, podpisywał kosztorys i dla niego sprawa była zamknięta. Wtedy właśnie oszuści fałszowali wycenę szkody i podrabiając podpis poszkodowanego wysyłali ją do firmy ubezpieczeniowej.

Technikę, o której mówiła policjantka, Grzybowski znał doskonale, choć wiedział, że nie jest to jedyny sposób, w jaki można było wyłudzić odszkodowanie. Najbardziej popularną, ale na szczęście też najłatwiejszą do wykrycia, była metoda na stłuczkę. Sposób opisany przez policjantkę z racji tego, że stosowały go warsztaty, niezwykle trudno było udowodnić. Poza fałszowaniem kosztorysu bardzo często nieuczciwy mechanicy dopisywali do faktury wymianę podzespołów, której faktycznie nie wykonali.

– Rozumiem, że interesuje państwa informacja, jaki kosztorys mi przedstawiono?

Policjantka przytaknęła.

– Proszę poczekać, wszystkie skany dokumentów mam w laptopie, zaraz je odszukam – oznajmił Grzybowski, podchodząc do biurka. Odnalazł odpowiednie skany, wydrukował i podał policjantce. Ta zabrała dokumenty, podziękowała i wstała.

– A mam jeszcze do pana jedno pytanie niezwiązane z tą sprawą – powiedziała, jakby właśnie sobie o nim przypomniwała.

– Tak, słucham – słowa z trudem przechodziły Grzybowskiemu przez gardło.

– Komisarz Woronko prowadzi sprawę zaginięcia pewnej młodej dziewczyny. Na jej telefonie komórkowym znajdowało się nieodebrane połączenie wykonane z pańskiego numeru.

– Z mojego numeru? – udał zaskoczenie Grzybowski, mając nadzieję, że wypadło ono autentycznie. Beształ się w duchu za głupotę. Wykonanie telefonu po tym, jak zobaczył jej zdjęcie w gazecie, było błędem i to takim, który mógł go sporo kosztować.

– To chyba pana numer? – spytał policjant, odczytując z kartki dziewięć cyfr.

– No tak – przyznał Grzybowski, wciąż udając zdziwionego. – Ale ja codziennie wykonuję kilkadziesiąt rozmów, może tym razem zwyczajnie błędnie

wybrałem numer?

– To całkiem możliwe – przyznała policjantka, ale proszę spojrzeć na zdjęcie. Może jednak gdzieś spotkał pan tę dziewczynę?

Grzybowski sięgnął po fotografię. Starał się, aby jego ruchy były swobodne. Trzymał w dłoni to samo zdjęcie, jakie widział w kilku gazetach. Spojrzał na młodą, piękną dziewczynę, o której jeszcze do niedawna wiedział tylko tyle, że ma na imię Klementyna. To dzięki komunikatom prasowym poznał jej nazwisko i wiek. Zmarszczył brwi, usiłując przybrać pozę kogoś, kto właśnie się nad czymś zastanawia.

– Wydaje mi się, że gdzieś już widziałem to zdjęcie – powiedział, uznając, że czas poświęcony na jego obejrzenie nie był ani za długi, ani za krótki.

– O, już wiem – zawołał, pstrykając palcami w powietrzu. Odłożył trzymaną fotografię na stół i podszedł do małego stolika pod oknem. Wrócił z gazetą i otworzył ją na trzeciej stronie.

– Dlatego to zdjęcie wydało mi się znajome – oświadczył pukając palcem wskazującym w identyczną fotografię ilustrującą artykuł o zaginięciu Klementyny Wiertnickiej.

– Wierzysz mi? – spytał Woronko, kiedy opuścili biurowiec, w którym urzędował Grzybowski.

– Czy ja wiem. Zdjęcie owszem mógł zobaczyć w gazecie i w tym nie ma niczego dziwnego. Ale fakt, że zadzwonił na numer telefonu znalezionej w kawalerce, moim zdaniem, nie jest przypadkowy.

– Jakież hipotezy? – rzucił komisarz, zapalając papierosa.

– Tak na szybko, to przychodzi mi do głowy tylko jedna. Grzybowski zna się z Wiertnicką. Jak się poznali, kiedy i jakiego rodzaju jest to relacja, tego nie wiem. Powiedzmy, że Grzybowski kupuje gazetę i widzi w niej zdjęcie Wiertnickiej. Zaniepokojony telefonuje, ale ona nie odbiera.

– Dobrze, Kaśka, kombinujesz. Tylko jeśli tak właśnie było, to dlaczego zaprzeczył, że ją zna?

– To trzeba będzie ustalić – stwierdziła Solińska, zatrzymując się przy swoim samochodzie. Poczekala, aż Woronko dopali papierosa i dopiero wtedy otworzyła drzwi. Jechali w milczeniu. Dopiero, kiedy zaparkowali niedaleko komendy, Woronko zapytał:

– Co sądzisz o rewelacjach pani Zofii?

Solińska tak bardzo była zaabsorbowana odkryciem, że z numeru Grzybowskiego dzwoniło na telefon znaleziony w kawalerce, że zupełnie zapomniała o porannej rozmowie ze starszą panią.

– Uważam, że raczej nie zmyślała – odpowiedziała policjantka, wyłączając silnik. Komisarz już chciał powiedzieć: „w przeciwieństwie do Rozalii Pawlak”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– W tym, co powiedziała o Wiertnickiej, nie pasuje mi tylko jeden szczegół – dodała Solińska po chwili namysłu. Woronko spojrzał z zaciekawionym.

– Z tego co mówiła pani Zofia wynika, że Wiertnicka udzielała w tej kawalerce korepetycji.

– A co w tym dziwnego. Moim zdaniem dobre miejsce – wpadł jej w słowo komisarz.

– Rzecz w tym, że w tej kawalerce nie było żadnego biurka czy nawet stołu – dokończyła Solińska.

ROZDZIAŁ 24

Mina Koniecznego mówiła sama za siebie. Mimo to Solińska postanowiła nie dać za wygraną. Przecież zlecenie, z jakim przyszła, nie zajmie mu więcej niż godzinę.

– Kaśka, wiesz, ile ja mam teraz na głowie? Sam nie wiem, w co ręce włożyć, a ty mi tu jeszcze jakieś dziwne zlecenia wciskasz – narzekał technik.

– Artur, przecież moje zlecenie to dla kogoś, tak zdolnego jak ty, to bułka z masłem.

– Kaśka, ty mnie pod włos nie bierz, bo twoje komplementy może i działają, ale na Woronkę, mnie nimi nie kupisz – oznajmił technik, posyłając jej cierpki uśmiech.

– To może któryś z praktykantów? – zasugerowała, licząc, że to rozwiązanie będzie dla Koniecznego akceptowalne. Technik zastanawiał się dłuższą chwilę. Jeszcze raz przeczytał zlecenie i westchnął z rezygnacją.

– Dobra, dam to któremuś młodzikowi, ale wyniki będą dopiero na jutro.

– Wielkie dzięki, masz u mnie kawę.

– Jeśli dobrze potrafię liczyć, to już osiemnasta kawa – rzucił Konieczny za wychodzącą Solińską. Ponownie zerknął na zlecenie. Aspirant miała rację, było proste jak bułka z masłem. Porównanie danych daktyloskopijnych, jeśli miało się materiał porównawczy, nie nastroczało problemów nawet początkującym technikom. Zabrał materiały i przeszedł do następnego pomieszczenia.

– Konrad, będziesz miał okazję się wykazać – rzucił Konieczny do niskiego ostrzyżonego na Pazdana trzydziestolatka siedzącego przy biurku pod ścianą.

– Szeffie, znowu ja? – jęknął wywołany i niechętnie podszedł do przełożonego.

– Słuchaj młody, to zlecenie jest od aspirant Solińskiej i temu kto zrobi je na jutro, obiecała kawę – powiedział Konieczny. Jak na komendę pozostali dwaj technicy zagwizdali.

– Szefie, nawet gdybym uwinął się z tym na dzisiaj, to tę kawę zobaczę jak świnia niebo – odpowiedział Konrad, zabierając materiały i kierując się do swojego biurka.

Wracając do swojego gabinetu, Solińska była dumna z pomysłu, jaki wpadł jej do głowy podczas spotkania z Grzybowskiem. Oczywiście, komisarza nie wtajemniczyła w swoją małą, niewinną intrygę. Za dobrze go znała i wiedziała, że zaczęłyby głądzić o procedurach, formalnościach i wszystkich tych przepisach utrudniających im wykonywanie obowiązków. Nawet nie sądziła, że wszystko pójdzie tak łatwo. Odciski palców, jakie Grzybowski zostawił na zdjęciu, z pewnością były doskonałym materiałem. Teraz należało tylko poczekać aż technicy porównają je z tymi, jakie znaleźli w kawalerce. Jeśli któreś z nich będą pasowały to będzie dowód, że Karol Grzybowski zna Klementynę Wiertnicką, tylko z jakiejś przyczyny temu zaprzeczył. Póki co Solińska wołała nie wymyślać powodów, dla których tak właśnie zrobił. Mogło być ich przynajmniej kilka, od romansu zaczynając, na długach kończąc. Gdy tylko przekroczyła próg biura, zamurowało ją. Na krześle siedziała Barbara Skowrońska, współlokatorka zaginionej. Solińska nie przypominała sobie, aby wzywała Skowrońską. Woronko też o tym nie wspominał. Pozostawało ostatnie wyjaśnienie – dziewczyna przyszła z własnej woli.

– O dobrze, że już jesteś – ucieszył się Woronko. Jego zazwyczaj poważny, choć wielu wołało określenie wyniosły wyraz twarzy zdobił teraz ledwie dostrzegalny uśmiech. Solińska знаła go aż za dobrze. Widziała go na tyle często, by wiedzieć, co oznacza.

„Czyli mamy przełom w sprawie” – pomyślała zamykając drzwi.

– Pojawiły się okoliczności, które rzucają nowe światło na zasadniczą kwestię, jaką jest zaginięcie Klementyny Wiertnickiej – oświadczył komisarz, spoglądając wymownie na Skowrońską.

– Pani Barbaro, proszę powtórzyć to, co przed chwilą mi pani powiedziała.

Dziewczyna odchrząknęła i dopiero wtedy zaczęła mówić.

– Wczoraj, późnym wieczorem dostałam od Klementyny SMS. Pisała, że musiała na jakiś czas zniknąć. Prosiła, abym zawiadomiła policję, że z nią wszystko w porządku. Poprosiła również, abym spakowała wszystkie jej rzeczy. Ma ktoś po nie przyjechać.

– Rozumiem, że nie skasowała pani tej wiadomości?

– Nie skasowała. Przed chwilą ją widziałem, a nawet zrobiłem jej zdjęcie – odpowiedział Woronko.

Sprawa była więc jasna, przynajmniej jeśli chodzi o zaginięcie Wiertnickiej.

„Co prawda, pozostałe kwestie nie zostały wyjaśnione, ale w tej chwili nie miały już one większego znaczenia” – uznała Solińska.

– W takim razie bardzo dziękujemy, że zjawiała się pani i poinformowała o tym SMS-ie – powiedział komisarz.

Dziewczyna słusznie odczytała jego słowa. Wstała i podeszła do drzwi.

– Pani Barbaro, mam jeszcze tylko jedno pytanie – zatrzymała ją Solińska. Skowrońska odwróciła głowę w jej kierunku.

– Czy Klementyna udzielała korepetycji?

– Korepetycji? – zdziwiła się współlokatorka.

– Tak, korepetycji – potwierdziła Solińska.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Z tego, co wiem, pracowała tylko na tej infolinii – odpowiedziała dziewczyna.

ROZDZIAŁ 25

Widok miejsca, o którym śniła zaledwie dwa dni wcześniej, wstrząsnął Rozalią Pawlak bardziej, niż się tego spodziewała. W pewnym momencie nawet siedzący obok mężczyzna, którego wcześniej pytała o stację, zagadnął, czy nic jej nie jest. Odpowiedziała, że wszystko w porządku, i na powrót otworzyła książkę, próbując czytać. Ale oczy same wędrowały za okno pociągu, choć nie było już tam tego miejsca. Zamiast lasu, drogi i drewnianych ławek widziała pierwsze zabudowania Gdańska. Jednorodzinne domy ustąpiły miejsca nowym osiedlom, a gdy w końcu pociąg wjechał na dworzec, mieli ponad godzinę spóźnienia. W drodze do domu Rozalia zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Pójście na policję odrzuciła już na samym początku. Skoro wtedy jej nie uwierzyli, to teraz tym bardziej tego nie zrobią, a na wystawienie się na kolejne pośmiewisko nie miała ani siły, ani odwagi, a tym bardziej ochoty. Uważała, że coś jednak musi w tej sprawie zrobić. Nie może tak po prostu tego zostawić, zapomnieć i żyć tak, jakby nic się nie stało. Owszem mogła nie dawać wiary we wszystkie te dziwactwa o dzieciach zakonnika, ale fakty świadczyły na korzyść tych nedorzeczności. Śniła o tym, jak ktoś zakopuje ciało młodej dziewczyny, następnie jej zdjęcie widzi w gazecie. W kolejnym śnie jest w tym miejscu, strasznym miejscu. Choć kiedy przed niespełna dwiema godzinami widziała je z okna stojącego pociągu, nie robiło upiornego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Drewniane ławki i wiata zachęcały do wypoczynku. Kto wie, może w weekendy rodziny z małymi dziećmi organizowały tam pikniki, nieświadome tego, że kilkadziesiąt metrów dalej pod warstwą mokrej brązowej ziemi spoczywa piękna martwa dziewczyna. Dziewczyna, która miała przed sobą całe życie pełne marzeń i planów. Dziewczyna, która być może kochała i była kochana. Jej ciało kiedyś pełne życia, urody i radości teraz niczego już nie czuło, a z każdym dniem bezlitosna natura czyniła z niego to, co prędzej czy później czekało każdą żywą istotę.

„Tylko dlatego w tym przypadku prędzej i w taki sposób” – pomyślała Rozalia. Od zawsze uważała, że śmierć to najczystsza odmiana uczciwości. Nie działały na nią groźby, prośby, a nawet łapówki. Czasami medycyna potrafiła ją przechytrzyć, ale tylko do czasu. Jednak co innego wypadek, choroba czy samobójstwo, a co innego odebranie komuś innemu życia. Tego ostatniego Rozalia nigdy nie akceptowała. Ledwie zdążyła zamknąć drzwi od mieszkania, kiedy rozdzwonił się jej telefon. Co prawda, miała zamiar zaparzyć sobie herbatę i coś zjeść jednak obiecała Bożenie, że zadzwoni do niej zaraz po powrocie.

– Cześć, Bożena, przepraszam, że nie dzwoniłam, ale dopiero weszłam do mieszkania, pociąg miał ponad godzinę spóźnienia.

– No to pewnie zmęczona jesteś?

– Nie da się ukryć. Niby te Prabuty tak niedaleko od Gdańska, a cały dzień zmarnowany – westchnęła Rozalia, zrzucając sandały i opadając na fotel.

– Dobra, w takim razie nie przeszkadzam. Jak wypoczniesz to do mnie zadzwoń – poprosiła Bożena. Rozalia miała już odpowiedzieć, że na pewno zadzwoni, ale przyjaciółka wpadła jej w słowo.

– Wiesz co, Rozalka, mam lepszy pomysł wpadnę do ciebie około dwudziestej, to wszystko mi osobiście opowiesz – oznajmiła Bożena. – Dwudziesta może być? – upewniła się przyjaciółka.

Rozalia najchętniej by odmówiła. Z jej punktu widzenia to wcale nie był dobry pomysł. Spędziła cały dzień poza domem. Była zmęczona, miała ochotę odpocząć. Perspektywa godzinnej czy nawet dłuższej rozmowy telefonicznej z Bożeną zdawała się luksusem w porównaniu z wizytą przyjaciółki, która potrwa co najmniej dwie godziny.

– Dobrze, niech będzie dwudziesta – odpowiedziała zrezygnowanym głosem, który Bożena uznała za zmęczony i zakończyła połączenie. Siedząc na zadaszonym balkonie, Rozalia obserwowała przechodniów uciekających przed nagłą ulewą. Ciężkie krople chłostały bezlitośnie wszystko, co spotkały na swojej drodze. Nadzieja, że nawałnica przeszkodzi, albo odwiedzie Bożenę od złożenia jej wizyty, okazała się płonna. Przyjaciółka wysiadła z taksówki, rozłożyła duży różowy parasol i pokonując porywiste podmuchy wiatru, ruszyła do bloku.

– Ale się rozpadało – rzuciła, zdejmując w przedpokoju przemoczone sandały. Rozalia odebrała ociekający parasol i zaniósła go do wanny.

– Czego się napijesz – spytała, wychodząc z łazienki.

– Najchętniej tej zielonej herbaty z mandarynką i winogronami – poprosiła Bożena, wchodząc za Rozalią do kuchni i siadając przy stole.

– Opowiadaj, czego się w tych Prabutach dowiedziałas, bo normalnie umieram z ciekawości – nalegała Bożena tak, jakby od tego, co usłyszy, zależało jej życie.

Rozalia doskonale wiedziała, z jaką determinacją przyjaciółka potrafiła dążyć do zaspokojenia swojej ciekawości. Czasami ciekawość Gorceżyńskiej ocierała się niemal o wścibstwo, choć ona sama nawet tego nie zauważała. To była kolejna cecha charakteru, która je różniła. Rozalii zupełnie nie interesowało, co robią jej sąsiedzi, kto do nich przychodzi. Znała ich tylko z widzenia, odpowiadała „dzień dobry” i to zamykało jej sąsiedzkie kontakty towarzyskie. Nie bez znaczenia był fakt, że poza nią w bloku mieszkali dość młodzi ludzie, więc nawet znalezienie wspólnego języka stanowiło pewnego rodzaju problem.

– Spokojnie, Bożena, najpierw zaparzę herbatę, a później wszystko ci opowiem, przecież się nie pali – odpowiedziała, wyjmując z szafki imbryk i dwie porcelanowe filiżanki. Prowadzenie rozmowy i jednocześnie wykonywanie innych czynności, nawet jeśli było to tylko parzenie herbaty, Rozalia uważała za mało kulturalne. Dlatego na jej terytorium miały obowiązywać zasady, które sama ustaliła. Najpierw gorąca herbata, później rozmowa. Poza domem to ona dopasowywała się do innych. Odwiedzając czasami córkę, nie dziwiło jej, że podczas rozmowy potrafiła ona obierać ziemniaki na obiad, czy nawet rozbić mięso na kotlety. Choć w ostatnim przypadku prowadzenie rozmowy z przyczyn obiektywnych nie było możliwe. Między innymi, a może głównie z tego powodu, wolała spotkania w kawiarni czy restauracji. W takich miejscach można było oddać się rozmowie, na którą nie zazębiały się inne czynności. Po kwadransie herbata była gotowa. Rozalia przeniosła na stół tacę z imbrykiem, filiżankami i talerzem ciastek kokosowych, które kupiła w cukierni niedaleko dworca. Następnie usiadła naprzeciw Bożeny i wszystko jej opowiedziała. Zrelacjonowanie całego dnia zajęło jej tyle, co przygotowanie herbaty. Wyras twarży przyjaciółki wyrażał niedosyt. Rozalia miała świadomość, że gdyby to Bożena opowiadała opowieść, wyglądałaby zupełnie inaczej. Ona przekazała Bożenie suche fakty. Pojechałam do Prabut, spotkałam się z księdzem,

potwierdziłam, że chrzest otrzymałam z rąk ojca Klimuszki. Później zwiedziłam miasteczko, a w drodze powrotnej zobaczyłam miejsce ze swego snu. Jednak gdyby te same wydarzenia relacjonowała przyjaciółka, byłyby one o niebo barwniejsze. Bożena należała do tych ludzi, którym koloryzowanie rzeczywistości przychodziło z naturalną łatwością i wcale nie chodziło o to, że tę rzeczywistość zakłamywała. Ona po prostu dodawała jej jaskrawości. Ileż to razy Rozalia słyszała opowieści przyjaciółki, których tematem były dość banalne sprawy jak wyjście do sklepu czy wizyta u lekarza. Jednak język i sposób, w jaki Gorceżyńska o nich opowiadała, mógł konkurować z niejedną książką. Kiedyś nawet Rozalia zagadnęła Bożenę, dlaczego nie wykorzysta swojej wyobraźni do napisania jakiejś powieści, ale tamta odparła, że nie ma zamiaru marnować czasu na tak nudne zajęcia, jakim jest pisanie książek.

– I co teraz zrobisz?

Pytanie, jakie zadała przyjaciółka, Rozalia zadawała sobie mniej więcej co kilkanaście minut, ale jak dotąd nie znalazła żadnego mądrego rozwiązania.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Myślałaś o ponownym zgłoszeniu się na policję?

– Tak, ale oni nie potraktują mnie poważnie.

– To w takim razie może media, radio, prasa, telewizja?

Sugestia Bożeny wywołała na twarzy Rozalii grymas zniesmaczenia.

„To chyba jeszcze gorszy pomysł niż policja” – pomyślała Rozalia, przypominając sobie sytuację sprzed kilku lat, kiedy jeszcze razem z mężem mieszkała w ich starym mieszkaniu. Teraz z pewną nostalgią wspominała tamte czasy. W kamienicy prawie wszyscy się znali, byli w podobnym wieku, a co najważniejsze – potrafili wspólnie działać. Kiedy więc pobliski skwer miał zostać zamieniony na parking jak jeden mąż stanęli w jego obronie. Gdy ich protesty nie przynosiły skutku, poprosili o pomoc media. Kilku dziennikarzy odpowiedziało na ich apel, w prasie pojawiły się artykuły w jednej z prywatnych telewizji reportaży. Niestety nawet to nic nie pomogło. Skwer przerobiono na parking, a w kilka tygodni później w tej samej gazecie, która podzielała ich protest, ukazał się artykuł przedstawiający ich jako grupę staruszków sprzeciwiających się rozwojowi miasta. Rozalia obawiała się, że w jej przypadku ingerencja mediów jej samej przyniesie tylko szkody.

– Nie, Bożena, media to głupi pomysł – powtórzyła.

– W takim razie pozostaje policja, ale tym razem musisz im dać coś więcej niż tylko opowieść, że tam i tam jest zakopane ciało poszukiwanej dziewczyny – stwierdziła przyjaciółka.

– To co według ciebie mam zrobić? Pojechać tam, odkopać zwłoki, zapakować do samochodu, zawieźć na policję i powiedzieć. Proszę bardzo, oto poszukiwana Klementyna Wiertnicka!

– A wiesz, że to nie głupi pomysł – podchwyciła Bożena, głęboko się nad czymś zastanawiając.

Rozalia miała odmienne zdanie na ten temat. Pomysł z wykopywaniem ciała rzuciła tak sobie, aby uświadomić przyjaciółce, jak mało ona sama może w tej sprawie zrobić. Najbardziej bolała ją świadomość, że jedynie dwie osoby wiedzą co stało się z zaginioną. Pierwszą był ten, kto ją zabił, a drugą była ona.

– Myślę, Rozalka, że to bardzo dobry pomysł – powtórzyła przyjaciółka. – Może prócz tego transportowania ciała na policję. Uważam, że powinniśmy tam pojechać, odnaleźć ciało, lekko je odkopać i wtedy zgłosić na policję znalezienie zwłok. Takim zgłoszeniem będą musieli się zająć.

Plan, jaki przedstawiła Bożena, mimo że mniej spektakularny od pierwowzoru, wciąż budził w Rozalii wątpliwości. Przecież policja, widząc ślady rozkopywania od razu zorientuje się, że to nie było przypadkowe znalezisko.

– No nadal nie wiem, czy to dobry pomysł – westchnęła Rozalia. Jedno spojrzenie na twarz przyjaciółki uzmysłowiło jej, że Bożena już podjęła decyzję. – A jak wyobrażasz sobie to w praktyce?

– Zwyczajnie, na działce mam szpadle, zabierzemy je, pojedziemy na to miejsce z twojego snu, odkopimy zwłoki, ale tylko na tyle, by było widać jakiś ich fragment. Następnie zadzwonimy na policję i powiemy, że podczas spaceru po lesie mój pies znalazł jakiegoś trupa – odparła Gorczyńska beznamiętnym tonem, jakby chodziło o posadzenie kilku drzewek owocowych, a nie wykopywanie ciała.

– Twoim zdaniem uwierzą, że jamnik mógł dokopać się do czegoś takiego? – pytanie Rozalii wywołało lekki uśmiech na twarzy przyjaciółki.

– No jasne, że nie uwierzą. Gdyby tak się stało, to znaczyłoby, że w naszej policji pracują idioci. Jednak ich wiara nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia.

Będą liczyły się tylko fakty, a ciało martwej dziewczyny, to fakt nie do podważenia – oświadczyła Bożena.

– To kiedy jedziemy? – spytała Rozalia, spoglądając na zegarek. Minęła właśnie dziewiąta i choć wiatr przegonił burzowe chmury i na dworze nadal było dość jasno, wołała dzisiejszego dnia już nie opuszczać domu.

– Jutro, będę po ciebie około dziewiątej – zarządziła Bożena, dopijając zimną już herbatę.

ROZDZIAŁ 26

„To nie był udany dzień” – przyznał w myślach Karol Grzybowski, kiedy kilka minut po osiemnastej przekroczył próg domu. Zastanawiał się nawet, czy nie jeden z tych najgorszych, jakie przeżył. Po chwili namysłu uznał jednak, że bywały znacznie gorsze. Najpierw rozmowa z kierownikiem działu umów międzynarodowych, który poinformował o zamiarze odejścia z pracy. Decyzja Adama Kochanowskiego wydała się Grzybowskiemu dziwna. Teraz, kiedy minęły zaledwie dwa lata od początku kolejnego wielkiego kryzysu, ludzie szukali raczej stabilizacji. Umowa o pracę, kilka pozafinansowych bonusów, jak prywatna opieka zdrowotna, karnet na basen, do siłowni czy nawet dopłaty do wyjazdów turystycznych kusily. Firmy takie wydatki wrzucały w koszty, prywatne kliniki, aquaparki i kluby fitness miały klientów i tak to się kręciło. Nawet jeśli bonusy nie dawały poczucia wyższości, to pozwalały czuć się wyjątkowo. Jednak dla Adama na pierwszym miejscu była kariera zawodowa. U nich na więcej nie mógł liczyć i nie była to kwestia kompetencji, ale układów i zależności. Grzybowski z zalem żegnał jednego z lepszych pracowników, ale nie zamierzał zatrzymywać go za wszelką cenę. Takie praktyki mogły mieć zgubny wpływ na morale pozostałych menadżerów. Plan awaryjny na taką sytuację roboczo nazywano „kij i marchewa”. W wielkim skrócie polegał na awansowaniu najbardziej zdolnego pracownika na zwolnione miejsce, co było „marchewą” i dorzucenie mu obowiązków, czyli „kij”. Mimo świadomości, że profity z awansu będzie trzeba odpracowywać, jeszcze nikt, komu Grzybowski składał taką propozycję, nie odmówił. Po spotkaniu z Kochanowskim, kiedy myślał, że we względnym spokoju doczeka przerwy na lunch, zjawiła się ta para policjantów. Nawet teraz zdejmując w garderobie garnitur i zmieniając go na wygodne dżinsy i koszulkę polo, zastanawiał się, ile tak naprawdę wiedziała policja. Czy trafili do niego wyłącznie za sprawą telefonu czy może jednak ich wiedza sięgała dalej. Wiedział, że to dalej mogło oznaczać dla niego poważne

kłopoty. Co prawda, były one bardziej osobiste niż zawodowe, ale te pierwsze niemal zawsze rzutowały na drugie. Żałował, że nie był tak przewidujący kilka miesięcy wcześniej, kiedy podczas jednego z firmowych wyjazdów Robert Żurek, kumpel jeszcze z czasów studenckich, a obecnie dyrektor działu analiz ryzykiem, przedstawił mu bardzo młodą dziewczynę.

– Karol, to Klementyna – powiedział Żurek, a chwilę później wyciągając z kieszeni głośno dzwoniący telefon, oddalił się w poszukiwaniu zacisznego miejsca. Grzybowski patrzył na dziewczynę bardziej z ciekawością niż zainteresowaniem. Nie zamierzał ani z nią flirtować, ani tym bardziej jej podrywać. Lubili się z Robertem i nie chciał, aby kłótnia o kobietę popsuka ich relacje. Dziewczyna była młoda, na pierwszy, drugi, a nawet trzeci rzut oka – za młoda. Lekko zadarty nos sugerował upartość. W dużych niebieskich, trochę skośnych oczach dostrzegł zalotność, z którą wcale się nie kryła.

– Czy pani na pewno jest pełnoletnia?

Pytanie było zwerbalizowaniem upartej myśli krążącej po orbitach jego mózgu. Wypowiedział je, zanim w ogóle zdał sobie z tego sprawę.

– Jeśli moje słowo nie wystarczy, może zabawić się pan w policjanta proszącego o okazanie dowodu tożsamości – odparła, rozchylając w uśmiechu dziewczęce usta.

– Nie, nie trzeba – potrząsnął głową, czując wykwitający na policzkach rumieniec. Wiedział, że kolega lubi pokazywać się w towarzystwie bardzo młodych dziewcząt. Był prawnikiem, więc musiał sobie zdawać sprawę, że pewnej granicy nie może przekroczyć. Grzybowski chciał przeprosić i zniknąć w tłumie. Jednak zatrzymał go głos dziewczyny.

– Postawisz mi drinka?

Grzybowski spojrział niepewnie na dziewczynę, a następnie przeniósł wzrok na stojącego na tarasie Roberta. Gest, choć ulotny, nie uszedł jej uwadze.

– Nim nie musisz się przejmować. Jest nudny i szybko się nudzi – oświadczyła dziewczyna, podążając za jego spojrzeniem. Karol nie bardzo wiedział, jak zinterpretować jej wypowiedź. Czy miała na myśli, że Robert się jej znudził, czy to ona znudziła się jemu.

– W takim razie zapraszam do baru – powiedział, puszczając dziewczynę przodem. Z tyłu wyglądała równie atrakcyjnie. Zauważył, że specjalnie zaczęła

kołysać biodrami. Jakoś trudno było mu uwierzyć, że taka laska znudziła się Żurkowi. Postawił jej nie jednego, ale kilka drinków, sam również sporo wypił. Jednak nie na tyle, by nie pamiętać tego, co stało się później. Dopiero teraz dotarło do niego, że ta znajomość od samego początku niosła z sobą ryzyko. Pamiętał, jak wracając z pierwszego spotkania, nucił sobie pod nosem refren z piosenki Kazika: „Ja wiem, że czasem są upadki i wzloty. Dziewczyny to nic więcej jak tylko kłopoty”. Wtedy wydawało mu się to takie zabawne, ale dzisiaj patrzył na to zupełnie inaczej. Myjąc ręce w łazience, naszła go dziwna myśl. Dotyczyła wizyty policji, próby włamania do samochodu i zaginięcia Klementyny.

„A co, jeśli te sprawy się z sobą łączą?” – pomyślał, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Poszarzała twarz, zmęczony wzrok zdawały się mówić: „Karolu, nie jesteś w najlepszej formie”. Ignorując swój stan, również ten psychiczny, skoncentrował uwagę na ostatnich przemyśleniach. Doszedł do wniosku, że wszystkie trzy zdarzenia nie mogą być z sobą powiązane. Owszem, znajomość z Klementyną i próbę włamania do samochodu można było połączyć. Przecież dziewczyna wiedziała, jakim autem jeździ. Ale wizyta policji i zniknięcie Klementyny to były osobne sprawy niemające związku z dwiema poprzednimi. Ledwie zdołał o tym pomyśleć, przypomniał sobie, że przecież tego feralnego dnia to on ostatni widział Klementynę żywą. Schodząc do salonu, miał mętlik w głowie.

– Za dużo pytań bez odpowiedzi – westchnął, podchodząc do barku. Nalał sobie szkockiej i wyszedł na taras. Nagrzane słońcem płytki przyjemnie rozgrzewały bose stopy. W dole między drzewami widział orłowskie moło, a nieco po lewej fragment klifu. Nawet z tej odległości słyszał wrzaski dzieci na plaży. Pociągnął solidny tyk, szklaneczkę odstawił na stolik i ułożył się wygodnie na leżaku. Przymknął oczy, chciał w spokoju jeszcze raz pomyśleć o tym wszystkim. Chwilę później już spał. Kiedy się ocknął pierwsze grube krople spadały z granatowego nieba. Spłoszeni plażowicze w popłochu uciekali do pobliskich lokali, a wiatr uparcie i bezlitośnie targał wszystkim, co spotkał na swej drodze. Karol schował do altany wszystkie lżejsze sprzęty i szybko wszedł do domu. Panująca cisza oznaczała, że żona jeszcze nie wróciła. Spojrzał na telefon, ale nie miał żadnych nieodebranych połączeń czy nieodczytanych

wiadomości. Przeszedł do gabinetu i uruchomił laptopa. Dokumenty, które zamierzał przejrzeć, znał prawie na pamięć. Było ich tylko kilka, a żaden z nich nie liczył więcej niż dwie strony. Uparta myśl o powiązaniach między Klementyną, włamaniem do samochodu, wizytą policji a wreszcie zniknięciem dziewczyny nie dawała mu spokoju. Była jak brakujący wyraz do krzyżówki, dzięki któremu będzie można odgadnąć hasło. Myślami wrócił do styczniowego popołudnia. Tego dnia, gdy ktoś próbował włamać się do jego lexusa, nie planował spotkania z Klementyną. Pracował trochę dłużej, a później pojechał do Galerii Bałtyckiej kupić żonie prezent z okazji urodzin. To właśnie tam na podziemnym parkingu miało miejsce całe zajście. Złodziej musiał być dość dobrze wyszkolony i przygotowany, skoro udało mu się deaktywować alarm. Na szczęście nie zdołał otworzyć samochodu. Skończyło się na uszkodzeniu zamka. Karol brał pod uwagę dwie możliwości. Pierwsza była taka, że ktoś zwyczajnie przeszkodził gościowi w dokończeniu zadania. Druga – i w nią chciał wierzyć bardziej – zakładała, że zabezpieczenia okazały się lepsze od włamywacza. Wtedy nie zastanawiał się, dlaczego to jego samochód próbowano ukraść. Odpowiedź nasuwała się sama. Roczny lexus wart był ponad ćwierć miliona złotych, a stojące obok ople, fordys czy fiaty, nawet jeśli kilka godzin wcześniej opuściły salon, najwyżej kilkadziesiąt tysięcy. Ale teraz nie był tego już taki pewien. O tym, że tamtego dnia między siedemnastą a dziewiętnastą będzie w galerii, wiedziały tylko trzy osoby on, jego asystentka i Klementyna. Asystentkę natychmiast wykluczył z grona podejrzanych o potencjalny spisek. Pracowała u niego kilkanaście lat i w pewnych sytuacjach ufał jej bardziej niż samemu sobie. Te opinie, że asystentki są prawymi rękami swoich szefów bardzo często się sprawdzały. To one dbały o terminarze, przygotowanie dokumentacji, rezerwację, a nawet kupowanie upominków dla partnerów biznesowych. Skoro więc nie pani Jagoda, to pozostawała Klementyna. Tylko jaki dziewczyna miałaby motyw? Przecież nawet gdyby kradzież samochodu się powiodła, to czegoś tak luksusowego nie da się po prostu wywieźć za wschodnią granicę. Zrobienie z lexusa dawcy też nie miało sensu. Jeśli kogoś było stać na taki wózek, to tym bardziej mógł sobie pozwolić na serwisowanie i ewentualne naprawy u dilerów. Pozostawała jeszcze ostatnia, najbardziej nieprawdopodobna możliwość, którą nie była kradzież samochodu, ale jego zawartości. Jednak i ta

ewentualność wydała się Karolowi niedorzeczna. Nigdy nie wynosił z biura żadnych dokumentów bez względu na ich ważność. Twardo trzymał się zasady, że biuro jest do pracy, a dom do odpoczynku. Wolał dłużej posiedzieć w biurze niż zabierać robotę do domu. Kończąc lekturę materiałów, uznał, że póki co może spać spokojnie. Policja wiedziała tylko tyle, że dzwonił do dziewczyny. Bajeczkę, że była to pomyłka trudno będzie im podważyć.

ROZDZIAŁ 27

Właściwie powinna się cieszyć. Wszystko wskazywało, że Klementyna Wiertnicka jest cała i zdrowa. Co prawda na potwierdzenie mieli tylko SMS wysłany do współlokalki, jednak skoro został wysłany z telefonu, należącego do Wiertnickiej, to nie mieli podstaw do zakwestionowania tej wiadomości. Pracowała przy zaginięciach zbyt długo, by wiedzieć, że powody, dla których ludzie znikają, nie informując nawet najbliższych, są bardzo różne. Jedne mniej, drugie bardziej logiczne, a bywały też takie, które trudno było zrozumieć. Dlatego gdyby nie kilka dość dziwnych zdarzeń Solińska, uznałaby zaginięcie Wiertnickiej za kolejny mniej lub bardziej klasyczny przypadek zaginięcia.

„A jednak coś tu jest nie tak” – pomyślała, siadając za biurkiem. Była sama w biurze, więc mogła w spokoju przeanalizować kilka kwestii. Woronko miał przyjść dopiero o dziewiątej, miała zatem całą godzinę, o ile nie napatoczy się jakiś adorator chcący pożyczyć klej, papier lub spinacze. Po raz pierwszy miała do czynienia z tak zagadkowym zaginięciem. W drodze do pracy próbowała sobie to wszystko jakoś poukładać. Fakty jak kolorowe elementy układanki wałały się w jej głowie. Zgłoszenie zaginięcia, zapisy z kamer monitoringu, świadek jadący z Wiertnicką autobusem, znalezienie przedmiotów należących do zaginionej, pojawienie się Wiertnickiej w nocnym klubie i na dworcu, mieszkanie na Obrońców Wybrzeża. Ułożenie czytelnego i logicznego obrazka z tych fragmentów byłoby trudne. Na szczęście nie musieli tego robić, dlatego analiza, jaką chciała przeprowadzić, miała być bardziej teoretyczna. Nagle dostrzegła leżącą na biurku komisarza kopertę. Wstała i podeszła bliżej.

– Zlecenie 201/06 aspirant Katarzyna Solińska – przeczytała i sięgnęła po przesyłkę.

„Najpewniej ten, kto ją przyniósł nie wiedział, które zajmuje biurko” – pomyślała, wracając na swoje miejsce. W kopercie znalazła wyniki zlecenia, jakie poprzedniego dnia podrzuciła Koniecznemu. Lektura wyników zajęła jej

zaledwie kilkanaście sekund. Technicy potwierdzili jej przypuszczenia. Na fotografii, którą wczoraj trzymał Karol Grzybowski, odkryto odciski palców zgodne z tymi, jakie zabezpieczono w kawalerce na Obrońców Wybrzeża.

„Czyli Grzybowski kłamał, mówiąc, że nie zna Wiertnickiej” – pomyślała, uśmiechając się do siebie. Radość z odkrycia była jednak krótkotrwała. W następnej chwili Solińska uświadomiła sobie, że miała w ręku dowód na to, że Karol Grzybowski przebywał w mieszkaniu na Obrońców Wybrzeża, a to nie musiało wcale znaczyć, że znalazł zaginioną.

– Zresztą, teraz to już nie ma znaczenia – westchnęła, wsuwając kartkę do koperty. Kolejny element, jaki odkryła, zniechęcił ją do stawiania hipotez i prób ich udowodnienia w sprawie, której właściwie już nie było. Za dwie godziny podpiszą raport i co innego będą mieli na głowie. Uruchomiła komputer i czekając na przyście Woronki, postanowiła zrobić porządek z dokumentami. W przeciwieństwie do komisarza wołała zapisywać wszystko w komputerze. Folder z dokumentami zawierał więc kilkaset, najczęściej niepotrzebnych już, plików. Ostatnie z nich dotyczyły Klementyny Wiertnickiej. Pierwszym w kolejce do usunięcia był dokument o nazwie „Telefony do sprawdzenia”. Zawierał wykaz numerów do sprawdzenia znalezionych w telefonie z kawalerki na Obrońców Wybrzeża. Solińska kliknęła dwukrotnie otwierając dokument. Na liście znajdowało się pięć numerów. Jeden z nich ten należący do Karola Grzybowskiego został już zidentyfikowany. Za kilka dni lub – co bardziej prawdopodobne tygodni – otrzymają od operatorów pełne dane pozostałych, o ile numery były zarejestrowane. Nagle Solińską zainteresowało, czy również numer telefonu z kawalerki został przesłany do sprawdzenia. Łamiąc postanowienie o zostawieniu tej sprawy w spokoju, sięgnęła po słuchawkę i po kilku chwilach знаła odpowiedź. Fakt, że pominięto numer w tej chwili nie miał oczywiście żadnego znaczenia, ale mimo to Solińska postanowiła go sprawdzić w bazach policyjnych. Tak, jak się spodziewała, niczego nie znalazła. Wtedy przypomniała sobie coś, co powiedziała im pani Zofia mieszkająca obok tajemniczej kawalerki. Według starszej pani Wiertnicka udzielała korepetycji, a skoro tak, to musiała się gdzieś ogłaszać. Solińska uruchomiła przeglądarkę i w polu zapytania wpisała numer telefonu. Strona z wynikami wyszukiwania wczytywała się niemiłosiernie długo. Szefostwo przebąkiwało coś o nowym łączu

internetowym, które miało poprawić szybkość, ale na zapewnieniach się kończyło. Solińska odliczała w myślach. Kiedy doliczyła do trzydziestu siedmiu strona się załadowała.

– Są postępy – przyznała w duchu. Ostatnim razem, kiedy bawiła się w odliczankę, doliczyła do pięćdziesięciu dwóch. Spodziewała się wyników z serwisów ogłoszeniowych, gdzie reklamowali się korepetytorzy, lecz zamiast tego znalazła coś, co początkowo uznała za niemożliwe. Kliknęła jeden z pierwszych linków, gdzie poza numerem telefonu zobaczyła fotografię Klementyny Wiertnickiej. Tym razem już nie odliczała, tylko czekała, bębniąc nerwowo paznokciami po blacie biurka. Zanim strona się załadowała, zdążyła z dotychczasowych ustaleń stworzyć dość przejrzysty i ciekawy obraz.

– Studentka, lat dwadzieścia, o miłej aparycji i bujnej fantazji zaprasza panów w każdym wieku na dyskretne intymne spotkania – przeczytała anons zamieszczony w jednym z serwisów towarzyskich. Słyszając, jak ktoś otwiera drzwi, odruchowo zasłoniła monitor. Jeszcze tego brakowało, aby ktoś przyłapał ją na przeglądaniu anonsów erotycznych. Gdyby fama o tym rozniosła się po komendzie, faceci mieliby powód do niezbyt wybrednych żartów.

– Cześć, Kaśka. Coś nie tak z twoim kręgosłupem? – spytał Woronko, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. Odetchnęła z ulgą i wyprostowała się.

– Póki co nie narzekam.

– A już się cieszyłem, że będę miał całe biuro tylko dla siebie – chciał jeszcze dodać: „jak za starych dobrych czasów”, ale ugryzł się w język.

– Janusz, pamiętasz tę starszą panią z Obrońców Wybrzeża, która mówiła, że Wiertnicka udzielała korepetycji?

– No pamiętam, ale sądziłem, że sprawę tej dziewczyny już zamykamy?

– Tak, tak zamykamy – potwierdziła policjantka – ale przed twoim przyjściem sprawdziłam w Google numer telefonu znalezionej w tamtej kawalerce i odkryłam coś interesującego.

Uniesione brwi komisarza wskazywały, że temat go zaciekawił.

– Rzeczywiście, Wiertnicka udzielała korepetycji, choć były one dość specyficzne.

– To znaczy? – wtrącił, nie bardzo rozumiejąc, co miała na myśli.

– Sam zobacz – zaproponowała Solińska, przekręcając monitor tak, by komisarz widział jego zawartość.

– Już w ubraniu wyglądała na niezłą laskę, ale w tych fikuśnych wdziankach, to zupełnie dech zapiera – stwierdził, oglądając Klementynę Wiertnicką ubraną wyłącznie w koronkowe stringi i prześwitującą koszulkę.

– Wszystko wskazuje na to, że Wiertnicka dorabiała sobie jako dziewczyna do towarzystwa – podsumowała Solińska, ustawiając monitor w poprzedniej pozycji.

– Znaczy była kurwą – odparł Woronko.

– Używając twojego słownika, to pewnie tak.

– Kaśka, to nie jest mój słownik. Po prostu uważam, że pewne rzeczy trzeba nazywać po imieniu i już. Dla mnie złodziej zawsze będzie złodziejem, a nie osobą przywłaszczającą cudze mienie, a kobieta zarabiająca ciałem zawsze będzie kurwą, a nie prostytutką czy panienką do towarzystwa – wyjaśnił komisarz, zakładając ręce za głowę.

– Więc skoro Wiertnicka robiła to, co robiła, wcale mnie nie dziwi, że ten facet z którym rozmawialiśmy wczoraj, no jak mu tam?

– Karol Grzybowski – przypomniała Solińska.

– Właśnie, Karol Grzybowski – powtórzył Woronko. – Tak więc wcale mnie nie dziwi, że Grzybowski zaprzeczał jakoby znał Wiertnicką. Szanowany prezes jednej z większych firm, najpewniej przykładowy mąż, ojciec, a sądząc po wieku może nawet dziadek, spotyka się z kurewką. Gdyby to ujrzało światło dzienne, facet byłby skończony – oznajmił komisarz.

– A ja mam dowód potwierdzający twoje przypuszczenia – zakomunikowała Solińska, machając Woronce przed nosem kopertą.

– To znaczy?

Policjantka opowiedziała o swoim małym fortelu. Komisarza wcale nie zdziwiła pomysłowość Solińskiej. Już kilka razy zaskakiwała go kreatywnością.

– Wiesz, Kaśka, to, co odkryłaś, wyjaśnia również kilka innych zagadek. Skąd Wiertnicka miała kasę na te wszystkie luksusowe kosmetyki, ubrania czy sprzęt elektroniczny? Oczywiście z kurwienia się, choć ty możesz to nazwać pracą. Przyznam ci nawet rację, że jest to praca i to jak najbardziej fizyczna. To według

mnie może też być powodem jej zniknięcia. Pokłóciła się ze swoim alfonsem, one zawsze mają jakiegoś, jak ty byś to powiedziała, opiekuna. Zabrała kasę i w nogi.

– Janusz, oszczędź sobie tej ironii dla kogoś innego. Na mnie już nie działa. Uodporniłam się na ciebie, a twoje słownictwo w szczególności – rzuciła Solińska, podnosząc słuchawkę dzwoniącego telefonu.

ROZDZIAŁ 28

Tej nocy Rozalii Pawlak nic się nie śniło. Uznała to za dobry znak, choć wiedziała, że jedna jaskółka wiosny nie czyni. Pomysł z wykopaniem zwłok, jaki poprzedniego wieczoru zaproponowała Gorczyńska, początkowo wydawał się Rozalii niedorzeczny. Przecież istniały odpowiednie służby, których obowiązkiem było sprawdzenie takiego zgłoszenia. Tak przynajmniej sądziła.

– Rozalia, gdyby policja miała weryfikować każdy taki sygnał, to co kilka dni byliby zajęci kopaniem – oświadczyła Bożena i było w tym sporo racji. Ostatecznie zgodziła się z przyjaciółką, że w tej konkretnej sytuacji nie mają innego wyjścia. Mimo to nawet teraz, kiedy czekała przed blokiem na przyjazd Bożeny, targały nią wątpliwości. W całym życiu nie zrobiła nic równie szalonego. Jej rozmyślenia przerwał odgłos nadjeżdżającego samochodu. Gorczyńska zatrzymała się przy krawężniku, a gdy tylko Rozalia wsiadła, ruszyła.

– Najpierw pojedziemy na moją działkę po narzędzia – poinformowała przyjaciółka, próbując przekrzyczeć ujadającego na tylnej kanapie brązowego jamnika. – Rufus, zamknij pysk – rzuciła w stronę psa, ale ten ani myślał przestać. – Ten idiota zawsze tak szczeka, jak jedzie na tylnej kanapie – wyjaśniła Bożena.

– To może ja usiądę z tyłu – zaproponowała Rozalia.

– Zwariowałaś, byle pies nie będzie mi tu rządził – prychnęła Gorczyńska, skręcając na teren ogródków działkowych. Zaparkowała na pustym o tej porze parkingu i wysiadła.

– Bożena, pomoc ci?

– No co ty, Rozalka, jeszcze nie jestem taka stara, żeby dwóch szpadli nie przynieść.

Rzeczywiście po kilku minutach Gorczyńska, wróciła niosąc narzędzia. Wrzuciła je do bagażnika, usiadła za kierownicą, posłała psu wiązaną przekleństwo, która jednak nie zmieniła niczego w jego zachowaniu i ruszyła.

Dotarcie do Pruszcza Gdańskiego zajęło im prawie godzinę, ale najgorsze dopiero było przed nimi. Musiały znaleźć miejsce, które Rozalia widziała z okna pociągu. Bożena wybierała drogi biegnące najbliżej torów, ale każda z nich po jakimś czasie oddalała się od nich. Dopiero zagadnięty rowerzysta, kiedy powiedziały mu, czego szukają, poinstruował, jak należy jechać. Po drodze tylko raz zablądziły, ale była to raczej pomyłka. Na skrzyżowaniu dróg gruntowych Gorceżyńska skręciła w prawo zamiast w lewo. Kiedy zaparkowały obok drewnianej wiaty, kilku ławek i miejsca na ognisko dochodziła jedenasta. Rozalia wysiadła i zadrzała. Oto znalazła się w miejscu, o którym najpierw śniła, a później widziała przez okno pociągu.

– Zjeżdżaj, wredny kundlu – fuknęła Bożena na psa, otwierając tylne drzwi. Zwierzę wyskoczyło i natychmiast przestało szczeleć.

– No to prowadź, Rozalka – poleciła przyjaciółka, wręczając jej jeden ze szpadli. Ruszyły powoli, zagłębiając się w gęsty las. Z każdym krokiem droga robiła się coraz bardziej wyboista. Drzewa o lśniących po niedawnej ulewie koronach szumiały łagodnie. Towarzyszyły im delikatne odgłosy ptactwa i ukrytych w poszyciu świerszczy. Przekroczyły solidny drewniany mostek. Za nim droga skręcała w lewo. Rozalia próbowała przypomnieć sobie miejsce, z którego w jej śnie ruszył samochód. O ile dobrze pamiętała, było to w pobliżu płaskiej niewielkiej polany. Tu, gdzie stały teraz, teren wznosił się. Ruszyły w górę, omijając owalne, czarne kałuże. Za kolejnym zakrętem było już równiej. Gęsto rosnące do tej pory drzewa przerzedziły się. Po dalszych kilkudziesięciu metrach doszły do polany, a właściwie dwóch leżących po przeciwnych stronach drogi.

– To gdzieś tutaj – wysapała Rozalia, opierając dłonie na drewnianym trzonku. Mimo codziennych spacerów poczuła zmęczenie.

– A możesz dokładniej? – poprosiła przyjaciółka, również łapczywie łapiąc powietrze.

– No właśnie nie wiem, po której to było stronie – zawahała się Rozalia, przypatrując się najpierw prawej, a później lewej stronie leśnej drogi. Obie polany wyglądały niemal identycznie. Długie na jakieś czterdzieści i szerokie na dwadzieścia metrów nie wyglądały na wytwór matki natury, a raczej piły i siekiery drwali. Ciało dziewczyny nie zostało zakopane bezpośrednio na

polanie, ale na jej granicy z lasem, gdzie trawa przechodziła w leśne poszycie z uschniętych liści i małych gałązek. Rozalia ruszyła w prawo pokonała polanę i stanęła przy pierwszych drzewach. Nigdzie nie dostrzegła świeżo skopanej ziemi czy innych śladów świadczących o zakopywaniu. Później przeszła na drugą polanę, ale i tu niczego nie znalazła. Powoli zaczynała wątpić, czy to aby na pewno to miejsce.

– Słuchaj, Rozalia, to może ty przepokopuj lewą stronę, a ja prawą? – zaproponowała Bożena.

W pierwszej chwili pomysł wydawał się sensowny, ale według Rozalii miał jeden minus. Policja na pewno będzie sprawdzała nie tylko samo miejsce znalezienia ciała, ale również okolice, a wtedy wyjdzie na jaw, że po drugiej stronie także ktoś kopał.

– Masz rację – potwierdziła Bożena, kiedy Rozalia powiedziała o swoich wątpliwościach.

– Wiesz, poza tym wydaje mi się, że w moim śnie polana była tylko po jednej stronie drogi.

– W takim razie, idźmy jeszcze dalej – zasugerowała Gorczyńska, wstając z leżącego na poboczu pnia. Ruszyły i po chwili na powrót weszły w gęsty las. Cień rzucany przez drzewa i delikatny wiatr łagodził skwar, który mimo wczesnej pory już dawał się we znaki. Rufus biegał jak szalony, szczekając co jakiś czas z sobie tylko wiadomego powodu. Po kwadransie doszły do kolejnej polany. Była ładząco podobna do poprzednich, ale jeden rzut oka wystarczył, by Rozalia wiedziała, że są na właściwym miejscu. Podeszła do linii drzew i niemal natychmiast zobaczyła, że między dwoma wysokimi dębami ziemia jest spulchniona i niezdarnie zamaskowana ściółką.

– To co, zaczynamy? – spytała Bożena, spoglądając na Rozalię badawczym wzrokiem.

– Chyba tak – odpowiedziała Rozalia, wbijając ostrze szpadla w miękką ziemię.

ROZDZIAŁ 29

– Kaśka, masz może pożyczyć nożyczki?

Usłyszała nad głową. Podniosła wzrok na kolejnego intruza i gdyby jej spojrzenie mogło zabijać, to delikwent właśnie padałby martwy na podłogę.

– Nie dalej jak pół godziny temu to samo pytanie zadał mi Marcin z obyczajówki. Przed nim był Grzesiek z drogowki, ale nie ten rudy, tylko czarny. Pierwszym natomiast był ten nowy Tomek od informatyków i u niego są te cholerne nożyczki – wycedziła, tłumiąc w sobie narastającą z każdą chwilą rzadzę mordy. Chciała jedynie w ciszy i spokoju dokończyć raport, ale od ponad godziny ciągle ktoś jej przeszkadzał i nie był to wcale Woronko.

– No dobra, już o nic nie prosiłem – mruknął pod nosem policjant i czym prędzej opuścił pokój.

– Co oni się dzisiaj uwzięli na te pieprzone nożyczki! – rzuciła Solińska, patrząc, jak za wychodzącym kolegą zamykają się drzwi.

– Jeśli to było pytanie do mnie, to odpowiem, że nie wiem, dlaczego dzisiaj nożyczki, ale wiem, dlaczego każdego dnia ty – powiedział Woronko, spoglądając na Solińską rozbawionym wzrokiem.

– To nie było żadne pytanie, tylko próba zrozumienia zachowania zidiociałych samców – wypaliła policjantka, wracając do pisania raportu zamykającego sprawę zaginięcia Klementyny Wiertnickiej.

– I dla własnego dobra lepiej sprawdź, czy nie ma cię w kuchni, kiblu albo pizzerii – dodała, widząc, że Woronko chce coś jeszcze powiedzieć.

– Ok, idę po kawę, tobie też przynieść? – oznajmił komisarz, wstając z obrotowego fotela. O ile dobrze zauważył, to nawet ich szef nie miał tak wygodnego stolka, jakie Solińska im załatwiła.

– Tak, chętnie – poprosiła policjantka, wystukując na klawiaturze kolejne zdania. Woronko wyszedł, zamykając drzwi najciszej, jak tylko potrafił. Zbiegł

po schodach i widząc swojego szefa, zamiast do wyjścia ruszył do okienka oficera dyżurnego.

– Staszek, czy zgłosił się ktoś w sprawie Klementyny Wiertnickiej? – zapytał, obserwując dyskretnie przełożonego. Co prawda, wypadki w czasie pracy po kawę do pobliskiej pizzerii nie były formalnie zakazane, ale z jakiegoś powodu wszyscy naczelnicy patrzyli krzywo na ten proceder. Woronko wysunął nawet hipotezę, że mają oni udziały w firmie obsługującej jedyny na komendzie automat do ciepłych napoi. Kawa, jaką serwowała maszyna, komisarzowi śmierdziała moczem. Spróbował jej tylko raz i za żadne pieniądze nie powtórzyłby tego.

– Słyszałem, że zamykacie sprawę? – zdziwił się dyżurny.

– No tak, powoli zamykamy, ale podobno miał zjawić się jeszcze ktoś, kto widział Wiertnicką już po zgłoszeniu zaginięcia – skłamał gładko Woronko. Kątem oka dostrzegł, że szef właśnie zaczyna wchodzić po schodach.

– Zaraz zobaczę, czy ktoś był – odparł oficer, sprawdzając coś w komputerze.

– Stachu, idę po kawę, przynieść ci?

Policjant w jednej chwili zrozumiał, kiwnął głową i podniósł do góry kciuk. Po pięciu minutach Woronko szedł korytarzem komendy, rozsiewając wokół przyjemny aromat świeżo mielonej i parzonej ciśnieniowo kawy. Widział zazdrosne spojrzenia mijanych funkcjonariuszy. Ponownie najciszej jak tylko potrafił otworzył drzwi do biura.

– Nie musisz się tak skradać jak jakiś szpieg z krainy deszczowców – powiedziała Solińska, odwracając do niego głowę.

– Dzisiaj to nawet ja wolę z tobą nie zadzierać – odpowiedział, stawiając przed nią styropianowy kubek.

– O to bardzo miło z twojej strony. Jednak ja nie mogę tego samego powiedzieć o sobie. Mam dla ciebie wiadomość, ale najpierw usiądź, bo ona ci się nie spodoba – poprosiła, upijając trochę kawy.

„Najpewniej kolejne dziwne zaginięcie” – pomyślał rozsiadając się wygodnie na fotelu.

– Ty się tak nie mość jak kura na grzędzie, bo za chwilę jedziemy do Pruszcza Gdańskiego – zapowiedziała policjantka, stukając paznokciami o blat biurka. Była jakaś inna niż kilka minut temu. Kiedy wychodził po kawę, w skupieniu

wystukiwała na klawiaturze kolejne zdania raportu. Teraz komputer był wyłączony, a ona sama jakoś dziwnie spięta.

– A po cholere mamy się tam tłuc, zwłaszcza o tej porze? – mówiąc „o tej porze”, miał na myśli wiecznie zapchaną wylotówkę w kierunku Łodzi, która jedynie nocą była w miarę luźna.

– Chłopaki z Pruszcza dostali zgłoszenie o znalezieniu w lesie zakopanego ciała – zaczęła, utkwivszy spojrzenie gdzieś za oknem.

– To niech się tym zajmą. Co to powiatowi już nie potrafią takich spraw prowadzić? – wpadł jej w słowo.

– Janusz, ale ja jeszcze nie skończyłam.

– No dobra, dobra mów dalej, może coś z tego zrozumieć.

– Jak już powiedziałam, w lesie pod Pruszczem odkryto ciało młodej kobiety. Tamtejsi chłopcy twierdzą, że to zwłoki Klementyny Wiertnickiej.

Woronko z wrażenia aż zakrzuszył się kawą. Spodziewał się czegoś mocnego, ale nie takiego idiotyzmu.

– Czy oni do końca ocipieli? – rzucił – Kaśka, rozesłałaś informację o przerwaniu poszukiwań?

– Janusz, czy masz mnie za idiotkę? – zapytała, jednocześnie przygniatając go ciężkim spojrzeniem.

– No dobra, cofam pytanie. Ale skoro wiedzą, że Wiertnicka żyje, to dlaczego próbują wcisnąć nam tego trupa?

– Ponieważ uważają, że to właśnie Wiertnicka – odpowiedziała Solińska, biorąc kolejny łyk kawy.

– Dla świętego spokoju trzeba tam pojechać i wyjaśnić to zamieszanie – stwierdziła policjantka, patrząc wymownie na komisarza.

– O nie, Kaśka, ja nigdzie nie jadę. Mam dość roboty tu na miejscu. Staruszka z amnezją, która wczoraj wyszła po bułki, jakiś Włoch, który przepadł, zostawiając w pokoju hotelowym cały swój dobytek łącznie z portfelem – wyliczał komisarz, pokazując palcem na leżące teczki. – Uważam, że jesteś już na tyle samodzielna panią aspirant, że spokojnie dasz sobie z tym radę sama – oznajmił i chcąc pokazać swoją gorliwość do pracy, otworzył jedną z teczek.

– No dobra, ale pamiętaj, że ominie cię ciekawe widowisko.

– Kaśka, ja w swoim życiu widziałem więcej trupów niż grabarz z Powązek i jakoś mnie do nowych nie ciągnie.

– Dobra, leniwcze, ty tu sobie siedź i pracuj, a ja jadę do tego Pruszcza. Im szybciej to wyjaśnimy, tym lepiej.

Nie czekając na komentarz z jego strony, wyszła z pokoju, zabierając ze sobą kawę. Woronko wpatrzony w drzwi, za którymi zniknęła Solińska, zastanawiał się, dlaczego koledzy z Pruszcza założyli, że znaną denatką jest właśnie Klementyna Wiertnicka. Dokumentów mieć nie mogła, bo wszystkie były w portfelu znalezionym razem z torebką. Owszem, istniała możliwość, że przy zwłokach znaleziono jakiś inny dokument zawierający jej imię i nazwisko, ale tego nie można było traktować jako dowodu. Jedyne wiarygodne potwierdzenie stanowiła identyfikacja na podstawie zdjęcia albo przez kogoś z rodziny, a kiedy nie było takiej możliwości, wystarczał ktoś, kto znał nieboszczyka. Próbował ocenić szansę na to, że znaną dziewczyną jest Wiertnicka. Z przeanalizowania materiału, jaki do tej pory zgromadzili, były one marne. Po pierwsze dwie osoby widziały Wiertnicką już po zgłoszeniu jej zaginięcia, a po drugie przesłała ona SMS do współlokatorki, w którym informowała, że jest cała i zdrowa. Nawet fakt znalezienia jej torebki w odludnym miejscu i ostatnie rewelacyjne odkrycia Solińskiej dotyczące profesji, jaką uprawiała Wiertnicka, nie miały większego znaczenia. Czekając na telefon od Solińskiej, próbował zająć się bieżącymi sprawami. Szczególnie zaginięcie obywatela Włoch, który przyjechał do Gdańska na jakąś konferencję naukową o zabytkach, wydało się komisarzowi podejrzane. Zdołał ustalić, że makaroniarz rzeczywiście zjawił się na kongresie, wygłosił jeden odczyt i zjadł obiad z pozostałymi uczestnikami. Później nikt go nie widział. Jakby facet nagle zapadł się pod ziemię. Na myśl o zapadaniu się pod ziemię Woronko spojrzał na telefon komórkowy i sprawdził, czy nie jest wyciszony. Solińska zadzwoniła godzinę później.

– No nareszcie, co ty tam sobie jakieś towarzyskie pogawędki uczynasz?

– Okoliczności przyrody nawet do tego skłaniają, tylko zwłoki w worku trochę psują klimat.

W tle komisarz słyszał przyciszone głosy, więc musiało tam być niezłe zamieszanie.

– No ale chyba ustaliłaś, że to nie nasz trup? – zamiast odpowiedzi w słuchawce zapadła cisza. – Kaśka, jesteś tam?

– Tak jestem i ustaliłam, że na dziewięćdziesiąt procent są to zwłoki Klementyny Wiertnickiej.

Woronko mimowolnie zaklął. Ta wiadomość była ostatnią, jakiej się spodziewał, ale skoro Solińska była na miejscu to informacja musiała być pewna.

– Janusz, będzie lepiej, gdy tu przyjedziesz, bo zwłoki to nie wszystkie niespodzianki, jakie tu na mnie czekały.

– Zaraz wyruszam – potwierdził, wstając z wygodnego fotela. Zostawił kubek z zimną już kawą na blacie i wyszedł z biura.

ROZDZIAŁ 30

Spoglądając na cztery duże zapakowane po brzegi pudła, nie mógł pojąć, że Klementyna zgromadziła tyle rzeczy.

– Kiedy ma się zjawić ten kurier? – zapytał Bartek, mając nadzieję, że nie będzie jeszcze musiał znosić całego tego dobytku na dół. Przecież kurierom płacili także za znoszenie i wnoszenie. Nic dziwnego, że większość z nich wyglądała na byczków, którzy po kilka godzin dziennie wyciskali na siłce.

– Nie wiem, Klementyna pisała, że da znać za kilka dni – odpowiedziała Baśka, przeczesując dłonią mokre od potu włosy.

– Jak tylko to wszystko zniknie – Bartek wskazał podbródkiem kartony – będzie trzeba poszukać nowej współlokatorki.

– A może tym razem współlokatora. Takiego umięśnionego opalonego, żebym i ja mogła sobie popatrzeć – rzuciła zaczepnie Baśka, wstając z podłogi.

– Może być i współlokator, byleby lubił piwo – przytaknął Bartek, zatrzymując wzrok na zgrabnych pośladkach wychodzącej z pokoju Baśki. Niby zajęcie nie było specjalnie ciężkie, bo przecież składanie ubrań to nie przenoszenie cegieł, ale i tak czuł, że całe ciało lepi się od potu, a koszulka nadaje się wyłącznie do prania. Wstał i ruszył do łazienki. Przechodząc obok kuchni, zobaczył, że Baśka kroi wyciągniętego z lodówki arbuza.

– Idę wziąć prysznic – rzucił w jej stronę. Nic nie odpowiedziała tylko skinęła głową i dalej walczyła z ogromnym zielonym potworem. Specjalnie nie zamknął drzwi na zamek, licząc, że może najdzie ją ochota na wspólny prysznic. Zrzucił przepocone ciuchy i wszedł do kabiny. Nastawił wodę na maksymalną temperaturę, a później stopniowo zmniejszał ją aż do momentu, kiedy zimne igły kropeł zaczęły ranić mu skórę. Policzył do trzydziestu, zakręcił kurek i wytarł się szorstkim ręcznikiem. Wciągnął luźne bokserki i wyszedł z łazienki.

– Jeszcze z nim nie skończyłaś? – zdziwił się, widząc jak Baśka mocuje się z nożem wbitym w arbuza.

– Wyobraź sobie, że nie. To tylko z boku wygląda na coś łatwego – stęknęła, napierając na nóż całym ciężarem ciała.

– Daj, zrobię to za ciebie – zaproponował, odsuwając ją delikatnie na bok. Rzeczywiście przepołowienie owocu nawet jemu przyszło z niemałym trudem. Przedzielenie połówek na ćwiartki było już znacznie łatwiejsze.

– Dzięki, dalej dam sobie radę – powiedziała, Baśka odbierając mu długi ostry nóż.

– Tylko z tym toporkiem to uważaj, żebyś sobie paluchów nie poobcinała – przestrzegł, opierając się o parapet i obserwując, jak zręcznymi ruchami dzieli ćwiartki arbuza na plastry.

– To ty lepiej uważaj, bo jak będziesz niegrzeczny to tobie coś obetnę – zagroziła, spoglądając wymownie na jego krocze – a wiem, że byłoby co ucinać – dodała, podchodząc z wyciągniętym nożem. Ostрым czubkiem dotknęła szerokiej gumki bokserek. Wolną dłoń wsunęła pod materiał, obejmujący pęczniejszy organ. Bartek wstrzymał oddech, bojąc się napierającego ostrza.

– Coś tu komuś urosło – wymruczała, oblizując usta. Spojrzała mu figlarnie w oczy i odłożyła nóż na parapet. Wprawnym ruchem zsunęła bokserki aż do kostek. Ujęła twardego penisa w obie dłonie i zaczęła masować leniwymi ruchami. Delikatnie ściągnęła napletek, ukazując czerwoną, gładką i lśniącą żołądz. Przejechała po niej opuszką kciuka, a następnie uklękła i oplotła ją wargami. Bartek jęknął przeciągle i wplótł palce w jej włosy, dyktując rytm w jakim poruszała głową.

– Przygotuj łóżko, a ja wskoczę pod prysznic – poleciała, przerywając pieszczotę. Zrobił tak jak powiedziała. Zrzucił narzutę odsłaniając szarą pościel w żółte tulipany. Po minucie Baśka wyszła z łazienki naga i mokra.

„Musi być napalona, skoro nawet nie przejmowała się użyciem ręcznika” – pomyślał, obserwując jej pełne piersi z bordowymi sterczącymi brodawkami i wygoloną muszelkę.

– Puść jeszcze jakąś muzykę z netu – poprosiła – a ja przyniosę arbuza – dodała, znikając w kuchni. Przekręcił się na brzuch i wybudził laptopa z czuwania. Miał już odpalać YouTube, kiedy jego uwagę przykuł jeden z linków na trójmiejskim serwisie.

– O Jezu – zawołał po przeczytaniu krótkiego wstępu.

– Co jest? – zaniepokoiła się Baśka, wchodząc do pokoju z paterą pełną różowych plastrów.

– Tu piszą, że dzisiaj około godziny dwunastej w lesie niedaleko Pruszcza Gdańskiego odnaleziono zwłoki poszukiwanej Klementyny Wiertnickiej... – chciał coś jeszcze dodać, ale słysząc za sobą brzęk tłuczonego szkła odwrócił się błyskawicznie. Baśka opierała się o futrynę. Jej jeszcze przed chwilą zaróżowiona twarz była teraz niemal biała. Szeroko otwarte oczy patrzyły gdzieś w nieznaną, przypominając spojrzenie kogoś dobrze naćpanego. U jej stóp leżała rozbita patera z arbuzem.

– To nie możliwe, to nie możliwe – powtarzała bez przerwy, zakrywając dłońmi piersi i łono, tak jakby nagle poczuła wstyd. Bartek również nie rozumiał, co to wszystko ma znaczyć. Przecież nie dalej jak dwa dni temu Klementyna przesłała Baśce wiadomość, z której wynikało, że musi na jakiś czas zniknąć. Może gdyby nie widział tego SMS-a na własne oczy, to by nie uwierzył. Poza tym domyślał się, dlaczego Klementyna postanowiła zniknąć. Z artykułu nie wynikało, co było przyczyną śmierci. Mimowolnie wyobraźnia podsunęła mu wizję wiszącego na gałęzi ciała. Jeśli popełniła samobójstwo, to on – tak, on też – miał w tym swój udział. Baśka nadal stała w drzwiach, powtarzając jak mantrę:

– To niemożliwe, to nie możliwe...

Miał ochotę do niej podejść, przytulić i powiedzieć coś pocieszającego, ale nie potrafił. Po chwili Baśka odwróciła się na pięcie i weszła do łazienki. Kiedy wyszła po kilku minutach była już ubrana, uczesana i tylko blada twarz nie zdążyła się zaróżowić.

– Bartek, muszę się przejść – oznajmiła, wsuwając sandały na bose stopy.

– Poczekaj pójdę z tobą tylko się ubiorę.

– Nie, teraz chcę być sama – odmówiła, otwierając drzwi. – Proszę tylko, abyś posprzątał ten bałagan – dodała, wskazując dłonią na różowego arbuza wymieszanego z odłamkami szklanej patery.

„Kobiety to jednak są z innej planety” – pomyślał, kiedy już został sam. Sądził, że w takiej sytuacji obecność kogoś bliskiego powinna przecież pomagać, dodawać otuchy. Tym czasem Baśka wolała pójść sama na spacer. Wstał wyciągnął z szafki pod zlewem szufelkę, zmiotkę i posprzątał coś, co jeszcze przed paroma minutami miało ich ochłodzić po dzikim, intensywnym

i wyuzdanym seksie. Oboje lubili łóżkowe eksperymenty łącznie z pozycją 69 i analem. Mimo zamiecienia i wyzbierania szkieł podłoga nadal się kleiła. Zmoczył więc szmatę i wytarł ją kilka razy. Kiedy już uznał, że efekt jest zadowalający, z powrotem usiadł przy laptopie. Sprawdził pozostałe trójmiejskie serwisy. Wszędzie pisano mniej więcej to samo. W lesie blisko Pruszcza Gdańskiego spacerowicze znaleźli zwłoki młodej dziewczyny. Jak poinformowała policja, zostało ono zidentyfikowane jako ciało Klementyny Wiertnickiej, która zaginęła 20 czerwca w godzinach wieczornych. Kilka portali zamieściło również jej zdjęcie. To samo, które dostarczyli policji, gdy zgłosili zaginięcie. Bartek spoglądał na uśmiechniętą Klementynę, a pamięć – nie pytając go o zgodę – zaczęła odtwarzać wspomnienia. Pierwszy raz, kiedy wylądowali w łóżku, nie należał wcale do szczególnie romantycznych. Było to w połowie kwietnia. Baśka wyjechała na Święta Wielkanocne do rodziny. On musiał nadgonić zaległości w nauce, a poza tym miał jeszcze pracę. Podobnie jak Klementyna sam zarabiał na swoje utrzymanie. Choć w przeciwieństwie do niej, od czasu do czasu ojciec podsyłał mu tysiąc lub dwa. Ona natomiast nawet na takie wsparcie nie mogła liczyć. Tego dnia wrócił z pracy około dziewiętnastej. Klementyny nie było w mieszkaniu. Wziął prysznic i usiadł z piwem przy kuchennym stole. Próbował wkuwać ściagi z wykładów, ale z marnym skutkiem. Klementyna wróciła około dwudziestej i ku jego zdziwieniu była już dobrze wstawiona. Widząc na stole butelkę po piwie, zapytała, czy nie ma czasami jeszcze jednego. Miał i to kilka. Poczęstował ją. Kiedy opróżniła połowę zapytała, czy chciałby, aby dla niego zatańczyła. Sądząc, że to żart powiedział, że bardzo chętnie popatrzy na jej kocie ruchy. Początek nie należał do udanych kilka razy uderzyła o kuchenne szafki.

– Bartuś, tu po prostu jest, kurwa, za mało miejsca – oznajmiła lekko bełkotliwym tonem. Przeszli więc do ich pokoju. Najpierw zrzuciła bordowe skórzane kozaczki na wysokim obcasie. Później czarną sukienkę. Kiedy została w samej bieliznie nie przestała się śpieszyć. Mimo stanu, w jakim się znajdowała, jej ruchy miały w sobie grację, zmysłowość i podziały na niego tak bardzo, że aż sam był tym zaskoczony. Klementyna jakby tylko na to czekała. Pchnęła go na łóżko, kilkoma zdecydowanymi ruchami uwolniła jego żołnierzyka. W taki sam sposób pozbyła się koronkowych majteczek, a później go dosiadła i ujeżdżała

z wprawą, jakiej Baśka mogłaby jej pozazdrościć. Bartek zamknął laptopa, a jego dłoń mimowolnie powędrowała w miejsce, gdzie czekał na nią sztywny członek. Przypominając sobie wszystko to, co później nastąpiło tamtej nocy, zaczął się masturbować. Kiedy doszedł, usłyszał dźwięk przekręcanego klucza. Zerwał się z łóżka i popędził do łazienki.

– Już jestem – usłyszał głos Baśki, kiedy zamykał za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 31

Wbijając ostrze łopaty w miękką brunatną ziemię, Rozalia Pawlak miała nadzieję, że niczego tutaj nie znajda. Co więcej, modliła się, aby tak właśnie było. Ona, która od dłuższego czasu, a konkretnie – od śmierci matki, unikała kościoła, teraz wzywała pomocy najwyższego. Niestety, najwyższy jej nie wysłuchał. Czy była to kara za zdradę religii przodków? Tego nie wiedziała. Jej ojciec był kościelnym i organistą, matka wierzyła równie gorliwie, a ona w pewnym momencie po prostu przestała. Nie miało to związku z jakąś tragedią, której doświadczyła. Słyszała o ludziach dotkniętych jakimś nieszczęściem obwiniających Boga za to, co ich spotkało. W jej przypadku nic takiego nie miało miejsca. Mimo że ziemia była mokra po ostatniej ulewie, szło im dość opornie. Pies przysiadł pod jednym z drzew i obserwował je z zainteresowaniem. Zapewne jego psi umysł zastanawiał się, co te dwie staruchy robią. Na całe szczęście świadkiem i to takim, który nie mógł zeznawać, był tylko jamnik.

– Jest, jest! – krzyknęła Bożena, kiedy zobaczyła wystającą z ziemi dłoń. – A więc jednak miałaś rację – dodała, spoglądając na Rozalię błyszczącymi oczami. Ale najdziwniejsze było coś zupełnie innego. Bożena się uśmiechała tak, jakby właśnie znalazły wielki skarb, a nie martwe ciało zamordowanej dziewczyny. Rozalia nie potrafiła tego zrozumieć. Jednak w tej krótkiej i było nie było makabrycznej chwili dotarło do niej, że wszystkie jej sny nie były tylko dziwaczną grą wyobraźni i rzeczywistych zdarzeń, ale przekazywały wizję. Nie wiedzieć czemu, pomyślała nagle o świętym Tomasz, który uwierzył dopiero wtedy, gdy zobaczył. Przerwały kopanie i Gorczyńska przywołała psa. W jego bursztynowych psich oczach czaił się strach, jakby zdawał sobie sprawę z tego, co się właśnie dzieje. Przyjaciółka niemal siłą zmusiła biedne zwierzę, aby polizało martwe palce.

– To na wypadek, gdyby policja przebadala zwłoki na obecność psiej sierści czy śliny – wyjaśniła tonem konesera literatury kryminalnej, który tyle już

przeczytał, że znał patent na każdą typową i nietypową sytuację. Rozalia podejrzewała, że plan dotyczący wykopania zwłok też nie był autorskim pomysłem Bożeny, lecz przyjaciółka zapożyczyła go z jakiegoś kryminału. Wróciły do samochodu, schowały łopaty do bagażnika i dopiero wtedy zadzwoniły na policję. Usiadły pod drewnianą wiatą dającą cień i czekały. Wokół panowała cisza przerywana tylko co jakiś czas przejeżdżającym po niedalekich torach pociągami. Pierwszy radiowóz przyjechał po pół godziny. Wysiadło z niego dwóch policjantów. Wyższy z nich rozejrzał się uważnie po okolicy, próbując zapewne zlokalizować znalezisko, o którym telefonicznie poinformowały dwie spacerowiczki. Jego mina zdradzała zdumienie. Drugi z funkcjonariuszy sporo starszy od kolegi natychmiast do nich podszedł.

– To panie dzwoniły na policję z informacją o znalezionych zwłokach? – zapytał, przypatrując się im uważnie jakby chciał ocenić, czy ma do czynienia z miłymi starszymi damami czy też ze staruszkami, którym brakuje w głowie kilku klepek.

– Tak, to ja telefonowałam – odpowiedziała Bożena, wcielając się w rolę. Przyjaciółka przez pewien czas występowała w amatorskim teatrze, więc odegranie przestraszonej starszej pani, która podczas spaceru po lesie znajduje zakopane ciało, nie nastęczyło jej problemów. Co więcej, Rozalia zaobserwowała, że odgrywanie swojej kwestii sprawia Bożenie przyjemność. Policjant poprosił o dokumenty, a kiedy je otrzymał, ruchem ręki przywołał kolegę.

– Jurek, zanotuj dane tych pań – polecił i wrócił do rozmowy z Bożeną.

– Może mi pani pokazać to miejsce? – poprosił, ocierając dłonią pot z czoła.

– Ależ oczywiście, panie władzo. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się przestraszyłam, kiedy ten mój niesforny psiak pognął między drzewa i zaczął wściekle ujadać. Poszłam za nim i wtedy to zobaczyłam – relacjonowała Bożena po drodze. Gdy policjant zobaczył palce wystające z mokrej ziemi najpierw lekko pobladł, a następnie natychmiast zawiadomił kogo trzeba. Na kolejne samochody przyszło im czekać jedynie parę minut. Policjantów, którzy rozmawiali z Bożeną jakoś nie zastanawiało, dlaczego dwie starsze panie, mieszkanki Gdańska wybrały się z psem do lasu odległego o ponad trzydzieści kilometrów od ich miejsca zamieszkania. Rozalię, mimo że nie była policjantką,

na pewno by to zainteresowało. Mniej więcej po godzinie dano im spokój, choć nie pozwolono odjechać do domu. Z rozmów, jakie funkcjonariusze prowadzili między sobą, wynikało, że czekają na kogoś z komendy w Gdańsku. Rozalia miała tylko nadzieję, że nie będzie to nikt, kto skojarzy, że kilka dni wcześniej była na komendzie właśnie w sprawie Klementyny Wiertnickiej. Niestety, gdy tylko zobaczyła, jak z białego samochodu wysiada wysoka blondynka o zielonych oczach, zrzędlą jej mina. Mimo że kobieta była ubrana po cywilnemu Rozalia, wiedziała, że to ta sama policjantka, którą rozmawiała o swoich dziwnych snach.

„Policjanci z Pruszcza uwierzyli w bajeczkę o przypadkowym odnalezieniu zwłok, ale policjantka z Gdańska z pewnością tego nie kupi” – pomyślała Rozalia, kiedy kobieta zatrzymała się obok ławeczki na której siedziały.

– Dzień dobry, pani Rozalio.

W tonie policjantki nie było żadnego zdziwienia, jakby fakt, że kilka dni temu rozmawiały, a dzisiaj spotykają się na miejscu odnalezienia ciała kogoś, kto był przedmiotem ich rozmowy, uważała za coś normalnego.

– Dzień dobry, pani aspirant – odpowiedziała Rozalia, zastanawiając się, czy powinna pierwsza nawiązać do ich poprzedniego spotkania.

– A więc ją pani znalazła – ton, jakim policjantka wypowiedziała te słowa, sugerował bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– To ja znalazłam ciało – wtrąciła Bożena – a raczej mój pies – poprawiła się, wskazując dłonią leżącego w cieniu wiaty jamnika.

– Gratuluję, bardzo zdolnego ma pani psa – pochwaliła policjantka, nawet nie próbując ukryć ironii.

– Z tego wniosek, że nie wszystkie psy są mądre – odpowiedziała Gorczyńska. Nawet jeśli miała to być aluzja do policjantów powszechnie w pewnych kręgach nazywanych „psami”, Solińska tego nie skomentowała.

– Sądzę, pani Rozalio, że będziemy musiały sobie szczerze porozmawiać – rzuciła, odchodząc w stronę lasu.

ROZDZIAŁ 32

W takich wypadkach Woronko doceniał zalety motocykla. Podczas kiedy inni kierowcy siedzieli wkurzeni w samochodach, klnąc w myślach, na czym świat stoi, i zawzięcie wciskając klakson, on mijał ich poboczem, posyłając tym bardziej wkurzonym serdeczny uśmiech, który jeszcze bardziej ich wnerwiało. Kierując się wskazówkami Solińskiej, bez większych przeszkód dotarł na miejsce. Tylko raz źle skręcił na leśnym skrzyżowaniu, sugerując się śladami opon. Obok drewnianej wiaty zaparkowała czarna toyota yaris oraz jeden radiowóz.

– Tu nie wolno wjeżdżać! – rzucił nieprzyjaźnie młody policjant, podchodząc do motocykla. Na widok legitymacji pobrał.

– Przepraszam, panie komisarzu, nie wiedziałem – wyjąkał, przestępując z nogi na nogę.

– Gdzie teraz?

– Pojedzie pan tą drogą w las, stąd to jakieś pół kilometra – Woronko skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku. Mijając drewnianą wiatę, zobaczył dwie starsze panie siedzące na ławeczce. Niższa z nich wydała mu się dziwnie znajoma. Już gdzieś kiedyś ją widział, ale teraz nie potrafił przypomnieć sobie ani miejsca, ani okoliczności. Wjechał w las i zwolnił. Droga nie dość, że wyboista to jeszcze w niektórych miejscach była grząska. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to lądowanie w błocie.

„To by koledzy z Pruszcza mieli ubaw, gdyby zobaczyli go umorusanego błotem” – pomyślał, przejeżdżając drewniany mostek. Pokonał zakręt, wjechał na lekkie wzniesienie i w oddali między drzewami zobaczył kilka samochodów. Zaparkował obok suzuki Solińskiej i ruszył w stronę grupki zgromadzonej przy szarej furgonetce. Poza Solińską i kilkoma technikami, którzy jakimś cudem mimo korków dotarli tu przed nim, znał jeszcze tylko jedną osobę – Dorotę Puszkin – ekscentryczną panią prokurator. Pracowali razem przy kilku

sprawach. Poza walorami, na które wszyscy faceci zwracali uwagę dysponowała czymś, co Woronko nazywał ostrym umysłem. Niemal natychmiast dostrzegła nieścisłości lub powiązania. Niejeden policjant adwokat czy prokurator mógłby się od niej nauczyć perfekcyjnej dedukcji. Niestety Puszkina miała też swoje wady. Uwielbiała biurokrację. Na wszystko musiała wydać odpowiedni papierek i na wszystko żądała odpowiedniego papierka. Puszkina przywitała go chłodnym: „Dzień dobry, panie komisarzu”. Odpowiedział tym samym, a z pozostałymi wymienił uścisk dłoni. Zwłoki leżały kilka metrów dalej. Dwóch techników oczyszczało je z ziemi i zabezpieczało ślady. Woronko zdawał sobie sprawę, że woda i ziemia były najgorszymi wrogami wszystkich techników kryminalnych. Potrafiły w niedługim czasie zniszczyć większość śladów.

– Co mamy? – pytanie skierował do wszystkich, ale jakoś nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Dopiero Solińska podjęła wyzwanie. Widać było, że nie czuje się z tym dobrze. Komisarz doskonale ją rozumiał. Właśnie pracowała nie na swoim terenie i oczekiwała, że to chłopcy z Pruszcza zechcą zreferować skromne ustalenia.

– Tak, jak ci już powiedziałam przez telefon, najpewniej to Klementyna Wiertnicka. Ciało znajdowało się zakopane na głębokości około pół metra. Wstępne ustalenia wskazują, że przebywało pod ziemią co najmniej pięć – siedem dni. Przyczyna zgonu, oczywiście, także wstępna, uduszenie. Więcej szczegółów jak zwykle po sekcji. Poza zegarkiem, kilkoma pierścionkami, łańcuszkiem i kolczykami denatka nie posiadała przy sobie żadnych przedmiotów osobistych. Zwłoki kompletnie ubrane.

Woronko słuchał, próbując jednocześnie wyciągać dalsze wnioski z otrzymanych informacji. Jeśli ciało przebywało pod ziemią co najmniej pięć dni, to dziewczyną z klubu i dworca nie mogła być Wiertnicka. To również nie Wiertnicka wysłała SMS do Barbary Skowrońskiej. Ktokolwiek wysłał wiadomość musiał wiedzieć, że dziewczyny mieszkają razem. To był już jakiś punkt zaczepienia. Ofiara miała przy sobie biżuterię, a w znalezionej dwa dni wcześniej torebce był portfel z pieniędzmi. To mogło sugerować, że motywem nie był rabunek. Z kolei fakt, że dziewczyna była ubrana, wykluczał podłoże seksualne. Były to oczywiście spostrzeżenia na gorąco i wszystkie je należało dokładnie sprawdzić. Niemniej jednak to, co już wiedzieli, pozwalało ruszyć

z miejsca. Paradoksalnie odczuwał zadowolenie, choć lepszym określeniem była „ulga” z powodu znalezienia zwłok. Ciało to był konkret, a skoro mieli ciało, to należało poszukać mordercy.

– Ma pani jakieś uwagi? – zwrócił się do Puszkina. Prokurator obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

– Panie komisarzu mam tylko nadzieję, że będę o wszystkim informowana na bieżąco.

W języku Doroty Puszkina oznaczało to składanie na jej biurku przynajmniej jednego raportu dziennie. Dawniej Woronko uważał to za niepotrzebną biurokrację, ale odkąd zjawiała się Solińska, zupełnie mu to nie przeszkadzało. Przecież to i tak ona będzie je wszystkie pisała.

– Oczywiście, zgodnie z przyzwyczajeniami, jakim hołduje pani od wielu, wielu lat, raporty będą trafiały na pani biurko każdego dnia około trzynastej – obiecał, nawet nie próbując ukryć drwiny.

– To dobrze, że się rozumiemy – oświadczyła i ruszyła do samochodu. Woronko przez chwilę patrzył za kobietą, po czym niechętnie ruszył w stronę leżącego ciała. Widok, jak mógł się spodziewać, nie był zachwycający. Nabrzmiała twarz i zapadnięte oczy miały niewiele wspólnego z tym, co komisarz widział na zdjęciu, które przez ostatni tydzień publikowano w gazetach, Internecie i pokazywano w telewizji.

– Koszmarne – westchnęła Solińska, stając obok.

– Kaśka, nie jest to przyjemny widok, ale uwierz mi, że do koszmaru to jeszcze sporo brakuje – odpowiedział, przypatrując się wyraźnie odcisniętej prędze na szyi denatki. Miał zamiar opowiedzieć trochę Solińskiej o prawdziwych koszmarach, które widział na własne oczy. O kobiecie zabitej i poćwiartowanej przez męża. O nastolatce, którą koleżanki zabiły zwykłym kuchennym nożem, zadając jej ponad sto ciosów. Jednak obawiał się, czy policjantka wytrzyma takie opowieści.

– Chodźmy, nic tu po nas – stwierdził, ruszając w stronę drogi.

– Janusz, jak załatwiłeś, że Pruszczyk przekazał nam śledztwo? Przecież formalnie to oni powinni je prowadzić?

– Kaśka, jeszcze przed wyjazdem odwiedziłem Piotrowskiego. Naświetliłem mu sytuację i powiedziałem, żeby ruszył chudy tyłek z fotela i załatwił przejęcie

sprawy – rozbawiony wzrok Solińskiej wskazywał, że nie wierzy ona w ani jedno jego słowo. Co prawda, podkoloryzował opowieść, ale tylko trochę. Natychmiast po telefonie od Solińskiej poszedł do Piotrowskiego. Odnalezienie zwłok Wiertnickiej nie specjalnie mu się spodobało. Jednak gdy Woronko poprosił go o wystąpienie z wnioskiem o przejęcie sprawy, otworzył szeroko oczy.

– Janusz, no nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł – oświadczył, marszcząc grube krzaczaste brwi. – Po co nam, a raczej tobie i Solińskiej ta sprawa? Nie lepiej, aby tym razem to chłopcy z Pruszcza się wykazali? – chciał zasugerować, aby przystopował z łapaniem morderców i zajął się czymś o mniejszym kalibrze.

– Bogdan, razem z Solińską prowadzimy tę sprawę od samego początku. Ofiara mieszkała w Gdańsku, większość świadków jest z Gdańska, więc weźmy tę sprawę.

Piotrowski namyślał się przez chwilę. Doskonale wiedział, że Woronko tak łatwo nie odpuści. Kąsek, jakim było złapanie mordercy, był zbyt łakomy.

– No dobra, Janusz, zobaczę, co da się zrobić – powiedział z wyraźną niechęcią w głosie. Oczywiście gdyby ktoś z Pruszcza się uparł, sprawa zostałaby na miejscu, ale komisarz wątpił w taki scenariusz. Już bardziej prawdopodobne było, że połowa tamtejszej komendy zrzuci się na kwiaty dla niego z podziękowaniem za zabranie im słabo rokującego śledztwa. To nie była jedna z tych prostych spraw, gdzie ktoś kogoś pchnął nożem podczas rodzinnej biesiady, gdzie byli świadkowie, świeże ślady i sprawę w parę dni można było oddać prokuratorowi. Morderca Wiertnickiej, jeśli zostawił jakieś ślady, to zostały one skutecznie zatarte przez ostatnią ulewę.

– To teraz ty mi powiedz, kto znalazł ciało.

Solińska wyglądała tak, jakby miała zamiar powiedzieć coś, co mu się nie spodoba.

– Ciało znalazły dwie spacerowiczki. Wybrały się z psem do lasu i on je wywęszył.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Ja nie, ale ktoś z Pruszcza miał zebrać zeznania.

– Myślę, że powinniśmy je przesłuchać osobiście – oznajmił Woronko, wyjmując z paczki papierosa. – Zbyt wiele to do śledztwa nie wniesie, ale od czegoś trzeba zacząć – dodał, zaciągając się z widoczną przyjemnością.

ROZDZIAŁ 33

„Kobiety mają jednak delikatniejszą naturę od mężczyzn” – pomyślał Bartek, obserwując zachowanie Baški. Śmierć Klementyny nim również wstrząsnęła i gdyby doszukiwać się powodów do okazywania żalu, on miał ich więcej. Choćby fakt, że spali z sobą, już czynił ich relację bardziej osobistą. Nawet jeśli był to tylko zwykły czysty seks bez głębszego uczucia. A mimo to czuł, że to nie on, ale Baška jest mocniej wstrząśnięta śmiercią współlokatorki. Może odbierała to bardziej emocjonalnie, podczas gdy on logicznie kalkulował swoją sytuację, a nie należała ona do łatwych. Fakt odnalezienia zwłok Klementyny sprowadzał na niego pewne kłopoty. Tyle, że jeśli policja odpowiednio je zinterpretuje, owe „kłopoty” staną się „zajebistym problemem”. Zastanawiał się nie czy, ale jak szybko dotrą do niego. Nie znał się zupełnie na technikach kryminalistycznych, ale jeśli wierzyć kilku książkom kryminalnym, jakie przeczytał, obecnie stosowane metody potrafiły czynić cuda. Po przeanalizowaniu swojego położenia doszedł do wniosku, że po pierwsze musi ze śmierci Klementyny zrobić odpowiedni użytek, a fakt, że Baška została poproszona przez policję o dokonanie identyfikacji, był ku temu doskonałym pretekstem. Po drugie sam powinien zgłosić się na policję i wszystko im opowiedzieć. Dzięki temu będzie wyglądał na mniej podejrzanego. A jeśli go zapytają, dlaczego wcześniej niczego nie powiedział oświadczy, że nie sądził, aby to miało jakieś szczególne znaczenie. Z rozmyślań wyrwało go pojawienie się przed blokiem radiowozu.

– Basiu, już przyjechali, musimy się zbierać.

W odpowiedzi dziewczyna jedynie skinęła głową i przeszła do przedpokojku. Mieli pojechać do prosektorium zidentyfikować ciało Klementyny. Uważał to za niepotrzebne. Policja dysponowała przecież zdjęciami, na podstawie których mogli stwierdzić, czy odnalezioną kobietą jest Klementyna. Ale jak wyjaśniła im aspirant Katarzyna Solińska, takie były procedury. Zostali wytypowani, ponieważ mieszkali z Klementyną. Dopiero teraz Bartek uświadomił sobie, jak

bardzo ta dziewczyna była samotna, skoro to nie rodzina, ale obcy ludzie mieli ją zidentyfikować. Wnętrze prosektorium wyglądało niemal identycznie jak w filmach. Białe płytki na ścianach i kilka metalowych stołów, na których przeprowadzano sekcję zwłok. W powietrzu unosił się dziwny zapach.

„Jeśli tak pachną trupy, to rzeczywiście trzeba mieć stalowe nerwy, aby pracować w takim miejscu” – pomyślał Bartek z niepokojem, obserwując bladą twarz Baśki.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony.

– Spokojnie, dam radę – odpowiedziała, ruszając do stołu, przy którym stała dość młoda kobieta w białym fartuchu. Poza nimi, towarzyszącym im policjantem i przykrytym białym prześcieradłem ciałem, w pomieszczeniu nie było nikogo. Kobieta upewniła się, że są tymi, na których czekała, a następnie założyła lateksowe rękawiczki i podeszła do szczytu stołu.

– To nie będzie przyjemny widok – uprzedziła, chwytając za krawędź materiału. To, co zobaczyli, było dalekie od tego, czego Bartek się spodziewał. Sądził, że ujrzą twarz, w której trudno będzie rozpoznać ich współlokatorkę. Tym czasem poza nabrzmieniami i dziwnym kolorem skóry wyglądała normalnie.

– Tak, to Klementyna Wiertnicka – powiedziała Baśka.

Kobieta w kitlu zasłoniła ciało, podziękowała i odprowadziła ich do wyjścia. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Bartek odetchnął głęboko. Powietrze było gorące, ale przynajmniej nie unosił się w nim ten słodkawy zapach śmierci. Policjantowi, który miał ich odwieźć do mieszkania, podziękowali, mówiąc, że wrócą piechotą. Po drodze wstąpili do napotkanej Biedronki na drobne zakupy.

– Jak myślisz, kto mógł ją zabić? – spytała zniecka Baśka, pakując do papierowej torebki jeszcze ciepłe bułki.

– Że też sobie moment na takie pytania znalazłaś – prychnął Bartek, rozglądając się dyskretnie wokół, by sprawdzić, czy ktoś usłyszał jej pytanie.

– A kiedy mam o to zapytać? Nad jej grobem? – wypaliła, wrzucając woreczek z bułkami do koszyka.

– Nie wiem, kto to mógł zrobić – odpowiedział, mając nadzieję, że Baśka nie ma w zanadrzu więcej podobnych pytań.

– A myślisz, że przed śmiercią została zgwałcona? – o ile poprzednie pytanie uznał za niestosowne, biorąc pod uwagę miejsce w jakim się znajdowali, to pytanie o gwałt było zwyczajnie obrzydliwe.

– A skąd ten pomysł, że mogła zostać zgwałcona?

– Bartek, przecież młode dziewczyny napada się po to, by je zgwałcić lub ewentualnie okraść. W przypadku Klementyny ta druga opcja raczej nie wchodzi w rachubę.

W pewnym sensie miała rację. Ileż to razy czytał o napadach na młode kobiety, których motywem było tło seksualne. Uważał jednak, że motywu rabunkowego nie można wykluczyć. Przecież tego dnia, gdy Klementyna zaginęła, osobiście wręczył jej kopertę z dziesięcioma tysiącami złotych. Ale Baśka o tym nie wiedziała i miał nadzieję, że nigdy się nie dowie. Powiedzenie jej tego oznaczało kolejne kłopoty. Zaczęłyby drażnić ten temat. Pierwsze pytanie, jakie sobie wyobraził brzmiałoby: „Bartek, skąd miałeś tyle forsy?” Byłoby to jedyne pytanie, na które mógłby odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że zaciągnął pożyczkę w banku. Co prawda, musiał się trochę nagimnastykować z zaświadczeniami, ale jakoś poszło i bank udzielił mu kredytu, a właściwie limitu w koncie osobistym. Później zaczęłyby dopytywać, czemu jej pożyczył, na co jej pożyczył, nie pomijając również pytania o to, kiedy odda. Gdyby chodziło o tysiąc lub dwa, mógłby wymyślić jakąś historyjkę, ale przy dziesięciu tysiącach żadna bajeczka nie brzmiałaby zbyt wiarygodnie. Tym bardziej, że Baśka miała jakiś taki dziwny zmysł, który informował ją, kiedy kłamał. Dlatego postanowił, że o ile pójście na policję to mądra decyzja, to powiedzenie o całej sprawie Baśce będzie z jego strony głupotą. A on nie zamierzał popełniać więcej głupstw.

– Myślę, że znalezienie sprawcy i motywu nie jest naszą sprawą – skwitował, podchodząc do regału z sokami.

– Jaki chcesz na drogę – spytał, kierując uwagę dziewczyny na inny temat. Jeszcze przed wizytą w prosektorium Baśka zapowiedziała, że na kilka dni wyjeżdża do rodziców.

– Wiesz, muszę od tego wszystkiego odpocząć – przyznał jej rację, a nawet zaproponował, że ją odwiezie. Odmówiła, prosząc jedynie o pożyczanie samochodu. Właściwie nie miał nic przeciwko. Sam poruszał się po trójmieście komunikacją miejską lub na piechotę. Bał się jedynie, że jego ford, który

nieuchronnie zbliżał się do pełnoletności, rozkraczy się jej gdzieś po drodze. Zastanawiał się, czy pójść na policję jeszcze dzisiaj czy odłożyć to na jutro. Dochodziła już szesnasta, a zanim dokończą zakupy i dotrą do mieszkania, minie przynajmniej jeszcze godzina. Poza tym nie miał pewności, że Baśka wyruszy od razu. W końcu zdecydował, że te kilkanaście godzin nie zrobi żadnej różnicy. Tym bardziej, że musiał jeszcze dzisiaj załatwić inną równie ważną sprawę. Po odjeździe Baśki odczekał godzinę. Tak na wszelki wypadek, gdyby czegoś zapomniała, albo się rozmyśliła i postanowiła wrócić. Sprawdzał jeszcze raz, jak najszybciej dotrze do klimatycznej knajpki niedaleko Targu Rakowego. Odkrył to miejsce jakiś czas temu, gdy pewnego dnia włóczyli się z Baśką po gdańskiej starówce. Lokal był niewielki, prowadzony przez Irlandczyka i jego żonę, Polkę. Specjalnością były, oczywiście, piwa z zielonej wyspy. Kiedy po godzinie dotarł na miejsce, łysy chudzielec trochę starszy od niego już czekał.

– Spóźniłeś się pięć minut – oznajmił na przywitaniu. Bartek nie zareagował na przyganę, tylko położył przed mężczyzną brązową kopertę. Tamten sięgnął po nią i wyjął ze środka kilka fotografii. W oczach chudzielca pojawiło się zainteresowanie.

– Dobra robota – pochwalił, chowając zdjęcia z powrotem do koperty.

– Dwadzieścia tysięcy – rzucił Bartek, ignorując komplement i od razu przechodząc do sedna spotkania. Gęste czarne brwi łysego uniosły się wysoko.

– Tyle to mogę ci zapłacić, jak przyniesiesz mi fotki Lewandowskiego sikającego na murawę – odpowiedział z szerokim uśmiechem.

– W takim razie zastanów się, czy to dobra robota, jak mówiłeś, czy też nie – odparł Bartek, chowając kopertę do plecaka.

– Robota rzeczywiście jest prima sort, ale nie na dwadzieścia tysięcy. Możemy zaproponować – zamilkł i przez chwilę obliczał coś w myślach – cztery tysiące – rzucił w końcu.

– Konkurencja bez targowania da piętnaście – powiedział Bartek, wstając od stolika. Chciał odejść, ale chudzielec przytrzymał go za ramię.

– Powiedzmy sobie szczerze, ty zażądałeś kwoty, o której wiesz, że jest nierealna. Ja zaproponowałem najniższą, która cię nie obrazi. Ale pomiędzy nimi jest jeszcze sporo miejsca na dyskusję – wyjaśnił, nie zwalniając uścisku.

Siadając z powrotem, Bartek wiedział, że dobiją targu. Kiedy kwadrans później opuszczał lokal, zamiast koperty miał w plecaku dziesięć tysięcy.

„Akurat tyle, ile musiałem dać Klementynie” – pomyślał, ruszając w stronę przystanku autobusowego. Następnego dnia wstał wcześniej niż zwykle. Trochę dziwnie było obudzić się bez Baśki u boku. Idąc do łazienki, zajrzał do pokoju, który zajmowała Klementyna. Teraz o jej obecności w tym miejscu świadczyły jedynie kilka kartonowych pudeł. Policja miała je dzisiaj zabrać jako dowody w sprawie. Nadal nie mógł uwierzyć, że ktoś ją zamordował, a ciało zakopał. O takich przypadkach pisywano głównie w powieściach kryminalnych i bardzo rzadko w prasie. Wziął szybki prysznic, zjadł śniadanie i zasiadł przed laptopem. Był ciekaw, czy w ciągu ostatnich kilkunastu godzin pojawiły się jakieś nowe informacje. O morderstwie Klementyny nie pisano niczego nowego. Z jednej strony było to niepokojące, ale przecież nawet jeśli policja coś odkryła, nie leciała z tym od razu do mediów. Większość portali publikowała oświadczenie, jakie policja wydała po kilku godzinach od odnalezieniu ciała. Potwierdzano w nim, że w kompleksie leśnym niedaleko Pruszcza Gdańskiego dwie spacerowiczki odnalazły na wpół zakopane ciało. Zwłoki zostały przewiezione do zakładu medycyny sądowej w Gdańsku, gdzie po identyfikacji upewniono się, że ofiarą jest dwudziestoletnia studentka Klementyna Wiertnicka, która zaginęła 20 czerwca, w godzinach wieczornych niedaleko przystanku kolejki SKM Gdańsk-Przymorze. Dla dobra prowadzonego postępowania policja nie udziela więcej żadnych informacji. Wyjątkiem był jeden z ogólnopolskich serwisów. Właśnie tam Bartek znalazł to, czego szukał. Dziennikarze portalu, powołując się na anonimowego informatora, twierdzili, że prawdopodobną przyczyną śmierci studentki było uduszenie. Tekst okraszono kilkoma zdjęciami ukazującymi leżące na stole sekcyjnym zwłoki z odsłoniętą twarzą. Gdyby wczoraj Bartek nie widział zwłok, popierałby tych komentujących artykuł, którzy zarzucali, że opublikowana fotografia to fotomontaż. O tym, że to on jest autorem zdjęć, wiedział tylko chudzielec, ale dla dobra wszystkich nie chciał zdradzić swojego źródła. Kiedy Bartek przekroczył próg komendy dochodziła dziewiąta.

ROZDZIAŁ 34

Gdy tylko profil prowadzonej sprawy zmienił się z zaginięcia na zabójstwo cała machina nastawiona na złapanie sprawcy ruszyła ostro do przodu. Technicy ponownie sprawdzali wszystkie zgromadzone do tej pory ślady, a Solińska i Woronko zjawili się w pracy kilka minut po szóstej. Solińska zdążyła nawet przygotować sobie kilka solidnych hipotez dotyczących sprawcy i motywu. Jej zdaniem odpowiedzi na pytanie, kto mógł zamordować i zakopać ciało studentki, kryły się w jej skrzętnie ukrywanej profesji, o której tak naprawdę wiedziało niewiele. Oczywiście, potencjalnych sprawców należało poszukiwać wśród mężczyzn korzystających z usług erotycznych, jakie oferowała Wiertnicka. Co prawda, do tej pory mieli tylko Grzybowskiego. Przy odrobinie szczęścia mogli go jakoś podejść. Doskonale wiedziała, że samo udowodnienie, że był w mieszkaniu, które prawdopodobnie zamordowana wykorzystywała do spotkań z klientami, wcale nie oznaczało, że był on jednym z nich. Ku zdziwieniu Solińskiej Woronko miał podobne przemyślenia. Były, co prawda, pewne różnice. Komisarz obstawał przy tym, że za śmiercią Wiertnickiej stoi jej opiekun. Natomiast Solińska obstawiała jakiegoś klienta.

– Słuchaj, Kaśka, proponuję następujący podział zadań na dziś – zaczął, kiedy już skończyli omawianie swoich hipotez. – Pojedziesz do kawalerki na Obrońców Wybrzeża. Konieczny z chłopakami ponownie sprawdzają to mieszkanie. Ja natomiast złożę wizytę panu Grzybowskiemu. Na czternastą jesteśmy umówieni w Zakładzie Medycyny Sądowej z doktor – przerwał i zerknął do leżącego przed nim notesu – Marleną Sitkowską. Jakaś młoda patolożka, ale podobno bardzo obiecująca. Słyszałem, że potrafi przeprowadzać sekcję miesięcznego topielca, a kwadrans później, jakby nigdy nic, rozprawiać o tym przy obiedzie i to z wszystkimi szczegółami.

Jeśli jego wywód miał sprawić, że Solińska zblednie i popędzi do toalety, to spotkał go zawód.

– Dobra, mi to pasuje – zgodziła się policjantka. Musiała oddzwonić do kilku osób, a biuro w komendzie nie było do tego najlepszym miejscem. Już wczoraj odebrała kilka telefonów od zaprzyjaźnionych dziennikarzy, którzy delikatnie przypominali, że oto przyszedł czas zapłaty za przysługę, jaką jej wyświadczyli kilka dni temu. Obie strony wiedziały, że nagłośnienie zaginięcia młodej studentki w mediach nie było dla sprawy aż tak bardzo pomocne, jak liczyła Solińska. Jedynym konkretem był Jan Stępka, który tego feralnego dnia jechał z Wiertnicką autobusem. Pozostali świadkowie raczej sprawie zaszkodzili, ale zrobili to zupełnie nieświadomie, kierując się obywatelskim obowiązkiem. Co prawda, Solińska mogła wszystkich dziennikarzy odesłać do rzecznika prasowego, ale to oznaczało zerwanie kontaktów, które mogły się jeszcze kiedyś przydać. Wiedziała, że media nie zadowolą się byle czym. Dlatego musiała dać im coś na tyle ciekawego, żeby poczuli się docenieni, a jednocześnie na tyle mało istotnego, aby nie zaszkodzić śledztwu. Wsiadła do samochodu i pojechała w okolicę parku oliwskiego. Nie sądziła, aby miała w samochodzie podsłuch, ale takie rozmowy wolała przeprowadzać w miejscach minimalizujących ryzyko wpadki. Jakby nie było ujawnienie tajemnicy prowadzonego postępowania narażało ją na konsekwencję, o których nawet nie chciała myśleć. Kiedy znalazła już odpowiednie miejsce, wyjęła z torebki telefon. Miała pięć nieodebranych połączeń. Podczas pierwszej rozmowy czuła się nieswojo. Wyjaśniła dziennikarzowi jednego z trójmiejskich dzienników, że na razie wiedzą bardzo mało i dopiero ustalają wszystkie okoliczności, łącznie z przyczyną zgonu.

– Prawdopodobnie, ale nie traktuj tego jak czegoś pewnego. Ta studentka dorabiała sobie jako panienka do towarzystwa – wydusiła wreszcie, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Nie jest to jakaś szczególna sensacja, ale dobre i tyle – odparł rozmówca. Reakcja dwóch kolejnych była podobna. Dopiero czwarty z listy był bardziej zainteresowany.

– Kasia, a czy możesz potwierdzić rewelacje o tym, że ta dziewczyna została uduszona?

Solińska z miejsca zrozumiała, że coś jest nie tak. Rozmówca nie prosił o podanie ewentualnej przyczyny zgonu, ale prosił o jej potwierdzenie.

– A skąd, jeśli można wiedzieć, masz informację, że ją uduszono – zapytała, obserwując idącego w jej stronę gołębia.

Dziennikarz podał jej adres portalu i dodał, że poza wzmianką o przyczynie śmierci znajdzie tam również zdjęcia. Solińska nie miała pojęcia, o jakich zdjęciach mówił. Kiedy po zakończeniu uruchomiła przeglądarkę i znalazła podaną stronę poczuła wściekłość. Zdjęcia, jakie zobaczyła, nie pochodziły z policji, ale zostały zrobione w Zakładzie Medycyny Sądowej. Dodając do tego podanie przyczyny zgonu, otrzymywało się gotową odpowiedź. Informację oraz zdjęcia musiały wypłynąć z Zakładu Medycyny Sądowej, nie było innego logicznego wytłumaczenia. Już miała schować telefon do torebki, kiedy ten zawibrował jej w dłoni. Spojrzała na wyświetlacz, dzwonił Woronko. Jej zdenerwowanie w porównaniu z jego było niczym porównywanie wścieklej mrówki do rozjuszonego słonia.

– Co jest? – spytała odbierając połączenie.

– Kaśka, gdzie ty się do cholery podziewasz?

– Utknęłam w korku – skłamała, modląc się, by komisarz nie usłyszał w słuchawce głośnych treli ptactwa z pobliskiego drzewa.

– Jakbyś sobie motocykl kupiła to byś nie miała problemu z korkami – rzucił, ale dalej nie rozwinął tej myśli – Konieczny czeka na ciebie w tej kawalerce. Podobno coś tam znaleźli. Więc zamontuj skrzydła do swojego białego suzuki i leć tam najszybciej, jak potrafisz – polecił i zanim zdążyła odpowiedzieć, zakończył połączenie.

Konieczny z jeszcze jednym technikiem czekali na nią przed wejściem do mieszkania.

– Podobno coś znaleźliście? – spytała, próbując uspokoić oddech.

– Owszem, ale nie jest to aż tak ważne, by pędzić tu niczym sprinter na olimpiadzie – odpowiedział Konieczny, ruchem ręki zapraszając ją do środka.

– Zgodnie z sugestią przyjrzeliliśmy się jeszcze raz temu gniazdku – zaczął technik, stając na środku pokoju.

Na pierwszy rzut oka Solińska nie zauważyła żadnych zmian. Dopiero po chwili dostrzegła, że z sufitu zniknęła lampa w kształcie owalnego plafonu, a ze ścian tego samego rodzaju kinkiety.

– Nowych śladów nie stwierdziliśmy – kontynuował technik – ale jedna rzecz mnie zaintrygowała. Mieszkanie, mimo że dość czyste wyglądało, jakby było sprzątane może nie po łebkach, ale jakoś wyrywkowo. Na przykład w szafkach kuchennych zalegał kurz, parapety również były zakurzone. Ale lampa na suficie oraz kinkiety lśniły tak, jakby co drugi dzień je przecierano. Postanowiłem więc przyjrzeć się im nieco bliżej i odkryłem – zawiesił głos, chcąc wywołać efekt stopniowania napięcia – i odkryłem – powtórzył, podchodząc do Solińskiej – takie coś – pokazał przedmiot wielkości pudełka zapalek. Okrągły, lekko wypukły element w środkowej części nie pozostawiał wątpliwości, co Konieczny trzymał na dłoni.

– Kamera – bardziej stwierdziła niż zapytała Solińska.

– Dokładniej, pani aspirant, kamery – uzupełnił technik. Po jednej w lampie i kinkietach. Jednak prawdziwym majstersztykiem był sposób ich uruchamiania – dodał technik z podziwem – wystarczyło włączyć światło, a kamery zaczynały rejestrować obraz i dźwięk.

– A teraz mi pan powie, że znalazł również zapisy z tych kamer.

– Niestety, pani aspirant, tak dobrze to nie jest. Gniazda kart pamięci były puste – oświadczył, rozkładając bezradnie ręce.

– Czyli dupa biała – mruknęła Solińska pod nosem.

– Dokładnie tak, dupa biała – potwierdził Konieczny.

Solińska pożegnała techników i ruszyła do samochodu. Zdarzenia ostatnich kilku godzin dawały jej sporo do myślenia. Najpierw wyciek zdjęć i informacji z Zakładu Medycyny Sądowej, a teraz kamery w kawalerce wynajmowanej przez Wiertnicką. Wychodząc z falowca, niemal wpadła na jakąś starszą panią. Przeprasiła i dopiero wtedy rozpoznała Rozalię Pawlak. Wczoraj, kiedy na miejscu znalezienia zwłok przestuchiwała obie seniorki, mówiła głównie ta druga. Rozalia Pawlak powiedziała, że jedynie towarzyszyła przyjaciółce. Jednak Solińska nie wierzyła w te zapewnienia. Pojawienie się starszej pani w bloku potwierdzało tylko jej wątpliwości.

– Dzień dobry, co za spotkanie – zagadnęła Solińska, zmieszana emerytkę. Ta bąknęła w odpowiedzi coś, co miało zapewne być odpowiedzią.

– Pani Rozalio, chyba nie powie mi pani, że jest tutaj przez przypadek?

Starsza pani milczała, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Myślę, że powinnyśmy szczerze porozmawiać – oświadczyła Solińska, ujmując Rozalię Pawlak pod ramię i prowadząc do zaparkowanego niedaleko samochodu.

ROZDZIAŁ 35

Woronko był już przy drzwiach wejściowych, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Nie miał pojęcia, kto je wypowiedział, ale był pewien, że już gdzieś słyszał ten głos. Zawrócił i podszedł do lady oficera dyżurnego. Stał przy nim młody mężczyzna. Komisarz rozpoznał go natychmiast. Nie pamiętał nazwiska, ale chłopak miał na imię Bartosz.

– Pan Bartosz, o ile się nie mylę – powiedział, przerywając rozmowę, jaką chłopak prowadził z oficerem dyżurnym. Mężczyzna drgnął zaskoczony i odwrócił głowę w stronę komisarza.

– Tak, Bartosz Mrozowski – potwierdził, a grymas na jego twarzy świadczył albo o bólu zęba, albo – co Woronko uznał za bardziej prawdopodobne – znalezieniu się w kłopotliwej sytuacji.

– Słyszałem, że pytał pan o mnie. W czym mogę pomóc?

– Chciałem się z panem komisarzem zobaczyć, aby uzupełnić moje poprzednie zeznanie, ale skoro pan wychodzi to może umówimy się na jakiś inny termin.

Facet fatygował się dobrych kilka kilometrów, a teraz nagle chce się wycofać. Dla Woronki takie zachowanie z miejsca wydało się podejrzane. Skoro już miał tutaj tego gościa, to postanowił wykorzystać sytuację.

– Miałem zamiar wyjść tylko po kawę – skłamał komisarz, ciesząc się teraz, że nie uprzedził Grzybowskiego o planowanej wizycie. Przez moment przed wyjściem z biura rozważał taką opcję. Ale uznał, że niezapowiedziane odwiedziny zrobią większe wrażenie.

– Kawa może poczekać, a pana zapraszam do siebie na górę – oświadczył, wskazując Mrozowskiemu drogę do schodów.

– Więc chciał pan uzupełnić swoje poprzednie zeznania dotyczące zaginięcia Klementyny Wiertnickiej? – upewnił się, komisarz, kiedy kilka minut później siedzieli już w jego gabinecie.

– Tak, chciałem dopowiedzieć i uszczegółwić pewne rzeczy – potwierdził Mrozowski, wodząc po pokoju rozbieganym wzrokiem.

– Czy jest to spowodowane nowymi okolicznościami, jakie zaszły w tej sprawie? – pytanie wyraźnie zdenerwowało chłopaka.

– To znaczy? – zapytał, jakby nie bardzo wiedząc, co komisarz miał na myśli.

– To znaczy, że poprzednim razem, kiedy rozmawialiśmy Klementyna Wiertnicka była traktowana jako osoba zaginiona, a teraz możemy o niej mówić jako o ofierze zabójstwa – wyjaśnił Woronko, patrząc twardo na siedzącego naprzeciw chłopaka. – W takim razie co chciał pan uzupełnić i uszczegółwić?

– Chodzi o to, że my, to znaczy ja i Klementyna, byliśmy z sobą znacznie bliżej, niż przedstawiłem to poprzednim razem – zaczął Mrozowski, a jego mina jasno wskazywała, że właśnie zaczyna żałować przyjscia tutaj. Woronko wyjął z teczki zeznania chłopaka i odczytał je na głos:

– Klementyna Wiertnicka była naszą współlokatorką. Mieszkaliśmy razem od ośmiu miesięcy. W mieszkaniu spotykaliśmy się i rozmawialiśmy sporadycznie. Ona studiowała i jednocześnie pracowała podobnie jak ja.

Komisarz skończył czytać fragment, w którym Bartek opisywał swoje relacje ze współlokatorką i zamilkł, czekając na reakcję chłopaka. Ten długo milczał, jakby zastanawiał się, od czego zacząć. Woronko nie miał pojęcia, dlaczego Mrozowski przyszedł, ale czuł przez skórę, że to, co powie, o ile w ogóle zdecyduje się mówić, będzie jak armatni wystrzał. Świadkowie bardzo rzadko fatygowali się, by w zeznaniu zmienić jakies szczegóły typu: „spotkanie nie było o dziewiętnastej, ale dziewiętnastej pięć” albo „nie miała na sobie sukienki w żółte tylko czerwone kwiaty”. Najczęściej natomiast zmieniali, a raczej dopowiadali to, czego nie powiedzieli poprzednim razem, a co mogło wyjść na jaw i w jakiś sposób ich obciążyć. Mrozowski przełknął ślinę i zaczął mówić.

– Klementyna, to znaczy ja i ona kilka razy przespaliśmy się z sobą – wyrzucił jednym tchem, jakby chciał się pozbyć czegoś, co zalegało mu w przełyku. Woronko spodziewał się właśnie czegoś o takim kalibrze gatunkowym.

– Mówi pan, że kilka razy uprawiali państwo seks.

Mrozowski potwierdził skinieniem głowy.

– Ale w poprzednich zeznaniach nawet się pan o tym nie zająknął. Mogę wiedzieć dlaczego?

– Wtedy nie sądziłem, że to może mieć związek z jej zaginięciem.

Nie wiedzieć czemu, komisarz nie wierzył w ostatnie słowa Mrozowskiego i postanowił przycisnąć go trochę bardziej.

– Chce mi pan wmówić, że dziewczyna, z którą pan sypia, przepada bez wieści, a według pana wasza intymna relacja nie ma z tym nic wspólnego?

– Chodziło mi bardziej o to, że wtedy uważałem, że to jest wyłącznie nasza sprawa.

– Rozumiem, że z chwilą odnalezienia zwłok ta, jak to pan ujął, „sprawa” przestała być tylko waszą tajemnicą – wpadł mu w słowo Woronko.

– Właśnie tak – przytaknął Bartosz – ale to nie wszystko – oznajmił, spoglądając na komisarza.

„A więc mamy więcej rewelacji w tej sprawie” – pomyślał Woronko, nie kryjąc satysfakcji. Doskonale wiedział, że każda nowa informacja, choćby na pierwszy rzut oka mało istotna, mogła mieć znaczenie.

– Klementyna była w ciąży. Ani ona, ani ja nie czuliśmy się na siłach, by w naszym wieku wychowywać dziecko. Zaproponowała, że jeśli dam jej pieniądze, to ona znajdzie kogoś, kto dokona aborcji. Z tego, co wiem, zabieg miał być zrobiony w Czechach czy Austrii. Dlatego wtedy o tym nie powiedziałem. Sądziłem, że Klementyna wyjechała gdzieś, aby zająć się tą sprawą.

Woronko słuchał, myśląc jednocześnie, że dla dzisiejszego młodego pokolenia wiele spraw było banalnie prostych. Jest ciąża, to trzeba załatwić kasę i ciąża nie ma. Jest dług, to trzeba kogoś okraść i długu nie ma.

– Ile pieniędzy przekazał pan Klementynie Wiertnickiej? – spytał komisarz, hamując złość. Najchętniej wyrzuciłby gnoja za drzwi, ale z tym musiał poczekać.

– Dałem jej dziesięć tysięcy. Było to w dniu jej zaginięcia. Spotkaliśmy się w takiej knajpce niedaleko Targu Rakowego. Przyszła około osiemnastej, wzięła pieniądze, powiedziała, żebym niczym się nie martwił, i wyszła – powiedział Mrozowski i spuścił głowę, jakby w ten sposób chciał ukryć wstyd. Nowe informacje sprawiły, że pierwotna hipoteza o tym, że śmierć Wiertnickiej może być powiązana z jej dodatkowymi usługami, jak nazwała je Solińska, według Woronki zaczynała stawać się hipotezą zapasową. Być może studentka zginęła,

ponieważ miała wtedy przy sobie dość sporą sumę pieniędzy. Może nawet to sam Mrozowski ją zamordował, a jego wizyta i złożenie nowych zeznań miało tylko odwrócić od niego uwagę. Pytania mnożyły się jak króliki.

– Czy twoja dziewczyna o tym wszystkim wiedziała?

Mrozowski nagle się wyprostował i pobladł.

– Barbara? Nie, ona nie wiedziała o niczym.

– A dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Pan jej nie zna. Gdyby się o tym dowiedziała, gotowa by mnie zabić – gdy wypowiedział ostatnie słowa, pobladł jeszcze bardziej. Dotarło do niego, że właśnie skierował oskarżenie na kogoś, kogo chyba kochał. Słowa Mrozowskiego także na komisarzu zrobiły wrażenie. Ale przypomniał sobie, że przecież Barbara Skowrońska miała mocne alibi na cały tamtejszy wieczór i noc. Jedna z sąsiadek widziała ją jak około dwudziestej trzeciej piętnaście wracała ze sklepu do mieszkania. Dane od operatorów potwierdzały, że jej telefon w tamtym czasie logował się wyłącznie do nadajnika w pobliżu mieszkania. Wreszcie zeznania Mrozowskiego, który wrócił do domu około północy, również świadczyły na jej korzyść.

Po wyjściu Mrozowskiego Woronko ze zdziwieniem stwierdził, że rozmowa zajęła im prawie godzinę. W tej sytuacji nie było sensu jechać do Karola Grzybowskiego. Postanowił więc napić się kawy z pobliskiej pizzerii i poczekać na Solińską. Był ciekaw, czego dowiedziała się od techników pracujących w kawalerce na Obrońców Wybrzeża. Nie wiedzieć czemu, czuł, że ta sprawa jeszcze niejednokrotnie ich zaskoczy.

ROZDZIAŁ 36

Jechali w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach. Nowina o kamerach zainstalowanych w kawalerce przy Obrońców Wybrzeża oraz fakt, że z Zakładu Medycyny Sądowej wyciekły zdjęcia zwłok Klementyny Wiertnickiej potwierdzały tylko przecucia Woronki, że ta sprawa jeszcze nie raz ich zadziwi. Natomiast rewelacje Bartosza Mrozowskiego, które streścił Woronko po powrocie Solińskiej do biura, prawie wbiły ją w fotel. Były one prawie tak samo zaskakujące jak rozmowa z Rozalią Pawlak, o której – rzecz jasna – policjantka nawet nie wspomniała komisarzowi. Woronko nigdy by jej nie uwierzył, a na pewno nie w tych okolicznościach. Ona sama początkowo miała pewne wątpliwości co do wiarygodności zeznań starszej pani, ale dzisiejsza rozmowa dała jej odpowiedź na jedno z podstawowych pytań. Od samego początku intrygowało ją, dlaczego Rozalia Pawlak miewa takie sny. Nie skąd one się biorą, ale właśnie dlaczego ona, a nie ktoś inny. Opowieść o tym, że została ochrzczona przez ojca Czesława Klimuszkę była dla Solińskiej wystarczającym argumentem. Odpis chrztu dowodził, że sama Rozalia Pawlak podchodziła do wyjaśnienia swoich snów bardzo profesjonalnie. Tyle, że znając Woronkę, dla niego taki profesjonalizm był nic nie warty.

– Janusz, ale nie rób na wejściu awantury o ten wyciek – poprosiła, kiedy przekroczyli próg Zakładu Medycyny Sądowej. Komisarz spojrział na nią tak twardym spojrzeniem, że aż przeszły ją ciarki.

– Kaśka, jeśli mają tu burdel i nie potrafią upilnować tak prostej rzeczy jak zimny trup, to ktoś im musi wylać na łeb kubel lodowatej wody. Choć ja wolałbym skorzystać z zawartości szamba, dłużej by ją odczuwali.

– Zrobisz, jak zechcesz, ale mnie w to nie mieszaj – zastrzegła Solińska, posyłając mu równie twarde spojrzenie. Ruszyli pustym o tej porze korytarzem. W czasie roku akademickiego kręciło się tu sporo studentów, ale teraz minęli tylko jakąś parę pogrążoną w rozmowie o rozedmie płuc. Marlenę Sitkowską

znaleźli w jednej z pracowni. Siedziała przy biurku w otoczeniu różnych dziwnych słoików i innych pojemników z równie dziwną zawartością. Pisząc coś na laptopie, przegryzała bułkę, z której wystawała sałata.

„Woronko miał rację, mówiąc, że tej babce nic nie przeszkadza” – pomyślała Solińska, zostając pół kroku za komisarzem. Wolą, aby to on rozpętał tę wojnę. Jeden rzut oka na siedzącą za biurkiem kobietę wystarczył, że nie będzie miał łatwego zadania.

– Pani Marlena Sitkowska? – zapytał, podchodząc bliżej i pokazując legitymację.

– O pan komisarz. Czekalam na państwa – odpowiedziała, nie racząc nawet odpowiedzieć na jego pytanie. Najpewniej było dla niej oczywiste, że skoro miała przyczepiony identyfikator ze zdjęciem, imieniem i nazwiskiem oraz tytułem naukowym to nie mogła być kimś innym.

– A pani to zapewne aspirant Katarzyna Solińska? – zapytała, kierując spojrzenie w stronę policjantki. Błękitna intensywność oczu Sitkowskiej podobna była do oczu psów husky.

– Pani doktor, nim przejdziemy do celu naszej wizyty, chciałbym wyjaśnić kilka spraw. Tak dla dobra przyszłej współpracy – odezwał się komisarz tonem, który Solińska tak dobrze zapamiętała z ich pierwszego spotkania. W założeniu miał zapewne dać do zrozumienia, że to on jest tu najważniejszy. Ale teraz nie był w swoim gabinecie, tylko występował w charakterze gościa. Sitkowska czekała, utkwivszy w nim zaciekawione spojrzenie.

– To jest nasze pierwsze spotkanie i mówienie o bałaganie, jaki tu panuje, może nie jest w dobrym tonie, ale dla mnie najważniejsze jest dobro śledztwa – kontynuował Woronko, krzyżując ręce na piersi. Wyglądał teraz prawie jak strażnik teksasu.

– Nie bardzo wiem, jaki bałagan pan komisarz ma na myśli – wtrąciła Sitkowska, robiąc zdziwioną minę. Solińska pomyślała, że albo gra, albo naprawdę o niczym nie ma pojęcia.

– Dzisiaj rano jeden z serwisów pseudoinformacyjnych opublikował zdjęcia ciała Klementyny Wiertnickiej i podał przyczynę śmierci – wytłumaczył Woronko.

– W takim razie powinni państwo rozpocząć z nimi współpracę, ponieważ przyczynę zgonu poznałam dwie godziny temu, kiedy skończyłam sekcję – oznajmiła lekarka. – A co do zdjęć, to owszem, doniesiono mi o tym. Obejrzałam je sobie bardzo dokładnie, a nawet wydrukowałam. Widziałam je i mogę powiedzieć tyle, że musiały zostać zrobione tylko podczas okazania zwłok celem identyfikacji. Ani wcześniej, ani później ciało nie leżało na stole numer pięć. Na tych zdjęciach w tle widoczna jest umywalka, a tylko stojąc przed tym stołem, można ją zobaczyć. Dlatego winnych proszę szukać wśród osób identyfikujących – wyjaśniła, a Solińska była pod wielkim wrażeniem argumentów, jakich użyła Sitkowska.

– Myślę, że moja odpowiedź jest dla pana satysfakcjonująca? A skoro tak, to przejdźmy do meritum – dodała, nie dając komisarzowi czasu na powiedzenie czegokolwiek. Wstała i poprowadziła ich do sali sekcyjnej. Ciało studentki leżało na pierwszym z brzegu stole. Sitkowska podeszła do jednej z szafek wyjęła trzy komplety lateksowych rękawiczek i dwie z nich podała policjantom.

– Wiem, że nie będzie pan niczego dotykał, ale takie są procedury, a dla mnie procedura to rzecz święta – wyjaśniła, widząc uniesione pytająco brwi komisarza. Założyła swoją parę i stanęła przy stole. Jednym ruchem odsłoniła prześcieradło zakrywające zwłoki.

– Kobieta, lat dwadzieścia, przywieziona wczoraj około godziny czternastej – zaczęła mówić tonem, który Solińskiej kojarzył się z wykładowcami. Przez pierwsze kilka minut objaśniała szczegóły, które dla śledztwa nie miały większego znaczenia. Ani Solińska, ani komisarz nie przyszli tu słuchać o procesach gnilnych i fermentacyjnych w ciele, które zostało zakopane.

– Bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie, jak rano poinformował jeden z serwisów. Na tyle, na ile mogłam sprawdzić w organizmie dziewczyny, nie odkryłam narkotyków, alkoholu czy jakichkolwiek innych podejrzanych substancji. Nie została również zgwałcona.

Woronko słuchał, zastanawiając się, kiedy Sitkowska powie wreszcie coś o ciąży. Podejrzewał, że skoro w dniu zaginięcia Mrozowski dał Wiertnickiej pieniądze na zabieg, to było mało prawdopodobne, aby ktoś go wykonał. Zwłaszcza że Mrozowski w swoich zeznaniach wspominał o zabiegu w Czechach lub Austrii.

– To by było na tyle – podsumowała patolożka, naciągając biały materiał na ciało. – Raporty wręczę państwu przy wyjściu – dodała, kierując się do drzwi.

– Pani doktor, a co z ciążą? – zatrzymał ją komisarz. Kobieta odwróciła się i spojrzała na nich autentycznie zaskoczona. Tak jakby nie wiedziała, o czym Woronko mówi.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o jakiej ciąży pan mówi.

– Jeden ze świadków zeznał, że Wiertnicka była z nim w ciąży. Co prawda, planowała usunąć, ale wątpię, aby zdążyła to zrobić.

– Niestety muszę pana rozczarować, ta dziewczyna nie była w ciąży. Co więcej, w ostatnich dwóch miesiącach na pewno nie zrobiono jej zabiegu usunięcia płodu.

Teraz to komisarz został niemile zaskoczony. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co ta informacja może oznaczać. Z całą pewnością bajeczka o ciąży i rzekomym zabiegu została zmyślona, tylko przez kogo? Pierwszym podejrzanym był oczywiście Mrozowski. Tylko z jakiego powodu miałyby zeznawać coś, co i tak zostanie zweryfikowane. Dlatego Woronko uznał, że to Wiertnicka okłamała chłopaka, a następnie wyłudziła od niego kasę.

– Na przyszłość proponuję dobierać bardziej wiarygodnych świadków – poradziła Sitkowska, wychodząc z pomieszczenia. Solińska i Woronko poszli za nią, mijając na korytarzu dwóch stażystów z wózkiem, którzy przyjechali po ciało Wiertnickiej.

– Proszę, tu są obiecane raporty – powiedziała Sitkowska, gdy na powrót znaleźli się w pracowni.

– A teraz, panie komisarzu, ja powiem coś o bałaganie, jaki panuje w policji – zapowiedziała lekarka, przysiadając na rogu biurka. Woronko miał zamiar pokazać tej przemądrzałej babie, gdzie jej miejsce. Nie dość, że pozwala, aby ktoś robił zdjęcia zwłokom, które – bądź co bądź – były dowodem w sprawie, to jeszcze miała czelność sugerować, że to w policji jest bałagan. Jednak coś w spojrzeniu Sitkowskiej go powstrzymało.

– Rozumiem, że ma pani na myśli coś konkretnego? – zapytał, czując, jak jego ciśnienie przekracza normy ustalone przez światową organizację zdrowia.

– Konkretnie i to jak cholera – odparła lekarka, siadając za biurkiem. Złożyła dłonie przed sobą, jakby zamierzała się modlić i spojrzała na nich wzrokiem

nauczyciela zamierzającego przepytac uczniów z ostatniego tematu.

– Szanowni państwo, teoretycznie policja ma obowiazek zabezpieczyc wszystkie przedmioty znalezione przy zwlokach, zgadza sie?

Woronko nie bardzo wiedzial, do czego zmierza Sitkowska. Przeciez doskonale znala procedury. To pytanie niepokoiło go jeszcze z innego powodu. Zapowiadalo dalszy ciag tego przedstawienia.

– Widzę, że w tej kwestii jesteśmy zgodni – westchnęła Sitkowska i po chwili kontynuowała przemowę.

– Wczoraj dostarczono nam ciało tej studentki. Ponieważ zawsze biorę udział w oględzinach otrzymanego materiału, rozbierałam ją osobiście. Muszę przyznać, że dziewczyna nosiła się markowo. Jeśli wie pani, co mam na myśli – mówiąc to, spojrziała na Solińską. Policjantka doskonale wiedziała. W szafie Wiertnickiej widziała dziesiątki firmowych ubrań. Posłała Sitkowskiej porozumiewawcze spojrzenie, które tylko kobiety potrafią między sobą wymienić i czekała na dalszy rozwój wypadków.

– Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy w jednej z małych kieszonek dzinsów znalazłam to – leniwym ruchem trwającym chyba wieki otworzyła jedną z szuflad biurka i wyjęła z niej płaski prostokątny przedmiot. Woronko patrzył, nie bardzo wiedząc, co lekarka trzyma w palcach, ale Solińskiej wystarczył jeden rzut oka, by w trzymanym przez Sitkowską przedmiocie rozpoznać kartę pamięci.

– Pozwoliłam sobie przejrzeć zawartość i proszę uwierzyć, gdyby te materiały wyciekły do prasy, mieliby państwo na komendzie niezłe szambo. Przy fotografii denatki zawartość karty to bomba atomowa.

ROZDZIAŁ 37

Z niektórymi sprawami trzeba się zwyczajnie pogodzić. Taka filozofia pozwalała Rozalii Pawlak wieść jak dotąd spokojne życie. Akceptowała z większymi lub mniejszymi oporami to, co przynosił los. Mimo to nie potrafiła, a może nie chciała, pogodzić się z myślą, że to właśnie ona, nie nikt inny, ale ona została na starość obdarzona dziwnymi zdolnościami. Sny o zakopaniu ciała dziewczyny, która – jak się później okazało – zaginęła, można było uznać za fantazje starej kobiety, ale rozpoznanie miejsca, gdzie ukryto zwłoki i ich odnalezienie trudno było podpiąć pod tę hipotezę. Gdyby nie ostatni sen, w którym widziała jeden z falowców na Obrońców Wybrzeża, nie spotkałaby tej sympatycznej policjantki. Ich rozmowa trwająca prawie godzinę sprawiła, że nabrały do siebie zaufania.

– Pani Rozalio, proszę do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy – powiedziała policjantka na zakończenie rozmowy, wręczając jej swoją wizytówkę. Nie dodała, że „gdyby przyśniło się pani coś nowego”, ale wcale nie musiała tego robić. Obie wiedziały, że do tego będzie sprowadzała się ich relacja. Rozalia przekazując policjantce to, co pojawi się w jej snach, pozwoli rozwiązać tę sprawę. Kiedy w końcu dotarła do Amber Cafe, Bożena siedziała przy stoliku, nerwowo zerkając na zegarek.

– No, jesteś wreszcie – powiedziała Gorczyńska, wdychając z ulgą.

– Przecież mówiłam, że przyjdę.

– No tak, ale zawsze to ty czekałaś, a ja się spóźniałam. Dzisiaj także przyszedłam trochę później, a ciebie nie ma, więc zaczęłam się martwić – wyjaśniła Bożena, przywołując spojrzeniem kelnera.

– Zupełnie niepotrzebnie – zapewniła Rozalia, siadając naprzeciw przyjaciółki. Zastanawiała się przez chwilę, czy dzisiejsza sytuacja nauczy Bożenę punktualności, ale doszła do wniosku, że pewnych przyzwyczajień bardzo trudno się pozbyć.

– Wiesz, że dzisiaj w gazecie wydrukowali zdjęcie tej nieszczęsnej dziewczyny – zakomunikowała Gorczyńska, podsuwając Rozalii jeden z ogólnopolskich dzienników słynący z publikowania wszystkiego, co mogło zwiększyć sprzedaż gazety. Dla tego tabloidu nie było żadnej świętości. Bez mrugnięcia okiem publikował zdjęcia dziecka, które wyrodny ojciec wyrzucił z dwunastego piętra, czy fotorelację z pożaru bloku, w której nie mogło zabraknąć zwęglonych zwłok i lamentujących ludzi. Rozalia z obrzydzeniem odsunęła gazetę i sięgnęła po filizankę z kawą.

– Nawet nie chce mi się tego oglądać – rzuciła tonem pełnym pogardy dla tych, którzy pracowali w takich mediach.

– Tak sobie pomyślałam, czy twoją historią nie zainteresować jakiegoś programu publicystycznego? – zaczęła ostrożnie Bożena. W pierwszej chwili Rozalia pomyślała, że się przesłyszała lub źle zrozumiała przyjaciółkę.

– Wiesz jakby na to nie patrzeć, posiadasz szczególne zdolności i może gdyby je nagłośnić, mogłabyś pomóc innym – kontynuowała Gorczyńska, źle interpretując minę Rozalii.

– W żadnym wypadku – ucięła krótko Rozalia. Pomysł przyjaciółki był chyba najgłupszym, jaki wymyśliła w całym życiu. Niektóre z nich, choć szalone, nie niosły z sobą żadnych poważniejszych konsekwencji, ale podrzucenie mediom tematu w stylu: „dzięki snom starszej pani udało się odnaleźć ciało zaginionej studentki” byłoby jak padła antylopa dla stada zgłodniałych hien. Rozalia wiedziała, że jeśli tylko pseudodziennikarze zwęszą trop, to nie odpuszczą.

– Bożena, żadnych gazet, radia czy telewizji – powtórzyła, twardo mierząc Gorczyńską zimnym spojrzeniem. Ta po chwili nieznacznie skinęła głową.

– To nie jest tak, że potrafisz śnić na zawołanie o jakichś ludziach czy wydarzeniach. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby nie było więcej podobnych snów – powiedziała Rozalia łagodniejszym tonem, chcąc uargumentować przyjaciółce stanowczą odmowę. Gdyby tylko mogła wybierać wybrałaby bezsenne noce, które towarzyszyły jej przez kilkadziesiąt lat. Tyle że w tej kwestii ona sama nie miała nic do powiedzenia. Ba, obawiała się, że mogą na stałe zagościć w jej życiu. Po zdecydowanym odrzuceniu możliwości nawiązania jakiegokolwiek współpracy z mediami ich rozmowa przestała się kleić. Owszem rozmawiały o wspólnym wyjściu do teatru, Rozalia rzuciła też pomysł, by

pojechać na dzień lub dwa do Malborka. Gorczyńska okazała zainteresowanie pomysłem, ale widać było, że wciąż rozpamiętuje odmowę Rozalii w sprawie mediów. Kiedy opuściły kawiarnię, z zasnutego ciężkimi jakby chromowanymi chmurami nieba spadły pierwsze krople.

– Podwieź cię? Zaparkowałam niedaleko – zapytała Gorczyńska, rozkładając różowy parasol. Zapewne musiał być modny, bo Rozalia sporo już takich widziała.

– Nie dzięki, muszę się przejść, to był ciężki dzień – odpowiedziała i pomyślała, że ostatnimi czasy miewa wyłącznie takie dni. Ruszyła chodnikiem, mijając przechodniów w panice próbujących schronić się przed deszczem, a przecież nie padało szczególnie mocno.

„Ot taki ciepły letni deszczyk” – pomyślała Rozalia, idąc prawie pustym chodnikiem. Nim dotarła do mieszkania, odebrała jeszcze telefon od wnuczki przypominającej o ich czwartkowym spotkaniu i zrobiła zakupy osiedlowym sklepie. Przechodząc obok restauracji, z której wydobywał się aromatyczny zapach potraw, uświadomiła sobie, że od śniadania niczego nie jadła. Kusiło ją nawet, by wejść do lokalu i coś zamówić, ale zrezygnowała, postanawiając zjeść w domu. Przygotuje sobie kanapki albo odmrozi pierogi otrzymane od Bożeny. Zwyciężyły kanapki na ciepło. W lodówce miała jeszcze kilka plasterków sera i wędliny, a w chlebaku parę kromek chleba tostowego. Zjadła, wypila zieloną herbatę i poczuła, jak mimo spożytego posiłku opuszczają ją siły. Musiała natychmiast się położyć. W przeciwnym razie zasnęłaby na stojąco. Obudziła się dwie godziny później, usiadła przy stole, na którym leżały długopis i kartka. Zaczęła spisywać to, co zapamiętała ze snu. Uznała to za najlepszą metodę utrwalenia sennych obrazów. Pamięć ludzka mimo całej swej potęgi była niestety mało doskonała, a sen nie był czymś, co widziało się na własne oczy. Gdy skończyła pisać kilka razy przeczytała notatkę. Zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do Solińskiej, ale doszła do wniosku, że ostatnia wizja była zbyt mało wyraźna. We śnie zobaczyła idącego człowieka. Sądząc po sylwetce, był to mężczyzna. Widziała go od tyłu i z boku, więc nie mogła dostrzec twarzy. Nie miała pojęcia, kim jest ta osoba, ale jednego mogła być pewna. Osoba z jej snu w jakiś sposób była powiązana ze śmiercią Klementyny Wiertnickiej. Jej

rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Numer był jej obcy, ale mimo to odebrała.

– Pani Rozalia? – usłyszała w słuchawce kobiecy głos.

– Tak, a kto mówi?

– Z tej strony aspirant Katarzyna Solińska. Gdzie pani teraz jest?

Pytanie policjantki było co najmniej dziwne. Ale widocznie miała ważny powód, by dzwonić do niej o dwudziestej i pytać o miejsce jej pobytu.

– W domu, a gdzie mam być – usłyszała, jak policjantka oddycha z ulgą.

– W takim razie proszę włączyć telewizor i zobaczyć, kto występuje w programie „Na czasie” – powiedziała Solińska. Rozalia podeszła do kanapy i podniosła leżący na niej pilot. Włączając telewizor, miała złe przeczucia. Gdy tylko odnalazła odpowiedni kanał, zamarła ze wzrokiem wbitym w ekran. Pasek u dołu informował, że program nadawany jest na żywo. W tle widać było ścianę lasu oświetlaną wieczornymi promieniami słońca. Na tle tego prawie romantycznego pejzażu Rozalia dostrzegła zaparkowany nieco na uboczu wóz transmisyjny stacji telewizyjnej. Jedną jej uwagę przykuła para ludzi w centralnej części kadru. Przystojny dziennikarz, który – o ile Rozalia pamiętała – pracował już chyba we wszystkich komercyjnych i publicznych stacjach telewizyjnych, spoglądał pewnie w obiektyw kamery. Pod zaczesaną na bok grzywką, znakiem rozpoznawczym jednego z szamponów przeciwłupieżowych, którego reklama podobno przyniosła dziennikarzowi krocie, Rozalia dostrzegła niebieskie oczy. Obok celebryty ubrana w zielone bojówki takiego samego koloru koszulę o wojskowym kroju stała Bożena Gorczyńska.

– Szanowni państwo, jak zapowiadaliśmy przed przerwą, naszym gościem jest Bożena Gorczyńska, która wczoraj, będąc na spacerze ze swoją przyjaciółką, znalazła ciało poszukiwanej od kilkunastu dni studentki z Gdańska, Klementyny Wiertnickiej. Znajdujemy się niedaleko tego miejsca, gdzie dokonano tego makabrycznego odkrycia.

Ton dziennikarza sugerował, że jest autentycznie przejęty tym, o czym mówił. Rozalia patrzyła i słuchała, jak Bożena opowiada ze wszystkimi szczegółami, gdzie zaparkowały samochód. Następnie poprowadziła dziennikarza tą samą drogą jaką pokonały wczoraj. Na koniec wskazała miejsce, gdzie jej pies znalazł wystającą z ziemi dłoń.

– Trzeba było jeszcze powiedzieć, jak się zmęczyłaś przy kopaniu szpadłem –
wycodziła Rozalia przez zaciśnięte zęby.

ROZDZIAŁ 38

Powrót do komendy wyglądał zupełnie inaczej niż podróż do Zakładu Medycyny Sądowej. Wtedy jechali zatopieni we własnych myślach. Teraz Woronko wypluwał z siebie przekleństwa z szybkością karabinu maszynowego, a Solińska próbowała ostudzić jego emocje. Owszem, podobnie jak komisarz uważała, że policjanci z Pruszcza, a nawet ich technicy zwyczajnie dali ciała, ale zwymyślanie wszystkich nich od najgorszych niczego nie zmieni.

– Janusz, przestań się pienieć jak wściekły pies – rzuciła Solińska, hamując przed przejściem dla pieszych. Starszy pan poruszający się o lasce ruchem głowy podziękował i nieśpiesznie przeszedł na drugą stronę jezdni. Woronko spojrział na niego, jakby również ponosił winę za to, co się stało.

– Gdybyś potrafił zabijać wzrokiem, to ten dziadek nie zobaczyłby już swoich wnuków – bąknęła Solińska, ruszając dalej.

– Kaśka, nie prowokuj – ostrzegł Woronko, zerkając na zegarek – i, na Boga, dodaj trochę gazu – jęknął, widząc, jak wpuszcza dostawczaka próbującego włączyć się do ruchu.

– Janusz, staram się hołdować starej zasadzie dobrego kierowcy.

Komisarz spojrział na nią, unosząc pytająco brwi.

– Nie znasz tej sentencji: „zrób dobrze komuś, tobie też ktoś zrobi”. – wyrecytowała Solińska, zgrabnie parkując przy chodniku niedaleko komendy.

– Tę zasadę stosujesz tylko za kierownicą?

– Wszędzie tam, gdzie jest przydatna – oznajmiła Solińska konspiracyjnym szeptem. Zamiast do budynku komendy ruszyła do drzwi pobliskiej pizzerii.

– Bez kawy nie dam rady – odpowiedziała na pytające spojrzenie komisarza. Ten tylko skinął głową i ruszył za nią. W lokalu panował popołudniowy szczyt. Wszystkie stoliki były zajęte.

– Cztery na wynos – poprosiła Solińska. Kelnera przyjmującego zamówienie знаła z widzenia. Uwinął się wyjątkowo szybko. Czasami, gdy nie było zbyt wielu

ruchu, ucinali sobie nawet krótkie pogawędki. Ale teraz nie było ku temu warunków. On miał urwanie głowy w lokalu, a ona przed sobą kilka ciężkich godzin. Sitkowska nie powiedziała, co znajduje się na karcie pamięci znalezionej przy zwłokach Wiertnickiej. Jednak wystarczyła sama uwaga, że wyciek tych materiałów mógł wpakować komendę w głębokie szambo. Po wejściu do biura odczuli przyjemny chłód. Wszystko dzięki temu, że pomieszczenie miało okna od północy. Solińska postawiła tackę z kawą na biurku, następnie podeszła do drzwi i przekręciła klucz.

– Kaśka, co ty wyprawiasz? – spytał zaskoczony Woronko, nieruchomiejąc przy swoim fotelu.

– Spokojnie, to tylko na wypadek, gdyby chciano nam przeszkodzić – uspokoiła Solińska, ale mina komisarza wskazywała, że wcale nie poczuł się spokojniej. Pierwsze, co zrobiła po umieszczeniu karty w czytniku, było sprawdzenie, ile materiałów i w jakich formatach zawiera. Najwięcej było plików graficznych, bo ponad pięćset. Poza nimi były jeszcze pliki wideo o łącznym czasie odtwarzania blisko czterech godzin i kilka plików muzycznych. Solińska doszła do wniosku, że najbardziej w tej chwili będą ich interesowały materiały z dnia zaginięcia Wiertnickiej lub dni poprzedzających jej zniknięcie. Ustawiła odpowiednie sortowanie zawartości. Woronko obserwował ją z narastającym napięciem. W końcu nie wytrzymał.

– Co jest na tej karcie?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Solińska, lecz nim skończyła wypowiadać ostatnie słowo już wiedziała. Zdjęcie, które właśnie pojawiło się na ekranie nie było dla niej zaskoczeniem. Już wracając z Zakładu Medycyny Sądowej, skojarzyła i połączyła kilka faktów w logiczną całość. Wiertnicka świadczyła usługi erotyczne w lokalu, gdzie prawdopodobnie się to działo, był zainstalowany sprytnie ukryty system kamer. Wniosek nasuwał się sam, że studentka rejestrowała spotkania z klientami. Zdjęcie, na które właśnie patrzyła, potwierdzało jej tok rozumowania. Nawet mężczyzna w eleganckim garniturze siedzący na skraju łóżka obok nagiej studentki pasował do scenariusza, jaki sobie wymyśliła.

– Sam zobacz, kogo tu mamy – zaproponowała, przekręcając monitor tak, aby Woronko mógł zobaczyć jego zawartość.

– Nasz dobry znajomy, Karol Grzybowski. Dlaczego nie jestem zdziwiony?

Solińska wiedziała, że pytanie komisarza było czysto retoryczne. Gdy tylko wyszło na jaw, że Grzybowski dzwonił na numer telefonu znalezionej w kawalerce, a Solińska odkryła, czym zajmowała się Wiertnicka, podejrzewali, że Grzybowski był jednym z jej klientów. Solińska sprawdziła datę wykonania zdjęcia.

– Zrobione 20 czerwca o 21:34 – powiedziała bardziej do siebie niż siedzącego naprzeciw komisarza.

– Czyli możemy przyjąć, że był on jej ostatnim klientem – podsunął Woronko, zakładając ręce za głowę. Solińska szybko przejrzała kilka poprzednich zdjęć. Nagi Grzybowski i klęcząca między jego nogami studentka potwierdziły sugestie komisarza.

– Strzał w dziesiątkę, panie Kolombo – przyznała Solińska, ponownie przekręcając monitor w stronę Woronki.

– Kaśka, chyba coś ci się pomieszało w tym porównaniu. Po pierwsze Kolombo nie był komisarzem, tylko porucznikiem. Po drugie palił wyłącznie cygara i z tego, co pamiętam, to kubańskie. Po trzecie był ode mnie jakieś dziesięć lat starszy i dwadzieścia kilogramów cięższy. A po czwarte oddałby wszystkie swoje amerykańskie oszczędności za moje włosy.

Solińska tylko udawała, że słucha. W rzeczywistości przeglądała kolejne pliki. Jednak materiału było tak dużo, że musiała ułatwić sobie pracę, jeśli chciała dość szybko sprawdzić zawartość całej karty. Uruchomiła program, którego oficjalnie nie powinna posiadać na służbowym komputerze, ale kilka odpowiednich słów i słodkich uśmiechów pod adresem jednego z administratorów sieci załatwiło sprawę. Program miał tę wspaniałą funkcję, że potrafił nie tylko sortować pliki według różnych kryteriów, ale umiał również, analizując wskazaną zawartość, przenosić pliki o określonej dacie utworzenia do odpowiednich folderów. Minusem była szybkość, z jaką wykonywał całą operację. Solińska ustawiła odpowiednie parametry i po chwili zobaczyła pasek postępu niemrawo zmierzający do przodu.

– Za jakieś pół godziny będziemy mieli zawartość karty podaną jak na tacy – stwierdziła i w kilku, jej zdaniem, prostych zdaniach wytłumaczyła Woronko

działanie programu. Wątpiła, czy zrozumiał jej wywód, ale specjalnie jej to nie martwiło.

– Jak myślisz, dlaczego Grzybowski ukrył znajomość z Wiertnicką? – spytała Solińska, wstając z fotela. Musiała rozprostować kości. Pokój nie bardzo się do tego nadawał. Mogła zrobić pięć kroków i musiała zawracać.

– Pokaż mi faceta, dla którego zadawanie się z kurwą jest zaszczytem.

Niby Janusz miał rację, ale korzystanie z płatnego seksu nie było przecież przestępstwem. Przechodząc obok swojego biurka, zerknęła na ekran komputera. Operacja przebiegała wolniej, niż to początkowo zakładała. Wzięła z tekturowej wytłoczki kolejną kawę i wróciła do rozprostowywania kości.

– Kaśka, długo tak jeszcze będziesz krążyć – warknęła Woronko. – Normalnie skupić się nie można.

Już chciała odpowiedzieć, ale wtedy zadzwonił jej telefon. Podeszła do biurka podniosła aparat i zerknęła na wyświetlacz. Nie знаła tego numeru, ale mimo to przesunęła zieloną słuchawkę.

– Tak, słucham – powiedziała, podchodząc do drzwi.

– Czy rozmawiam z aspirant Katarzyną Solińską? – w głosie rozmówcy Solińska wyczuła profesjonalny spokój. Taki sam ton pobrzmiwał u niemal wszystkich dziennikarzy, z którymi miała okazję rozmawiać.

– Tak, a w czym mogę pomóc? – odpowiedziała, dając znak komisarzowi, że za chwilę wróci i wyszła na pustą o tej porze korytarz. Dochodziła dwudziesta i na komendzie przebywali już nieliczni funkcjonariusze i zaledwie jeden czy dwóch pracowników cywilnych.

– Nazywam się Adrian Sobótka. Telefonuję do pani z programu „Na czasie”. W dzisiejszym odcinku zajmiemy się sprawą Klementyny Wiertnickiej. Naszym gościem będzie jedna z osób, które znalazły ciało tej dziewczyny. Podejrzewam, że do wystąpienia przed kamerą to pani nie namówię. Ale czy możemy prosić o komentarz?

Solińska spodziewała się, że prędzej czy później również ogólnopolskie media podchwycą temat. Tym bardziej, że nadchodził sezon ogórkowy i na ciekawe tematy polityczne nie było co liczyć.

– Niestety, wszelkich informacji w tej sprawie udziela wyłącznie nasz rzecznik prasowy – oświadczyła chłodno. Jeszcze kilka razy musiała powtórzyć tę

samą formułkę, zanim dziennikarz dał za wygraną. Natychmiast po zakończeniu rozmowy wybrała numer do Rozalii Pawlak. Musiała się upewnić, czy to ona będzie osobą, o której wspominał Sobótko. Kilka minut później odetchnęła z ulgą i wróciła do biura. Podczas jej nieobecności program nagle przyspieszył i do zakończenia całej operacji pozostało zaledwie kilka procent. Zrelacjonowała Woronco przebieg rozmowy z dziennikarzem.

– Wredne, skurwysyńskie hieny – skwitował komisarz. Solińska miała podobne zdanie, choć do jego wyrażenia użyłaby zupełnie innych słów. Korciło ją, by zwrócić Januszowi uwagę, ale właśnie program uporał się z zadaniem. Solińska odnalazła odpowiedni folder. Wewnątrz znalazła osiemnaście podfolderów. Oznaczało to, że materiały pochodzą z osiemnastu różnych dni. Solińska spojrzała na daty pierwszy folder zawierał pliki z 15 stycznia, a ostatni z 20 czerwca. Wybrała folder oznaczony datą 3 marzec. Wewnątrz znalazła dwadzieścia siedem zdjęć. Kiedy otworzyła pierwsze z nich na moment odebrało jej dech. Przemknęło jej nawet przez głowę, że mają do czynienia z jakąś sprytnie uknutą intrygą, a zdjęcia mogą być fotomontażem. Woronko świdrował ją swoim zwierzęcym wzrokiem, czekając, aż coś powie. Solińska zamknęła zdjęcie i uruchomiła plik wideo. Spodziewając się, co może być na filmie, ściszyła głośniki. Gdy wreszcie odtwarzacz wystartował, pochwaliła się w duchu za przezorność.

– No chodź tu, ty mała suko, poczujesz, jak smakuje kutas polskiego posła – usłyszeli i oboje unieśli zdumione brwi. Zdziwienie Solińskiej było trochę mniejsze. Miał na to wpływ fakt, że przed momentem widziała zdjęcie, na którym jeden z najbardziej znanych posłów rządzącej koalicji leżał nagi w skotłowanej pościeli obok Wiertnickiej.

– Kaśka, czy to jest ta osoba, o której myślę? – spytał Woronko. Solińska przytaknęła w odpowiedzi. Spojrzeli na siebie i każde z nich wiedziało, że właśnie wdepnęli w paskudne gównno.

ROZDZIAŁ 39

Zaglądnienie do porannej prasy przestawało być dla Karola Grzybowskiego codzienną przyjemnością. Od kilkunastu dni sięgając po gazetę, zamiast dotychczasowej radości odczuwał dziwny niepokój. Narastał on z każdą nową informacją dotyczącą Klementyny Wiertnickiej. Według Grzybowskiego w tej sprawie wszystko było jakieś dziwne, podejrzanе i nieprzewidywalne. Najpierw tajemnicze zaginięcie, później wizyta policji, teraz odnalezienie ciała. Jednak najgorsze było to, że on sam znalazł się blisko tego wszystkiego, niebezpiecznie blisko. Gdyby jakimś cudem jego powiązania z Klementyną trafiły do opinii publicznej, znalazłby się wtedy w dużych opałach. Po pierwsze stałby się głównym podejrzanym o zamordowanie studentki. Przecież bardzo często to właśnie kochankowie i to bez względu na płęć byli mordercami swoich partnerów. Motyw w takich przypadkach znajdowano bez większego trudu. Chęć zakończenia romansu, zmiana oczekiwań względem drugiej strony, zazdrość o tego legalnego partnera. Po drugie jego kariera zawodowa zawisłaby na cienkim włosku lub mówiąc bardziej obrazowo stanęła na krawędzi przepaści. Jeden niewłaściwy ruch mógł zniweczyć trud wielu lat. Gdy wszedł do biura, poprosił o kawę. Kiedy chwilę później siedział przy małym stoliku, patrzył na leżącą przed nim gazetę tak, jakby zawierała kolejne niepokojące wiadomości. Wiedział, że popełnił błąd, stawiając dziewczynie drinka na tej pamiętnej firmowej imprezie. Tyle, że ta świadomość przyszła dopiero po czasie. Kiedy ich związek kwitł w najlepsze jak wiśnie podczas ciepłej wiosny, zupełnie nie przejmował się konsekwencjami, bo i jakież one mogłyby być? Klementyna widziała w nim wyłącznie atrakcyjnego faceta, który potrafił sprawić, że czuła się jak prawdziwa kobieta. Nie oczekiwała, iż dla niej Karol porzuci żonę. Jej wystarczyło, że kilka razy w miesiącu szli do łóżka, kina, teatru albo na kolację. On natomiast nie traktował jej jak swojej utrzymanki. Owszem dawał jej prezenty czasami bardzo kosztowne, ale nigdy nie dostała od niego pieniędzy.

Grzybowski dopił kawę i dopiero wtedy sięgnął po gazetę. Gdy przekonał się, że nie ma żadnych nowych wiadomości w tej sprawie, odetchnął z ulgą. Zostawił gazetę, podszedł do biurka i zerknął na terminarz. Miał zaplanowane trzy spotkania. Dwa z nich powinny zająć mniej czasu, niż zarezerwował, ale ostatnie mogło się przeciągnąć. Usiadł za biurkiem i otworzył pierwszą z tekturowych teczek. Chciał przejrzeć dokumenty, jakie miał zabrać na spotkanie. Właściwie była to czysta formalność, ponieważ pani Jagoda jak zwykle przygotowała wszystko perfekcyjnie. Kończył właśnie czytać umowę, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Tak, proszę – odpowiedział wyraźnie niezadowolony. Nie lubił, kiedy przeszkadzano mu w pracy. Jednak skoro asystentka zdecydowała się zapukać, musiała mieć ku temu ważny powód.

– Panie prezesie, ponownie przyszli państwo z policji i nalegają na spotkanie z panem – zakomunikowała asystentka, robiąc przeproszającą minę. Grzybowski wiedział, że gdyby przyszedł ktoś inny kobieta, odesłałaby go z kwitkiem.

– Tak, oczywiście, proszę państwa wpuścić – powiedział, zamykając teczkę i odkładając ją na brzeg biurka.

– Przepraszamy, że pozwalamy sobie po raz kolejny pana nachodzić, ale wyniknęły nowe okoliczności i musimy zadać panu kilka dodatkowych pytań – zaczęła policjantka.

– Jeśli będę mógł pomóc, to chętnie to zrobię – odparł Grzybowski, zapraszając gości, by usiedli przy stole. – Napiją się państwo czegoś? – zapytał, kładąc dłoń na słuchawce telefonu.

– Ja dziękuję – odmówiła policjantka, kładąc przed sobą białą kartonową teczkę.

– A ja chętnie skosztuję kawy, jaką się tutaj pija – zgodził się mężczyzna. Grzybowski poprosił o dwie kawy i dołączył do policjantów. Z tego, co sobie przypominał, to kobieta nazywała się Solińska, ale nazwiska mężczyzny nie potrafił sobie przypomnieć. Chciał nawet poprosić o okazanie legitymacji, ale uznał, że będzie to idiotycznie wyglądało. Mógł to zrobić, zanim usiedli przy stole.

– Rozumiem, że nadal podtrzymuje pan, że nie zna tej dziewczyny? – zapytała policjantka, wyjmując z teczki tę samą fotografię, jaką pokazała mu

podczas poprzedniego spotkania. Grzybowski myślał intensywnie. Ponowna wizyta policji nie była przypadkowa. Skoro tu przyszli zapewne, mieli coś nowego. Gdyby przyznał, że skłamał, musiałby wytłumaczyć dlaczego. Na szybko nie potrafił wymyślić wiarygodnego wyjaśnienia.

– Tak, jak powiedziałem poprzednim razem, nie znam tej dziewczyny – potwierdził, próbując opanować drżenie głosu.

– Jest pan tego absolutnie pewien – wtrącił policjant, rozsiadając się wygodniej na krześle. Ten gest nie uszedł uwadze Grzybowskiego. Facet zdawał się być bardzo zadowolony, jakby za chwilę miał rzucić na stół asa z rękawa. Grzybowskiemu przemknęło przez myśl, że może jednak gliny jakimś cudem dowiedziały się o wszystkim.

– Proszę państwa, nie jestem aż tak stary, by mieć amnezję. Owszem, mogło się zdarzyć, że spotkałem tę kobietę w centrum handlowym, kawiarni czy na stacji benzynowej. Tak jak się spotyka dziesiątki ludzi każdego dnia. Ale nigdy z nią nie rozmawiałem.

Policjantka zrobiła minę, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– Dobrze, więc tę kwestię mamy już wyjaśnioną – powiedziała bardziej do siebie niż do kogoś z nich. – Mam zatem tylko jeszcze jedno pytanie – zaczęła, sięgając do teczki. Grzybowski poczuł, jak ze zdenerwowania drętwieje mu kark. Policjantka niespecjalnie się śpieszyła. Cokolwiek miała zamiar wyjąć z teczki, robiła to bardzo powoli, niemal delektując się każdą mijającą sekundą. Cisza panująca w pokoju ciążyła Grzybowskiemu. Prawie fizycznie czuł jej ciężar na ramionach. Drgnął nerwowo, gdy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Panie Karolu, a czy tę dziewczynę pan zna? – zapytała policjantka i położyła na stole drugą fotografię. Grzybowski pobladł. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. W ostatnim przeblysku rozsądku szybkim ruchem obrócił fotografię na drugą stronę. Miał nadzieję, że asystentka, która właśnie podchodziła z tacą do stołu nie zauważyła tego, co było na zdjęciu. Czekał, aż pani Jagoda rozstawi filiżanki z kawą, Grzybowski próbował znaleźć wyjaśnienie tego, co właśnie się działo. Takiego obrotu spraw zupełnie nie przewidywał.

– Skąd państwo mają to zdjęcie? – spytał, kiedy za asystentką zamknęły się drzwi.

– Czy dalej twierdzi pan, że nie znał Klementyny Wiertnickiej? – drążyła policjantka, ignorując pytanie jakie zadał.

– Przecież macie dowód, że znałem ją bardzo dobrze – prychnął, odwracając zdjęcie i przesuując je w kierunku policjantki.

– Chyba będzie lepiej dla nas wszystkich, a pana w szczególności, jeśli przestanie pan kręcić – stwierdził policjant niemal ojcowskim tonem, upijając łyk kawy.

– Co państwo chcą wiedzieć?

– Wszystko – rzuciła policjantka, gromiąc go wzrokiem – ale może zacznijmy od samego początku. Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach poznał pan Klementynę Wiertnicką? – zapytała, nie spuszczając z niego wzroku.

– Zanim odpowiem, pozwoli pani, że odwołam swoje zawodowe spotkania – poprosił, wstając i podchodząc do biurka. Kiedy przekazywał asystentce polecenia, ta wydawała się zaskoczona jak nigdy dotąd. Specjalnie to Grzybowski nie dziwiło. Dotychczas nigdy nie odwołał wszystkich spotkań.

– Czy może mi pani powiedzieć, skąd mają państwo to zdjęcie? – ponowił pytanie, siadając z powrotem przy stole. Policjantka wymieniła porozumiewawcze spojrzenie ze swoim kolegą. Tamten niezauważalnie skinął głową.

– Panie Karolu, kawalerka na Obrońców Wybrzeża, gdzie spotykał się pan z Wiertnicką, miała zainstalowane ukryte kamery i właśnie z nich pochodzi to zdjęcie.

Grzybowski czuł, jak ponownie cała krew odpływa mu z twarzy. To, co właśnie usłyszał, nie mogło być prawdą. Przecież Klementyna zapewniała o dyskrecji tego mieszkania. A jednak ktoś zamontował tam kamery. Tylko po co? Zastanawiał się Grzybowski, sięgając po szklankę z wodą. Musiał się napić, w przeciwnym razie czuł, że zemdleje.

– Wszystko w porządku? – popatrzyła na niego z niepokojem policjantka.

– Tak, wszystko dobrze – odparł, choć wiedział, że nic nie jest dobrze, a dzisiejszy dzień będzie mógł zaliczyć do najgorszych w życiu.

– Więc, proszę powiedzieć, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach poznał pan Klementynę Wiertnicką – powtórzyła policjantka.

Grzybowski nie miał innego wyjścia jak tylko opowiedzieć o firmowej imprezie sprzed ponad pół roku. Policjanci słuchali, co jakiś czas wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

– Ale ja jej nie zabiłem – zakończył Grzybowski.

– My wcale pana nie podejrzewamy. Sprawdziliśmy pańskie alibi na noc z 20 na 21 czerwca. Poza tym jest świadek, który widział Wiertnicką żywą około godziny dwudziestej trzeciej – wyjaśniła policjantka. Grzybowski odetchnął z ulgą.

– Jednak mamy podstawy sądzić – mówiła dalej policjantka – że był pan albo jest lub będzie szantażowany.

W pierwszej chwili Grzybowski chciał się serdecznie roześmiać, ale poważny wyraz twarzy policjantki powstrzymał go.

– Bardzo przepraszam, ale dlaczego i kto miałby mnie szantażować?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – wtrącił policjant lekko zamyślonym tonem.

ROZDZIAŁ 40

Rozalia Pawlak nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła Gorczyńska. Co więcej, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego przyjaciółka tak postąpiła. Jeśli chodziło jej o sławę i pokazanie się w telewizji, to najprawdopodobniej będzie zawiedziona. Programy tego typu rzadko zapadają widzom w pamięć. Rozalia doskonale pamiętała własną przygodę z telewizją, gdy za namową Bożeny zgłosiła się do jednego z teleturniejów. Pomyślnie przeszła eliminację, wygrała trzy odcinki programu, a ludzi, którzy ją rozpoznali na ulicy, mogła policzyć na palcach jednej ręki. Dlatego powód, dla którego Bożena zgodziła się wystąpić w programie, opowiedzieć całą historię i pokazać miejsce ukrycia ciała, musiał być inny. Jedyny, jaki teraz przychodził Rozalii do głowy, były pieniądze. Kiedy audycja dobiegła końca, pierwszą reakcją Rozalii była chęć zatelefonowania do przyjaciółki i powiedzenia jej kilku szczerych, choć niekoniecznie miłych słów. Na szczęście w porę się powstrzymała. Przecież tak naprawdę nie miała powodu, by zrugać Bożenę. Gorczyńska ani słowem nie napomknęła o jej udziale w całej tej sprawie. Przed pójściem do łóżka napisała do przyjaciółki SMS: „Świetnie wypadłaś w telewizji”. Nie było w tej wiadomości niczego fałszywego. Bożena rzeczywiście wyglądała doskonale i z pewnością widzowie, którzy oceniali jej wiek, mylili się w swoich ocenach. Już zasypiając Rozalia, usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości, lecz chęć snu była silniejsza od ciekawości. Dopiero raniem odczytała SMS. Gorczyńska podziękowała i zaproponowała wyjście na obiad do restauracji, w której niedawno znana restauratorka i celebrytka w jednej osobie przeprowadziła rewolucje. Deklaracje Bożeny, że to ona stawia, tylko potwierdziły podejrzenia Rozalii o pobudkach, jakimi kierowała się przyjaciółka, gdy występowała w programie. W pierwszej chwili chciała odmówić. Nazajutrz była umówiona z wnuczką i wypadało trochę posprzątać mieszkanie. Jednak słoneczny ciepły dzień nie nastrajał ją do robienia porządków. Dlatego odpisała, że bardzo chętnie zje coś innego niż samodzielnie

przygotowywane obiady. Lokal mieścił się niedaleko Jaśkowej Doliny. Odległość sugerowała skorzystanie z samochodu lub komunikacji miejskiej. Mimo to Rozalia postanowiła pójść pieszo. Po drodze wstąpiła do osiedlowego spożywcza po butelkę wody mineralnej. Później weszła jeszcze do sklepu, gdzie – jak głosił szyld wszystko – było po dwa złote. Skusiły ją wystawione w witrynie okulary przeciwsłoneczne. Swoich zapomniała w mieszkaniu, a ostre słońce dokuczało. Opuszczając sklep z okularami, za które zapłaciła nie dwa, lecz siedem złotych, zauważyła, że obok księgarni stoi młody chłopak i ogląda książki na wystawie. Rozalia odniosła wrażenie, że widziała go także przy sklepie, w którym kupowała wodę. Nie wiedzieć czemu, poczuła się nieswojo. Przemknęło jej przez głowę, że może jest śledzona. Tylko po co ktoś miałby ją śledzić? Ruszyła dalej, starając się co jakiś czas sprawdzać, czy mężczyzna idzie za nią. Przez dłuższą chwilę rzeczywiście tak było. Szedł, trzymając się w pewnej odległości. Lecz kiedy na skrzyżowaniu ona skręciła w lewo, chłopak poszedł prosto.

„Czyli to tylko zbieg okoliczności” – pomyślała, przysiadając na napotkanej ławce. Chciała, aby to wszystko się skończyło, a zwłaszcza te dziwne sny. Choć jedna jaskółka wiosny nie czyni, Rozalia była dobrej myśli. Ostatnia noc należała do spokojnych, nie miała żadnych sennych wizji, tylko zapadła w głęboki relaksujący i regenerujący sen. Schowała butelkę do torebki i ruszyła dalej. Kiedy dotarła na miejsce, Bożena już tam była. Restaurację urządzono w stylu myśliwskim. Na ścianach pokrytych ciemną boazerią wisiały obrazy przedstawiające sceny polowań. Rozalia nie przepadała za polowaniami. Nie gustowała także w dziczyźnie. Na szczęście w menu znalazła coś dla siebie. Zamówiła kaczkę z jabłkami.

– Na twoim miejscu wzięłabym gicz z jelenia – powiedziała Bożena, kiedy kelner odszedł zrealizować ich zamówienie.

– Jakoś wolę jelenia oglądać niż zjadać – skwitowała Rozalia – ale chyba nie będziemy rozmawiać o dzikich zwierzętach – dodała, przeczuwając, że głównym tematem spotkania ma być występ Bożeny w telewizji.

– Słuchaj, Rozalka, po naszej wczorajszej rozmowie pewnie sobie myślisz, że cały ten występ był moim pomysłem.

Rzeczywiście, Rozalia tak właśnie sądziła. Znała Gorczyńską na tyle długo, by wiedzieć, do czego jest ona zdolna.

– No tak sobie pomyślałam – potwierdziła – ale wcale nie mam o to do ciebie pretensji – dodała szybko.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale to nie był mój pomysł. Oni sami do mnie zadzwonili. Kiedy zapytałam tego dziennikarza skąd ma mój numer, odpowiedział: „pani Bożeno, to w tej chwili nie ma żadnego znaczenia. Ważne, że za udział w programie proponujemy honorarium w wysokości czterech tysięcy złotych” – szczerze z jaką Bożena mówiła o oferowanych pieniądzech przekonała Rozalię do wersji przyjaciółki.

– Ale skądś musieli mieć twój numer?

– Wiesz, myślę, że od kogoś z policji.

– Z policji? – zapytała Rozalia, kręcąc z niedowierzania głową. W to trudno było już uwierzyć. Przecież obowiązywały tam jakieś procedury ochrony danych osobowych.

– Przed programem powiedziano mi, że być może poza mną w programie wystąpi właśnie ktoś z policji. Później, tuż przed emisją, jak o to zapytałam, odpowiedziano, że ten ktoś się nie zgodził.

„Może jednak Bożena ma rację” – pomyślała Rozalia, przypominając sobie, że to właśnie policjantka zadzwoniła do niej z informacją o programie. Czy tym kimś, kto miał wystąpić razem z jej przyjaciółką, była aspirant Solińska? Taka ewentualność zawsze była możliwa. W tej chwili jednak nie miało to już żadnego znaczenia. Z rozmyślań wyrwał ją kelner, który przyniósł im jedzenie. Zamówione dania były wysmienite.

„W końcu jak coś kosztuje prawie sto złotych to musi takie być – pomyślała Rozalia, zamawiając na deser kawę i sernik wiedeński.

– Ale cię naciągnęłam – stwierdziła Rozalia, kiedy kelner przyniósł rachunek. Bożena tylko machnęła ręką. Wyjęła z torebki dwa banknoty stułotowe, położyła na talerzyku i wstała od stolika.

– Rozalka, może cię podwiozę? – zaproponowała, gdy były już na zewnątrz. Rozalia miała zamiar wrócić piechotą. Zjedzone dania wraz z deserem trochę ciążyły jej na żołądku. Spacerek powinien sprawić, że poczuje się lżej. Już miała odmówić, kiedy kilkanaście metrów dalej po drugiej stronie ulicy dostrzegła

znajomą postać. O pomyłce nie mogło być mowy. Był to ten sam młody mężczyzna, którego widziała, idąc na spotkanie z Bożeną.

„Więc to nie paranoja. Ktoś z jakiegoś powodu mnie śledził” – pomyślała, zastanawiając się, czy powrót na piechotę to na pewno dobry pomysł. Wątpiła, aby w środku dnia nieznajomy mógł jej coś zrobić. Mimo to skorzystała z propozycji Bożeny. Gdy ruszyły zobaczyły w tylnym lusterku, jak mężczyzna oddala się w przeciwnym kierunku i skręca w boczną uliczkę. Dopiero gdy weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi odetchnęła z ulgą.

„Nie dość, że nawiedzają mnie te dziwne sny, to teraz jeszcze ktoś zaczyna mnie śledzić” – pomyślała Rozalia, sprawdzając, czy na pewno przekręciła klucz w zamku. Zaczynała żałować, że jednak wybrała powrót samochodem. Czuliła się coraz bardziej ociężała i senna. Mimo wczesnej pory postanowiła uciąć sobie krótką drzemkę. Wnuczka miała się zjawić dopiero o dziewiętnastej, więc miała dość czasu, by po godzinnej drzemce posprzątać mieszkanie. Ledwie zdążyła zamknąć powieki, otoczyła ją ciepła i miękka mgła snu. Jednak po chwili wyłoniła się z niej postać. Zbliżała się powoli, a z każdym krokiem Rozalia dostrzegała coraz więcej szczegółów. Tajemniczą postacią był młody mężczyzna. Być może nawet ten, który śledził ją, kiedy szła na spotkanie z Bożeną. Jednak tego nie była pewna. Na pewno różnił ich ubiór. Ten, który ją śledził miał jasno niebieskie dzinsy i zieloną koszulkę z krótkim rękawem. Mężczyzna ze snu ubrany był w granatowe spodnie i niebieską koszulę. Pociągła opalona twarz emanowała spokojem. Tylko spod gęstych czarnych brwi nieprzyjaźnie patrzyły szare duże oczy. Mężczyzna zatrzymał się nagle i przez dłuższą chwilę stał nieruchomo zupełnie tak, jakby chciał aby Rozalia dokładnie go zapamiętała.

ROZDZIAŁ 41

– Myślisz, że Grzybowski powiedział nam prawdę? – spytała Solińska, gdy wsiedli do samochodu.

– Masz na myśli to, jak poznał Wiertnicką czy sprawę szantażu?

– I jedno, i drugie – sprecyzowała policjantka, włączając się do ruchu. Woronko odpowiedział dopiero po chwili.

– Okoliczności poznania Wiertnickiej można sprawdzić, choćby przepytując tego Żurka

– Ale on jest na urlopie i wraca dopiero za tydzień – wtrąciła Solińska.

– Kaśka, nie jestem jeszcze tak stary, by mieć sklerozę. Doskonale pamiętam, co powiedziała jego asystentka – rzucił zirytowany komisarz. – Tak czy owak będzie to można sprawdzić po jego powrocie. A co do szantażu, to moim zdaniem na dwoje babka wróżyła. Mógł powiedzieć prawdę i równie dobrze mógł łąć i tego niestety nie sprawdzimy – westchnął zawiedziony Woronko.

Solińska uznała, że Janusz ma rację. Nawet jeśli facet był szantażowany to z pewnością wolał zapłacić niż pójść z tym na policję. Dzięki nagraniom z karty pamięci znalezionej przy Wiertnickiej wiedzieli, że jej związek z Grzybowskim nie był przypadkowy. Jeden z plików dźwiękowych był zapisem rozmowy Wiertnickiej z jakimś mężczyzną. Nagranie zostało zrobione w jakiejś restauracji czy kawiarni. W tle grała muzyka, rozmawiali ludzie, a kelnerzy przyjmowali i dostarczali zamówienia. Wiertnicka i nieznajomy rozmawiali o materiałach, jakie miała zdobyć.

– Umawialiśmy się, że fotki na których Karol cię pieprzy dostarczysz mi dwa tygodnie temu – wypowiedź mężczyzny wskazywała, że wie, czym Wiertnicka zajmuje się po pracy.

– Tak, ale miałam dostać za nie dwadzieścia pięć tysięcy, a na razie dałeś mi tylko piętnaście – odpowiedź dziewczyny także nie wymagała specjalnego komentarza. Rozmowa została nagrana na trzy dni przed zniknięciem studentki

i Solińska była pewna, że mężczyzna nie miał pojęcia, iż jest nagrywany. Jeśli wierzyć ostatniej części rozmowy mieli się spotkać 21 czerwca. On miał przekazać jej brakującą kwotę, a ona jemu materiały kompromitujące Grzybowskiemu.

– Kaśka, dzwoni ci telefon – głos Woronki wyrwał ją z rozmyślań. Zerknęła na wyświetlacz i widząc numer jednego z młodych posterunkowych odebrała połączenie.

– Tak, Błażej – powiedziała, zwalniając przed skrzyżowaniem, na którym właśnie zapalało się żółte światło. Słuchała przez chwilę, następnie podziękowała i zakończyła połączenie.

– Ja bym zdążył nawet z telefonem przy uchu – rzucił kwaśno komisarz. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Zdążyłbym przejechać na żółtym – wyjaśnił, wskazując na sygnalizację.

– Wiesz, jakoś nigdzie mi się nie śpieszy – odparła, ruszając z piskiem opon, kiedy tylko zobaczyła zielone światło. Z satysfakcją zarejestrowała, że Woronko odruchowo przytrzymuje się uchwytu nad drzwiami.

– Właśnie widzę – mruknął pod nosem. Przyjemny chłód biura był miłą odmianą po skwarze panującym na zewnątrz.

– Dobra, Kaśka, musimy uporządkować wszystkie dotychczasowe ustalenia – zarządził komisarz, siadając za biurkiem. – Najpierw fakty – dodał, patrząc pytająco na Solińską. Zrozumiała, że to on będzie zadawał pytania, a jej rola ma polegać na udzielaniu odpowiedzi.

– Po pierwsze Wiertnicka zaginęła 20 czerwca. Po drugie 21 czerwca jej współlokatorka zgłosiła zaginięcie. Po trzecie 22 czerwca zgłasza się świadek Jan Stępka, który zeznaje, iż w dniu zaginięcia około dwudziestej trzeciej widział zaginioną. Również 23 czerwca po południu znajdujemy przedmioty należące do zaginionej, szminkę, breloczek do kluczy obok bloku, w którym mieszkała, a torebkę w lesie na obrzeżach Gdyni. Po czwarte dzięki rachunkowi za energię elektryczną trafiliśmy do kawalerki na Obrońców Wybrzeża, a odnaleziony tam telefon doprowadził nas do Karola Grzybowskiemu. Po piąte ustaliłam, że Wiertnicka świadczyła usługi seksualne – wyciszała to, co wiedzieli, pomijając jednak rzeczy, które jej zdaniem nie miały w tej sprawie większego znaczenia. Tak oto przemilczała dziwne pojawienie się Wiertnickiej w nocnym klubie i na

dworcu kolejowym. Zeznania Rozalii Pawlak pominęła z uwagi na komisarza. Jasno dał jej do zrozumienia, że to senne brednie starej baby. Gdy po kwadransie skończyła wymieniać dotychczas zgromadzone, fakty przyszła kolej na hipotezy. Schemat pozostał ten sam co poprzednio. Woronko pytał ona odpowiadała.

– Dobra, Kaśka, najpierw motyw. Tylko się postaraj, bo inaczej poproszę o innego współpracownika – zagroził Woronko. Oboje wiedzieli, że jest groźba pozbawiona możliwości zrealizowania. Po pierwsze nikt z własnej woli nie zechciałby pracować z komisarzem, który mimo że trochę złagodniał, wciąż miał opinię choleryka. Po drugie ewentualna zamiana Solińskiej na kogoś innego nawet samemu komisarzowi się nie uśmiechała.

– Ja wykluczyłabym motyw rabunkowy stawiając, raczej na jakieś osobiste porachunki – zaczęła Solińska zamierzając przedstawić Woronce swoje przemyślenia. – Owszem, w dniu zaginięcia otrzymała od Mrozowskiego dziesięć tysięcy, ale jak wynika z dokumentacji bankowej, wpłaciła całą sumę na konto. Podobnie jak te piętnaście tysięcy otrzymane od nieznanego nam jeszcze mężczyzny. Według mnie wszystko wskazuje na to, że Wiertnicka nie tylko zarabiała na swoich usługach erotycznych, ale również prawdopodobnie czerpała spore dochody z szantażu i wyłudzeń. Doskonale obrazuje to przykład Mrozowskiego. Zaciąga chłopaka kilka razy do łóżka, później mówi mu, że jest w ciąży i potrzebuje kasę na skrobankę. Nieświadomy i poniekąd przyparty do muru chłopak daje jej forszę. A ilu z jej klientów płaciło nie tylko za seks, ale również milczenie, tego się raczej nie dowiemy. Skoro jednak udało jej się uciułać ponad sto tysięcy, to możemy wnosić, że było ich co najmniej kilku.

– I każdy z nich miał motyw, by chcieć jej śmierci – wtrącił Woronko.

– Dokładnie tak – potwierdziła Solińska. – Tym sposobem przechodzimy do sprawy – ciągnęła dalej policjantka.

– Grzybowski odpada. Tego wieczoru po spotkaniu z Wiertnicką poleciał do Warszawy na jakąś konferencję, więc jego alibi jest nie do ruszenia – zauważył komisarz.

– Podobnie jak Mrozowski i Skowrońska. Chłopak był wtedy w pracy, a dziewczyna w domu. Jego alibi potwierdzają inni pracownicy, a jej sąsiadka, którą spotkała, kiedy po dwudziestej trzeciej szła wyrzucić śmieci, oraz fakt, że

jej telefon komórkowy tej nocy logował się tylko do pobliskiego nadajnika – dopowiedziała Solińska.

– Więc kto nam zostaje? – uniósł pytająco brwi Woronko.

– Nieznajomy mężczyzna – odparła Solińska.

– Brawo, Kaśka. Teraz tylko znajdź mi tego typu, a uznam cię za superglinę.

Solińska nie wiedziała, czy komisarz mówi poważnie, czy tylko z niej drwi. Ale bez względu na jego intencje postanowiła utrzyć mu nosa.

– Ty tu sobie, Kaśka, myśl, kim może być ten facet, a ja tymczasem idę po kawę. Tobie też przynieść?

– Nie dzięki. Na dziś wyczerpałam już limit kofeiny.

Kiedy za komisarzem zamknęły się drzwi Solińska uruchomiła przeglądarkę internetową. W wyszukiwarce wpisała kilka słów. Wyników pasujących do jej zapytania było zaledwie kilkanaście. Kliknęła pierwszy z nich. Szybko przeleciała cały tekst artykułu i wróciła do wyników wyszukiwania. Dopiero za siódmym razem trafiła na coś obiecującego. Kiedy uruchomiła odtwarzanie filmu zamieszczonego na stronie poświęconej finansom, po kilku sekundach wiedziała już, że Woronko będzie musiał ją nazwać super gliną.

– Znalazłam już tego gościa – oznajmiła obojętnym tonem, kiedy komisarz wrócił, trzymając w dłoni tekturową wytłoczkę z dwoma kawami.

– Wiedziałem, że sobie poradzisz – tym razem nawet nie próbował ukryć sarkazmu.

„No to zobaczymy, ty złamasie” – pomyślała Solińska, uruchamiając odtwarzanie filmu, który przed kilkoma minutami obejrzała dwa razy. Materiał został zarejestrowany podczas jakiejś konferencji. Na pierwszym planie widać było dwóch mężczyzn. Młodszy był reporterem, a starszy jednym z ekspertów.

– Czy pana zdaniem możemy spodziewać się w najbliższych miesiącach podwyżek składek ubezpieczeń komunikacyjnych?

Pytanie, jakie dziennikarz zadał rozmówcy, nie wywołało u Woronki żadnej reakcji. Solińskiej wcale to nie dziwiło. W jej przypadku było podobnie.

– Obecnie niemal wszystkie firmy ubezpieczeniowe próbują przyciągnąć klientów jak najniższymi składkami – zaczął ekspert, a komisarz prawie zakrztusił się kawą. Kiedy kilka minut wcześniej Solińska usłyszała ten głos z tak

charakterystycznym r natychmiast go rozpoznała. Dla pewności porównała go z nagraniem, jakie zrobiła Wiertnicka. O pomyłce nie mogło być mowy.

– Ty nie blefowałaś.

– Jak słyszysz, postarałam się zasłużyć na tytuł supergliny.

– Kim jest ten facet? – spytał Woronko zupełnie ignorując wzmiankę o superglinie.

– Ten – Solińska wskazała na dziennikarza – to Artur Olszewski, dziennikarz parający się sprawami z pogranicza finansów, gospodarki i ubezpieczeń, a ten – przesunęła palec wskazujący na drugiego z mężczyzn – to Wojciech Żurek.

W ciszy, jaka zapadła, słysząc było tylko rozmowę płynącą z głośników komputera. Solińska poczekała, aż wywiad się skończy i wyłączyła nagranie.

– Ale jak na to wpadłaś?

Solińska już otwierała usta, by odpowiedzieć komisarzowi, kiedy zadzwonił jej telefon leżący na biurku. Zerknęła na wyświetlacz i natychmiast odebrała połączenie. Słuchała przez chwilę. Następnie spojrzała na zegarek, później przeniosła spojrzenie na Woronkę.

– Proszę jak najszybciej przyjechać do mnie na komendę – poleciła rozmówcy i zakończyła połączenie. Musiała teraz przeprowadzić z komisarzem rozmowę, o której wiedziała, że nie będzie ani łatwa, ani przyjemna. Jednak nie było innego wyjścia.

ROZDZIAŁ 42

Sen urwał się niczym taśma filmowa w starym kinie. Pierwsze, co po obudzeniu zrobiła Rozalia, było dokładne spisanie wyglądu mężczyzny, który jej się przyśnił. Podświadomie czuła, że w ten sposób utrwali szczegóły, które mogą łatwo ulecieć z sennej pamięci. Trwało to dobre pół godziny. Wypisując kolejne cechy, próbowała przywołać twarz widzianą we śnie. Duże szare oczy okolone gęstymi ciemnymi brwiami, pociągła opalona twarz, prosty nos. Jednego była pewna, nigdy w życiu nie widziała tego człowieka. Kiedy już uporwała się z opisaniem wyglądu nieznanego, zaczęła zastanawiać się, co ma dalej zrobić. Pierwszą myślą było zatelefonowanie do aspirant Solińskiej. Policjantka odebrała niemal natychmiast wysłuchała Rozalii i poleciła, aby natychmiast przyjechała na komendę. Rozalia zamówiła taksówkę, schowała do torebki zapisane kartki i wyszła z mieszkania. Jednak czekając przed blokiem na zamówioną taksówkę, zaczynały nachodzić ją wątpliwości, czy aby dobrze postąpiła. Wspomnienia z pierwszej wizyty na komendzie wciąż były żywe. Nadal pamiętała pobłażliwy wyraz twarzy tego wielkiego policjanta. Jego drwiące spojrzenie i szyderczy uśmiešek nie pozostawiał złudzeń. Dla niego była tylko starą nawiedzoną babą, która zawraca im tyłek jakimiś swoimi snami. Policjantka nawet jeśli wówczas jej nie wierzyła, wykazała więcej taktu.

– Pani zamawiała taksówkę? – głos siwowłosego taksówkarza wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak, przepraszam, ale zamyśliłam się.

– Proszę się już więcej nie zamyślać, bo jeszcze panią okradną – zażartował taksówkarz, otwierając jej drzwi. Podziękowała i wsiadła do samochodu. Kierowca należał do pokolenia, dla którego taki prosty gest jak otwarcie drzwi samochodu klientowi, było czymś normalnym. Wśród młodych taksówkarzy próżno tego szukać.

– To dokąd jedziemy, droga pani?

Rozalia podała adres, a kierowca mimowolnie się uśmiechnął. Aspirant Solińską zobaczyła, gdy tylko weszła do budynku komendy. Policjantka wyglądała na zmęczoną.

– Bardzo dziękuję, że pani przyjechała. Nasz specjalista od sporządzania portretów pamięciowych już na nas czeka – oznajmiła, prowadząc Rozalię do windy. Mężczyzna, o którym policjantka, mówiła miał na imię Marek i zrobił na Rozalii dobre wrażenie. Najpierw przeczytał notatki, jakie zrobiła zaraz po obudzeniu.

– To bardzo dobrze, że spisała pani to wszystko – pochwalił, uruchamiając program komputerowy – teraz korzystając z pani notatek, wybierzemy poszczególne elementy twarzy. Takie jak oczy, brwi, nos, usta, włosy – wyjaśnił policjant. Przez kolejną godzinę Rozalia dopasowywała pokazywane przez mężczyznę fragmenty twarzy. Z każdym wybranym elementem widziała, jak to, co zobaczyła we śnie, staje się czymś realnym. Po dwóch godzinach spoglądała na portret człowieka, który prawdopodobnie zabił i zakopał Klementynę Wiertnicką.

– Teraz sporządzę jeszcze coś, co nazywamy rysopisem – wyjaśnił pan Marek. Spoglądając co chwilę na portret pamięciowy, uderzał w klawiaturę komputera. Kiedy skończył wydrukował rysopis i podał Rozalii.

– Proszę to przeczytać i powiedzieć mi, na ile w skali od jeden do pięciu, gdzie jeden to całkowita niezgodność, a pięć to bardzo duża zgodność, ocenia pani sporządzony portret pamięciowy z tym, jak zapamiętała pani widzianego mężczyznę – poprosił. – Ja w tym czasie pójdę do toalety – dodał, wychodząc z pokoju.

Rozalia domyśliła się, że aspirant Solińska nie zdradziła panu Markowi okoliczności, w jakich zobaczyła człowieka, którego portret pamięciowy właśnie sporządził. Przeczytała tekst kilka razy, porównując go z portretem wyświetlonym na monitorze komputera oraz tym, co zapamiętała ze snu. W końcu uznała, że z czystym sumieniem może ocenić podobieństwo na cztery.

– Pani Rozalio, odwiozę panią do domu – zaproponowała Solińska – i proszę nawet nie próbować protestować – dodała surowym tonem.

– To bardzo miłe z pani strony. Za dwie godziny ma mnie odwiedzić wnuczka, a ja jeszcze nie zdążyłam posprzątać mieszkania – podziękowała

Rozalia, idąc za policjantką do wyjścia.

– Pani Katarzyno, czy uważa pani, że ten portret nie sprowadzi kłopotów na kogoś niewinnego?

Pytanie, które Rozalia zadała policjantce, nurtowało ją od chwili opuszczenia komendy. Przecież mogło się zdarzyć, że opisała kogoś, kto ze śmiercią studentki nie miał nic wspólnego.

– Proszę, się nie obawiać. Nawet jeśli znajdziemy kogoś podobnego do mężczyzny z portretu, sprawdzimy dokładnie, czy ma on alibi, czy znał zamordowaną. Jednym słowem upewnimy się, czy ma on jakikolwiek związek z tą sprawą – uspokoiła ją policjantka, parkując obok bloku, w którym mieszkała Rozalia.

– Jeszcze jedno, pani Katarzyno. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale dzisiaj idąc na spotkanie z Bożeną Górczyńską, miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi – powiedziała Rozalia, opisując wygląd młodego mężczyzny.

– Ma pani rację, była pani śledzona, ale przez policjanta po cywilnemu. Uznałam, że po wczorajszej audycji może ktoś z mediów chcieć panią zaczepiać – wyjaśniła Solińska.

– To mnie pani uspokoiła – przyznała Rozalia, wysiadając z samochodu. Rozważała, czy nie pójść do pobliskiego sklepu po jakieś ciasto, ale zrezygnowała, uznając, że wizyta wnuczki ograniczy się wyłącznie do chwili rozmowy i podziękowania za obiecaną kasę. Odkurzyła przedpokój, salon i kuchnię, pozmywała naczynia i z książką w ręku usiadła na balkonie. Co jakiś czas spoglądała na ulicę w nadziei, że zobaczy wnuczkę. Minęła dziewiętnasta, a jej ciągle nie było. Gdy Rozalia uznała, że pewnie wypadło jej coś ważnego, usłyszała dzwonek domofonu. Przeszła do przedpokoju i nacisnęła przycisk otwierający drzwi wejściowe. Kilka chwil później zabrzączał dzwonek do drzwi. Rozalia zdjęła łańcuch zabezpieczający, przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Na progu zamiast wnuczki zobaczyła człowieka, którego natychmiast rozpoznała. W jednej sekundzie zrozumiała, co miał oznaczać ostatni sen, ale na ratunek było już za późno. Próbowwała zatrzaskać drzwi, ale mężczyzna z łatwością dziecka odepchnął ją na przeciwną ścianę. Wszedł do mieszkania, zamykając drzwi na klucz. Dopadł do niej i zacisnął dłonie na jej szyi. Zimne szare oczy

człowieka ze snu patrzyły na Rozalię bezlitośnie. Wiedziała, że to koniec i nawet nie próbowała walczyć.

Morderca odczekał, aż ciało staruszki zupełnie zwiotczeje i dopiero wtedy zwolnił uścisk. Przeszukiwał mieszkanie metodycznie, wrzucając do plecaka wszystko to, co przedstawiało znaczną wartość. Po kwadransie przez nikogo niezauważony opuścił mieszkanie. Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jak na stole w kuchni rozdzwonił się telefon komórkowy. Aparat był stary i dlatego postanowił go zostawić. W pierwszym odruchu chciał wrócić i wyłączyć telefon, ale zrezygnował i zbiegł po schodach.

ROZDZIAŁ 43

Po powrocie na komendę Solińska natychmiast pobiegła do biura. Woronko siedział wpatrzony w leżący przed nim portret pamięciowy.

– Czy chłopcy znaleźli kogoś pasującego w bazach? – zapytała, mając nadzieję, że może mężczyzna z portretu był w przeszłości notowany. Woronko pokręcił głową.

– Kaśka, masz świadomość, że gdy wyjdą na jaw okoliczności dotyczące tego, w jaki sposób odnaleziono zwłoki i na jakiej podstawie sporządzono ten portret, to możemy zacząć szukać innej pracy – rzucił komisarz poważnym tonem. – Ty to może zaczepisz się w jakiejś agencji modelek, ale mi pozostanie obstawianie bramek w nocnych klubach – dorzucił po chwili.

– Janusz, nie przesadzaj. Po pierwsze o tych niecodziennych szczegółach wiemy tylko my. A po drugie kiedy złapiemy mordercę, to nikt nie będzie drążył tematu, tylko wszyscy odetchną z ulgą – odparła Solińska, opadając ciężko na fotel.

– Czuję, że gdybym przyłożyła teraz głowę do poduszki, to zasnęłabym jak dziecko – jęknęła policjantka, przymykając na chwilę powieki.

– Ty lepiej nie zasypiaj, bo będziesz miała sny jak pani Rozalia Pawlak – ostrzegł Woronko, głośno ziewając. Solińska chciała posłać komisarzowi jakąś ciętą ripostę, ale nie miała siły, by wymyślić coś finezyjnego.

– Naprawdę sądzisz, że to ten facet udusił i zakopał Wiertnicką?

Pytanie Janusza również jej nie dawało spokoju. Tym bardziej, że był to jedyny trop, jaki w tej chwili mieli. Wojciech Żurek na wieczór i noc zaginięcia Wiertnickiej miał murowane alibi. Przebywał wtedy w Berlinie i do Gdańska wrócił dopiero 21 czerwca około południa.

– Nie mam pojęcia, ale skoro poprzednie wskazania Rozalii Pawlak były trafne to i może i to będzie – odpowiedziała. Po jej słowach w pokoju zapanowała

cisza i gdyby nie dzwonek telefonu Solińska z pewnością uciąłaby sobie drzemkę.

– Co jest? – rzuciła do słuchawki, widząc na wyświetlaczu numer oficera dyżurnego.

– Pani aspirant, na komisariat w Pszczółkach zgłosił się niejaki Jarosław Bulski. Twierdzi, że w nocy, kiedy zaginęła Klementyna Wiertnicka widział w okolicy kompleksu leśnego, w którym odnaleziono ciało, jakiś samochód.

Informacja niczym skoncentrowana dawka kofeiny pobudziła Solińską do myślenia.

– Przekaż, aby najszybciej jak to możliwe przewieziono go do nas – poleciła, prostując się na fotelu.

– Co znaleźli kogoś podobnego? – zapytał Woronko, spoglądając wyczekująco na Solińską.

– Nie, ale mamy kolejnego świadka – odpowiedziała policjantka, referując komisarzowi to, co usłyszała od oficera dyżurnego.

Jarosław Bulski mógł mówić o dużym szczęściu. Powtarzali mu to wszyscy od lekarzy, przez pacjentów leżących z nim na sali, jego żonę, a na babci kończąc. Ta ostatnia nalegała, aby po wyzdrowieniu zamówił mszę albo nawet poszedł na pielgrzymkę. Niewątpliwie wszyscy mieli rację, gdyby nie jego refleks i przytaczane na każdym kroku szczęście zamiast w łóżku z ręką w gipsie leżałby teraz w trumnie. Trasę z Pszczółek, gdzie mieszkał, do Pruszcza Gdańskiego, gdzie pracował na jednej ze stacji benzynowych, znał jak własną kieszeń. Jeździł tamtędy co najmniej kilka razy w tygodniu. Wybierał boczną, mniej uczęszczaną drogę. Dzięki temu omijał korki. A mimo to właśnie na tej, jak mogło się wydawać, bezpieczniejszej, drodze w jego fiata punto uderzyła terenowa toyota, spychając do pobliskiego rowu. Gdyby uderzenie nastąpiło kilkadziesiąt metrów później, wpadłby na rosnące na poboczu drzewa. Ze szpitala wyszedł po dwudniowej obserwacji i czekał go miesiąc, zdawałoby się, błogiego lenistwa. Spał więc do dziewiątej, oglądał telewizję, chodził z synem na ryby nad pobliskie jezioro. Gdy któregoś wieczoru oglądał w wiadomościach materiał dotyczący zaginięcia młodej studentki, przypomniał sobie dość niecodzienne zdarzenie. O ile dobrze pamiętał, było to w nocy, kiedy zaginęła. Wracał do domu po popołudniowej zmianie. Droga była pusta. W pewnej chwili dogonił wolno

jadącego białego forda. Samochód zwolnił jeszcze bardziej, kierowca włączył kierunkowskaz i zjechał w boczną drogę prowadzącą do kompleksu leśnego, w którym znaleziono ciało. Zastanowiło go wtedy, po co ktoś o dwunastej w nocy jedzie w tak odludne miejsce. Dopiero teraz uznał, że powinien powiedzieć to policji. Poprosił żonę, a ta zawiozła go na pobliski komisariat. Stamtąd już radiowozem przewieziono go do Gdańska. Dwójka policjantów prowadzących śledztwo pasowała do siebie jak wół do karety. Policjantka była młoda i mimo widocznego zmęczenia uśmiechała się serdecznie. Policjant wysoki, niedźwiedziowaty gbór bardziej przypominał członka gangu motocyklowego. Kiedy skończył opowiadać, funkcjonariusze popatrzyli po sobie, a Bulski poczuł jak atmosfera w pokoju gęstnieje.

– No dobrze, panie Jarosławie, a czy pamięta pan może numer rejestracyjny tego forda? – zapytał policjant, opanowując ziewnięcie.

– Całego nie, ale początek i koniec tak ponieważ składał się z tych samych liter GD.

To wystarczyło Solińskiej. Opis samochodu, a zwłaszcza numeru rejestracyjnego pasował do forda, jakim jeździł Bartosz Mrozowski. Kiedy tylko zostali sami w pokoju, Woronko spojrzął na leżący przed nim portret, następnie na Solińską i dopiero wtedy się odezwał.

– Szkoda było czasu na ten cały cyrk. Rusz tyłek musimy zatrzymać tego Mrozowskiego, zanim czmychnie na Ukrainę albo Białoruś.

Godzinę później, wychodząc z budynku aresztu Woronko wybrał numer Doroty Puszkina. Prokurator odebrała po kilku sygnałach.

– Panie komisarzu, mam nadzieję, że to coś naprawdę pilnego.

– Naturalnie, pani prokurator. Mamy podejrzanego. Byłoby miło, gdyby zechciała pani przygotować wniosek o tymczasowe aresztowanie – oznajmił komisarz tonem, który aż kipiał z satysfakcji. Solińska nie miała w sobie tyle optymizmu. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało, tylko jeszcze nie wiedziała co. Mrozowski miał pewne alibi. Od dwudziestej drugiej do szóstej rano był w pracy. Potwierdziło to kilkanaście osób. W tym czasie kilka razy dzwonił do swojej dziewczyny, której telefon logował się do nadajnika blisko miejsca zamieszkania. Skoro więc tej feralnej nocy Jarosław Bulski widział białego forda to istniały tylko dwa wyjaśnienia tego faktu. Pierwsze – samochodem

Mrozowskiego kierował ktoś inny, na przykład tajemniczy mężczyzna z portretu pamięciowego. Drugie – Bulski się pomylił. Intuicja podpowiadała Solińskiej, że prawdziwa jest ta druga hipoteza. Kiedy swoimi przemyśleniami podzieliła się z komisarzem, ten zgromił ją wzrokiem.

– Kaśka, do jasnej cholery, dlaczego ty zawsze szukasz dziury w całym? Zatrzymaliśmy faceta, mamy motyw oraz świadka, który widział samochód Mrozowskiego niedaleko miejsca odnalezienia zwłok. Czego ci jeszcze brakuje? Przyznania się do winy?

– Janusz, uważam, że dla sądu to czym dysponujemy nie będzie dostatecznie mocnym materiałem, aby przyklepał wniosek o tymczasowy areszt dla Mrozowskiego.

Woronko westchnął teatralnie i zapalił kolejnego papierosa.

– Jeśli uważasz, że ten Bulski zmyśla, to wezwij go na ponowne przesłuchanie i przyciśnij.

– Właśnie tak zamierzam zrobić – zapowiedziała Solińska, ruszając do samochodu. Jednak teraz jedyne, o czym marzyła, to ciepłe łóżko.

EPILOG

Gdy dzień po zatrzymaniu Bartosza Mrozowskiego wnuczka Rozalii Pawlak zgłosiła morderstwo swojej babci, nawet Woronko facet, który nie jedno widział, poblądł i otworzył szeroko oczy.

– Komu to przydzielili? – zapytała Solińska, wodząc nieobecny wzrokiem po ich ciasnym biurze.

– Kitajczukowi – odpowiedział komisarz, podchodząc do okna.

„Nie jest tak źle. Komisarz Adrian Kitajczuk miał już na swoim koncie kilka sukcesów” – pomyślała policjantka, próbując zebrać myśli. W drodze do pracy ułożyła plan działania i mimo strasznej wiadomości o śmierci starszej pani postanowiła zrealizować go krok po kroku. Wiedziała, że tylko w ten sposób rozwieje wszystkie wątpliwości dotyczące śmierci Klementyny Wiernickiej.

– Za chwilę ruszam do Pszczółek jeszcze raz przesłuchać tego Bulskiego. Masz ochotę jechać ze mną? – jej propozycja miała charakter raczej grzecznościowy. Woronko już poprzedniego dnia dał jej do zrozumienia, iż szuka dziury tam, gdzie jej nie ma.

– Kaśka, jeszcze ci nie przeszło? – opryskliwy ton komisarza mógłby podziałać na kogoś innego, ale nie na nią.

– To jedziesz czy nie?

Woronko pokręcił głową, a Solińska nie nalegała. Zabrała torebkę z oparcia krzesła i wyszła z biura. Musiała skoncentrować się na rozmowie z Jarosławem Bulskim, ułożyć pytania, zaplanować jej przebieg, ale śmierć Rozalii Pawlak nie pozwalała o sobie zapomnieć. Wsiadając do samochodu, w jej głowie znienacka pojawiła się pewna myśl. W pierwszej chwili uznała ją za zbyt absurdalną.

„Gdybym podzieliła się nią z Januszem, ten z miejsca wyrzuciłby mnie przez zamknięte okno” – pomyślała, zapinając pasy. Jednak myśl była uparta i nie opuszczała jej przez całą drogę.

„Czy to możliwe, że mężczyzna, którego Rozalia zobaczyła w swoim śnie był jej mordercą?” – zastanawiała się Solińska. Zdawała sobie sprawę, że gdyby powiedziała Kitajczukowi o portrecie pamięciowym i kulisach jego powstania, mimo całej sympatii, wyśmiałby ją. Dlatego postanowiła zatrzymać te przemyślenia tylko dla siebie. Dotarcie do Pszczółek, choć panował natężony ruch, zajęło jej mniej niż czterdzieści minut, co uznała za sukces. Mniej więcej kwadrans szukała ulicy Wiosennej. Zaparkowała obok budynku wyglądającego na dość nowy. Dom był parterowy z użytkowym poddaszem. Mnóstwo kwitnących roślin świadczyło o zamiłowaniu właścicieli do zieleni.

– Męża nie ma, poszedł z synem na ryby – oznajmiła niska brunetka ubrana w obcisłe granatowe jeansy i różową bluzeczkę z wyzywającym dekoltem – ale już po niego dzwonię – dodała, sięgając do kieszeni po telefon.

Jarosław Bulski zjawił się kwadrans później. Wizyta policjantki wyraźnie go ucieszyła.

– Nie dalej niż pół godziny temu myślałem o pani – wyznał, kiedy siedzieli na tarasie za domem – jako o policjantce – dodał, widząc jej zdziwione spojrzenie. Chciał jeszcze coś dodać, ale widząc żonę niosącą szklanki i butelkę wody mineralnej zamilkł. Odezwał się, kiedy na powrót zostali sami.

– Przez całą noc jakiś szczegół z moich zeznań nie pozwalał mi zasnąć. Dopiero dzisiaj rano, łowiąc z synem ryby, olśniło mnie. Sytuacja, o której państwu opowiedziałem, zdarzyła się w nocy z 21 na 22, a nie z 20 na 21 czerwca, ale poza tym wszystko było dokładnie tak jak opisałem – zaręczył Bulski. Właśnie o takiej pomyłce Solińska pomyślała. Teraz wiedząc, czego należy szukać i o co pytać, pojechała bezpośrednio do aresztu śledczego. Bartosz Mrozowski nie wyglądał szczególnie dobrze. Jakoś jej to nie zdziwiło. Podobno dla kogoś, kto nigdy nie był zatrzymany, pierwsza noc w celi jest najgorsza.

– Gdzie pan był w nocy z 21 na 22 czerwca? – zapytała, gdy tylko Mrozowski zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

– Ma pani na myśli noc po zaginięciu Klementyny?

– Tak, dokładnie tę noc – potwierdziła Solińska.

– Po powrocie z komisariatu przespałem się kilka godzin, a później razem z moją dziewczyną bawiliśmy się w dyskotecę „Afryka”. Wyszedłem stamtąd około trzeciej nad ranem i wróciłem na piechotę do mieszkania.

– Rozumiem, że pana dziewczyna tam została?

– Nie. Baśka wyszła około dwudziestej drugiej, wymawiając się bólem głowy.

Wracając na komendę, Solińska próbowała poukładać to, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich dwóch godzin. Mrozowski ze Skowrońską idą na imprezę. Ona wychodzi około dziesiątej w nocy, on zostaje do wczesnego rana. O północy Bulski widzi na bocznej drodze samochód Mrozowskiego. Wniosek, do jakiego doszła, nie był tym, którego się spodziewała. Choć z drugiej strony nie był niczym odkrywczym. Zjechała do krawężnika, włączyła światła awaryjne i zatelefonowała do Janusza. Woronko wysłuchał jej cierpliwie. Jego także zaskoczyły ustalenia Solińskiej.

– Kaśka, wracaj na komendę, a ja wszystkim się zajmę. Godzinę później wprowadzono do ich gabinetu zupełnie zaskoczoną Barbarę Skowrońską. Dziewczyna załamała się po kilkunastu minutach przesłuchania i przyznała, że to ona 20 czerwca około dwudziestej trzeciej zaczęła się przy bloku na wracającą Klementynę Wiertnicką. Używając apaszki, udusiła współlokatorkę, a ciało ukryła w bagażniku samochodu należącego do jej chłopaka. Następnego dnia wywozła je i zakopała w lesie pod Pruszczem Gdańskim.

– Dlaczego pani zabiła Klementynę Wiertnicką? – musiała zadać to pytanie Solińska, mimo iż znała już odpowiedź.

– Ta zdzira pieprzyła się z moim facetem – wycedziła Skowrońska, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. – Myśleli, że niczego się nie domyślę, ale ja, gdy tylko wyczułam zapach jej perfum w naszej pościeli, od razu wszystko zrozumiałam – mówiła dalej, nie zważając na łzy rozmywające jej makijaż. Skowrońska przyznała, że to ona wyrzuciła torebkę Wiertnickiej na odludziu, a następnie upodabniając się do współlokatorki, odwiedziła nocny klub w Sopocie. Następnego dnia kupiła bilet do Warszawy. Dojechała do Malborka, korzystając z telefonu Wiertnickiej, wysłała do siebie wiadomość, a telefon współlokatorki wyrzuciła do studzienki kanalizacyjnej. Zaprzeczyła jednak jakoby podrzuciła na trawniku obok bloku szminkę oraz breloczek do drzwi.

– Być może wypadł z torebki w trakcie szarpaniny – zasugerowała, ocierając twarz chusteczką.

– To jest prawdopodobne – przyznała Solińska.

– Od zazdrosnych kobiet, chroń mnie Boże – wyszeptał Woronko, kiedy policjanci wyprowadzili Skowrońską.

– A ty jesteś wierzący? – zdziwiła się Solińska.

– Nie, ale to nie znaczy, że nie mogę prosić najwyższego o przysługę – odparł komisarz, odchylając się na fotelu i zakładając ręce za głowę.

Kilka dni później wychodząc z pracy Solińska, zobaczyła, jak komisarz Dominik Kitajczuk w towarzystwie dwóch umundurowanych policjantów prowadził korytarzem zakutego w kajdanki mężczyznę. Solińska nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Oto patrzyła na człowieka, którego Rozalia Pawlak widziała w swoim śnie. Uznała, że to nie może być zbieg okoliczności.

– Dominik, mogę ci zająć chwilę? – poprosiła, podchodząc do komisarza. Ten zawahał się przez moment.

– No dobra, ale najwyżej minutę, bo dzisiaj mam urwanie głowy – odpowiedział, dając znak policjantom, aby zaprowadzili zatrzymanego do jego biura. Solińska zamierzała zrobić coś, na co czekał i o czym śnił niejeden z jej adoratorów. Postanowiła wbrew sobie, ale dla zaspokojenia ciekawości, umówić się z komisarzem.

– Słuchaj, Dominik, ja pamiętam, o tej kawie, którą ci obiecałam. Jak będziesz miał wolniejsze popołudnie to puść mi SMS – komisarza zamurowało, ale Solińskiej o to właśnie chodziło. Nie czekając na jego odpowiedź powiedziała: „cześć” i ruszyła do wyjścia.

– Dobra, Kasiu, jak uporam się z zabójstwem tej staruszki, to dam znać – usłyszała za sobą rozpromieniony głos kolegi.

Na SMS od komisarza Kitajczuka Solińska musiała czekać aż cztery długie dni. Gdy wreszcie usiedli w pizzerii obok komendy, jej ciekawość była na granicy wytrzymałości. Przechodząc od razu do sedna sprawy, opowiedziała Dominikowi wszystko, począwszy od pierwszej wizyty Rozalii Pawlak na komendzie, a na sporządzeniu portretu pamięciowego kończąc.

– Żartujesz sobie?

– No jasne, że to taki żart – odpowiedziała Solińska, wiedząc, że nikt nigdy nie uwierzy w jej opowieść. – Ale chętnie usłyszę, jak udało ci się złapać tego faceta – dodała, posyłając komisarzowi pełne podziwu spojrzenie.

– To akurat nie była specjalnie skomplikowana sprawa – zaczął, rozsiadając się wygodnie na krześle – ustaliliśmy, że w dniu zabójstwa ofiarę miała odwiedzić wnuczka, ale jak sama twierdziła, coś jej wypadło i do babci pojechała następnego ranka. Ponieważ staruszka nie otwierała wnuczka, używając swoich kluczy weszła do mieszkania i znalazła ciało. Wiesz, Kasiu, że w osiemdziesięciu procentach zabójcami są najbliżsi, więc zaczęliśmy śledzić wnuczkę. Po nitce do kłębka i dotarliśmy do jej chłopaka. Ślady zabezpieczone na miejscu zabójstwa potwierdziły, że to on udusił kobietę. Teraz, oczywiście, zeznaje, że zabójstwo zaplanowała wnuczka ofiary, która również została zatrzymana. Tak naprawdę, to sąd będzie musiał zdecydować, czy ponosi ona jakąś winę czy nie – podsumował Kitajczuk.

– A na koniec mam dla ciebie coś, co mnie osobiście zaskoczyło – w głosie komisarza Solińska usłyszała autentyczne zdumienie – ustaliłem, że pradziadek podejrzanego był pułkownikiem służby bezpieczeństwa. Nazywał się Tadeusz Piwnicki i w połowie lat czterdziestych zajmował się zwalczaniem kościoła w Polsce. Jeśli wierzyć temu, co znalazłem w archiwach IPN, to osobiście nadzorował inwigilację ojca Czesława Klimuszki, o którym kilka minut temu wspomniałaś w swoim żarcie.

POLECAMY RÓWNIEŻ

Tomasz Wandzel

- *Chłopiec z Kresów – historia prawdziwa*
- *Hycel*
- *Dom w chmurach*
- *Blanka L – Sława, pieniądze i seks*
- *Kłamstwa i sekrety – historia Róży Wittelsbach*
- *Chwila prawdy – niewiarygodna historia Krystyny Górskiej*
- *Chłopiec, który przeżył Auschwitz – historia prawdziwa*
- *Grzeczna dziewczynka*
- *Żółty długopis*
- *Córka zakonnika*
- *Zwłoki przy molo.*

Cykl Komisarz Andrzej Papaj

- *Dotrzeć do prawdy, tom 1*
- *Uciec od prawdy, tom 2.*

Cykl Róża Wielopolska

- *Czyste zło, tom 1*
- *Święte zło, tom 2.*

Cykl Sopockie tango

- *Sopockie tango, tom 1*
- *Ostatnie tango w Sopocie, tom 2.*

Cykl *Komisarz Oczko*

- *Pierwsza sprawa*, odcinek 1
- *Skutek śmiertelny*, odcinek 2
- *Przerwać milczenie*, odcinek 3
- *Córka milionera*, odcinek 4
- *Czerwone Święta*, odcinek 5